

AGATHA CHRISTIE

MORDERSTWO W ZAUŁKU

TŁUMACZYŁ JAN S. ZAUS

TYTUŁ ORYGINAŁU: MURDER IN THE MEWS

Sybil Heeley
- mojej długoletniej przyjaciółce,
w dowód przywiązania

MORDERSTWO W ZAUŁKU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Da pan pensa na kukłę?

Mały chłopiec z umorusaną twarzą uśmiechnął się przymilnie.

- Wykluczone! - wykrzyknął nadinspektor Japp. - I posłuchaj, mój mały...

Nastąpiło krótkie kazanie. Urwis odskoczył z przestachem, ostrzegając krótko swych towarzyszy:

- Jak Boga kocham, to pewnie odpicowany gliniarz! Gromada rzuciła się do ucieczki, śpiewając głośno:

Piąty listopada

To spisek i zdrada.*

Towarzyszący inspektorowi niski mężczyzna w sile wieku, z jajowatą czaszką i bujnym, groźnym wąsem, uśmiechał się do siebie.

- Tres bien, Japp - zauważył - kazanie wychodzi ci doskonale. Winszuję!

- Dzień Guya Fawkesa to bezwstydnym pretekst do żebractwa - mruknął Japp.

- Interesująca tradycja - mówił Herkules Poirot zamyślony. - Spójrz na te fajerwerki, na strzelające w górę sztuczne ognie. Po tylu latach, które powinny zatrzeć pamięć o człowieku, czci się zarówno jego, jak i jego czyn.

Przedstawiciel ze Scotland Yardu miał wątpliwości:

- Nie sądzę, żeby któryś z tych chłopców naprawdę wiedział, kim był Guy Fawkes.

- A wkrótce niewątpliwie nastąpi pomieszanie pojęć. Czy te feu d'artifice wypuszcza się piątego listopada w celu uczczenia, czy też dla potępienia tamtych wydarzeń? Jak myślisz, mój drogi, czy wysadzenie w powietrze brytyjskiego parlamentu było przestępstwem, czy szlachetnym uczynkiem?

Japp zaśmiał się krótko.

- Niektórzy powiedzieliby, że tym drugim. Mężczyźni skręcili z głównej ulicy w stosunkowo cichy zaułek. Zjedli właśnie razem obiad i teraz na skróty szli w kierunku mieszkania Poirota. Po drodze ciągle słyszeli odgłosy fajerwerków. Od czasu do czasu niebo rozjaśniał deszcz złotych promieni.

- Doskonała noc na morderstwo - zauważył ze znawstwem Japp. - Nikt w taką noc nie usłyszałby strzału.

- Zawsze wydawało mi się to dziwne, że tak mało przestępców korzysta z podobnych okazji - zauważył Herkules Poirot.

- Wiesz, Poirot, czasami marzę o tym, żebyś ty popełnił jakąś zbrodnię!

- Mon cher!

- Tak, chciałbym widzieć, jak się do tego zabierasz.

- Mój drogi, gdybym ja popełnił zbrodnię, to nie miałbyś żadnej szansy zobaczyć, jak się do tego zabieram. Prawdopodobnie nigdy nie przyszłoby ci do głowy, że została popełniona zbrodnia.

- Czy nie jesteś przypadkiem zbyt pewny siebie? - zaśmiał się życzliwie Japp.

Następnego dnia o wpół do dziesiątej zadzwonił telefon Poirota.

- Halo? Halo?

- Halo, czy to ty, Poirot?

- Oni, c'est moi.

- Tu Japp. Pamiętasz, jak wracaliśmy ostatniej nocy przez zaułek Bardsley Gardens?

- Tak.

- Rozmawialiśmy o tym, że fajerwerki, petardy i inne wybuchy zagłuszyłyby odgłosy strzału.

- Oczywiście.

- Mamy samobójstwo. Pod numerem czternastym. Zabiła się młoda wdówka, niejaka pani Allen. Idę tam właśnie.

- Przepraszam cię, ale czy kogoś z twoją pozycją, drogi przyjacielu, wysyła się do samobójstw?

- Bystry z ciebie facet! Nie, nie wysyła się. Prawdę mówiąc, wydaje się, że nasz lekarz uważa, iż jest w tym coś dziwnego. Mam wrażenie, że powinienes też przy tym być. Przyjdiesz?

- Oczywiście, przyjdę. Numer czternasty?

- Zgadza się.

Poirot przybył pod numer 14 w zaułku Bardsley Gardens prawie w tym samym czasie, kiedy zajechał samochód z Jappem i trzema innymi mężczyznami.

To, że numer 14 stał się centrum zainteresowania, było zrozumiałe. Zebrało się tutaj wielu ludzi: szoferzy i ich żony, chłopcy na posyłki, włóczędzy, dobrze ubrani przechodnie i ciżba dzieci; wszyscy gapili się z otwartymi ustami, zafascynowani.

Umundurowany policjant stał na stopniach i starał się powstrzymać gapiów. Młodzi ludzie o czujnych spojrzeniach, z aparatami fotograficznymi, kręcili się gorączkowo i, kiedy pojawił się Japp, rzucili się ku niemu.

- Na razie niczego dla was nie mam - rzeki Japp, odsuwając ich na bok. Przywitał Poirota skinieniem głowy.

- Jesteś już. Wejźmy.

Skierowali się szybko do środka. Zamknęły się za nimi drzwi, a oni znaleźli się u stóp ażurowych schodów.

U ich szczytu stał jakiś człowiek. Rozpoznawszy Jappa, powiedział:

- To tutaj, panowie.

Poirot i Japp weszli po schodach. Policjant otworzył drzwi po lewej stronie. Prowadziły do niewielkiej sypialni.

- Myślę, że chce pan, abym szybko przedstawił główne punkty sprawy.

- Słusznie, Jameson - odparł Japp. - Co wiesz na ten temat?

Inspektor dzielnicowy Jameson rozpoczął relację:

- Zmarła to pani Allen. Mieszkała tu z przyjaciółką, panną Plenderleith, która przebywała właśnie na wsi i powróciła dziś rano. Miała swój własny klucz i zaskoczyło ją to, że nie zastała nikogo na dole. Zwykle około dziewiątej przychodziła sprzątaczką. Panna Plenderleith poszła więc na piętro do swojego pokoju (to właśnie ten pokój, w którym jesteśmy), następnie do pokoju przyjaciółki. Drzwi były zamknięte na klucz od wewnątrz. Poruszyła klamkę, potem pukała i wołała, ale nikt nie odpowiadał. W końcu, zaniepokojona, zatelefonowała na policję. Była wtedy dziesiąta czterdzieści pięć. Przybyliśmy na miejsce i wyłamaliśmy drzwi. W pokoju leżała martwa pani Allen, z przestreloną głową. Automatyczny pistolet Webley 25 trzymała jeszcze w dłoni i wszystko wskazywało na to, że popełniła samobójstwo.

- Gdzie jest teraz panna Plenderleith?

- Na dole, w salonie. Określiłbym ją jako chłodną, energiczną młodą damę. Ma głowę na karku.

- Wkrótce z nią pomówię. A teraz zobaczmy, co powie Brett.

Wraz z Poirotem przeszli do następnego pokoju.

- Halo, Japp! Cieszę się, że już jesteś! Dziwna sprawa! - zawołał na ich widok szczupły, starszy mężczyzna.

Japp podszedł do niego. Herkules Poirot rozejrzał się wokół.

Pokój był większy od tego, który opuścili przed chwilą. Okno mieściło się w obszernym wykuszu. W odróżnieniu od tamtego pomieszczenia, które było zwyczajną sypialnią, to było sypialnią urządzonej jak salon.

Ściany pomalowano na kolor srebrny, a sufit na szmaragdowe. W oknach wisiały firanki o nowoczesnym wzorze, w kolorach srebrnym i zielonym. Stał tam tapczan, przykryty lśniąca, pikowana, szmaragdową narzutą, a na nim leżały złote i srebrne poduszki. Poza tym w pokoju umieszczono orzechowe biurko, orzechową wysoką komódkę i kilka nowoczesnych chromowanych krzeseł. Na niskim szklanym stoliku stała olbrzymia popielniczka pełna niedopałków.

Herkules Poirot delikatnie powąchał powietrze i podszedł do Jappa, który patrzył na ciało.

Na podłodze bezwładna postać leżała tak, jak zsunęła się z jednego z chromowanych krzeseł. Zmarła miała około dwudziestu siedmiu lat, piękne włosy i delikatne rysy. Ładna, smutna, choć może nieco bezmyślna twarz była lekko uszmiękowana. Z lewej strony głowy czerniła się zakrzepła krew. Palce prawej ręki zacisnęły się na kolbie małego pistoletu. Kobieta miała na sobie skromną, sięgającą pod szyję suknię w kolorze ciemnozielonym.

- Dobrze. Brett. Jakie masz wątpliwości?

Japp wpatrywał się w bezwładne ciało.

- Pozycja zgadza się - mówił lekarz. - Gdyby zastrzeliła się sama, to właśnie tak zsunęłaby się z krzesła. Drzwi były zamknięte na klucz, okno - zamknięte od wewnątrz.

- To, co mówisz, nie wzbudza wątpliwości. Cóż cię więc niepokoi?

- Proszę spojrzeć na pistolet. Nie dotykałem go - czekałem na specjalistę od daktyloskopii. Sądzę, że domyśla się pan, o co mi chodzi.

Poirot i Japp niemal jednocześnie klęknęli i zaczęli dokładnie badać pistolet.

- Tak, domyślam się, o co ci chodzi - rzekł szybko Japp. - Pistolet spoczywa w stulonej dłoni i wydaje się, jakby go trzymała, a w istocie wcale go nie trzyma. Coś jeszcze?

- Dużo. Trzyma pistolet w prawej ręce. A teraz proszę spojrzeć na ranę. Pistolet został przyłożony do głowy powyżej lewego ucha. Lewego... Proszę na to zwrócić uwagę.

- Mhm - mrukną! Japp. - Wydaje się to rozstrzygające. Nie mogłaby wypalić z pistoletu w tej pozycji? Z prawej ręki?

- Czysty nonsens. Można sięgnąć do tego miejsca również prawą ręką, ale wątpię, czy można oddać strzał.

- Tak, to dość oczywiste. Ktoś ją zastrzelił i próbował upozorować samobójstwo. A co myślicie o zamkniętych drzwiach i oknie?

- Okno było zamknięte i zaryglowane od środka - wtrącił inspektor Jameson. - Ale chociaż drzwi były zamknięte, nie mogliśmy nigdzie znaleźć klucza.

Japp skinął głową.

- Tak, to rzeczywiście dziwne. Kimkolwiek był ten, co strzelał, zamknął drzwi po wyjściu z pokoju i miał nadzieję, że brak klucza nie zostanie zauważony. Na to Poirot wyszeptał:

- C'es! bete, ça!

- No, mój stary, nie można mierzyć wszystkiego twoim błyskotliwym intelektem! Prawdę mówiąc, to właśnie jest taki szczegół, który można przeoczyć. Drzwi są zamknięte na klucz, więc trzeba je wyłamać. W środku znajduje się martwa kobieta, trzyma w ręce pistolet. Wszystko wskazuje na samobójstwo. Specjalnie się zamknęła, żeby jej nie przeszkadzano. Kto będzie szukał klucza? Prawdę powiedziawszy, pomysł panny Plenderleith, by posłać po policję, był nader szczęśliwy. Mogła przecież poprosić taksówkarzy, aby rozwalili drzwi. I na sprawę klucza nikt nie zwróciłby uwagi.

- Tak, sądzę, że masz rację - rzekł Herkules-Poirot. - To byłaby naturalna reakcja wielu ludzi. Policja jest przecież ostatnią instancją, nieprawdaż?

Poirot ciągle przyglądał się ciału.

- Czy coś cię zaintrygowało? - spytał Japp. Pytanie brzmiało beztrosko, ale oczy inspektora pozostały przenikliwe i czujne.

Herkules Poirot potrząsnął wolno głową.

- Patrzą na zegarek na jej ręce.

Pochylił się, dotknął go końcem palca. Był to wykwintny, drogi przedmiot z jedwabnym paskiem. Zegarek znajdował się na ręce, której dłoń zaciskała się wokół kolby pistoletu.

- Powiedziałbym, że to misterna robota. Cacko -zauważył Japp. - Wart pewnie wiele pieniędzy! - Podniósł głowę i spojrzał badawczo na Poirota. - Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

- Możliwe.

Poirot podszedł do biurka. Był to elegancki mebel z opuszczoną klapą na przedzie, kolorem dopasowany do wnętrza pokoju i reszty umeblowania. Na środku biurka stał potężnych rozmiarów kałamarz. Obok leżał zielony lakierowany bibularz. Na lewo od bibularza, na podstawce ze szmaragdowego szkła, znajdowała się srebrna obsadka, laska srebrnego laku do pieczęci, ołówki i dwa znaczki pocztowe. Na prawo od bibularza stał ruchomy kalendarz, wskazujący dni tygodnia, datę i miesiąc. Był tam również szklany kałamarz, w którym tkwiło pióro. Wyglądało na to, że Poirota zainteresowało to pióro, wyjął je z kałamarza i zaczął oglądać. Jak się zaraz przekonał, stalówka była całkiem sucha i nowa. Widocznie całość stanowiła wyłącznie element dekoracyjny. Srebrna obsadka miała pobrudzoną atramentem stalówkę; była używana. Oczy detektywa spoczęły na kalendarzu.

- Wtorek, piąty listopada - rzekł Japp, widząc wzrok Poirota. - Wczoraj. Wszystko się zgadza. - Zwrócił się do Bretta: - Kiedy mogła nastąpić śmierć?

- Została zastrzelona o jedenastej trzydzieści trzy wczoraj wieczorem - odparł pewnie lekarz, po czym uśmiechnął się, widząc zdumienie Jappa.

- Przepraszam cię, mój stary - powiedział. - Miałem taką pokusę odegrać superlekarza z fantastycznych powieści! Prawdę mówiąc, powiedziałbym, że koło jedenastej, z godzinnym odchyleniem w jedną lub w drugą stronę.

- Och, myślałem, że może zatrzymał się zegarek, czy coś takiego.

- Że się zatrzymał, nie ulega wątpliwości, tyle że stanął kwadrans po czwartej.

- Przypuszczam, że nie mogła zostać zastrzelona kwadrans po czwartej.

- Możesz to sobie wybić z głowy.

Poirot odwrócił bibularz.

- Dobra myśl - zauważył Japp. - Ale to nam nic nie daje.

Bibularz był nieskalanie czysty. Poirot obejrzał pozostałe kawałki bibuły, ale wszystkie były nie używane. Następnie uwagę jego zajął kosz na śmieci. Znajdowały

się w nim dwa czy trzy listy i jakieś zawiadomienie. Listy te tylko raz przedarto i łatwo może je było zrekonstruować. Ich treść stanowiły prośby o wsparcie pieniężne od jakiegoś dobroczynnego stowarzyszenia na rzecz kombatantów, zaproszenie na party na trzeciego listopada i wiadomość o dacie przymiarki u krawcowej. Zawiadomienia dotyczyły wyprzedaży futer. Był tam także katalog magazynu wielobranżowego.

- Nic tu nie ma - rzekł Japp.

- Nic. To dziwne... - powiedział Poirot.

- Chodzi ci o to, że samobójcy zwykle zostawiają list?

- Właśnie.

- Mamy więc jeszcze jeden dowód, że to nie jest samobójstwo! - Po chwili dodał - No, dalszą robotą zajmą się moi ludzie. A teraz najlepiej byłoby zejść na dół i przesłuchać pannę Plenderleith. Idziesz, Poirot?

Wydawało się, że Poirot nie może oderwać się od biurka.

Wyszedł z pokoju, ale w drzwiach obejrzał się i raz jeszcze spojrzął na szmaragdowe pióro.

ROZDZIAŁ DRUGI

Drzwi, znajdujące się u stóp wąskich schodów, prowadziły do obszernej bawialni, powstałej z przebudowanej stajni. Na ścianach pokrytych tynkiem o nierównej fakturze wisiały akwaforty i drzeworyty. W pokoju znajdowało się dwoje ludzi.

W fotelu blisko kominka, z rękami wyciągniętymi w kierunku ognia, siedziała ciemnowłosa, sprawiająca wrażenie energicznej, kobieta w wieku około dwudziestu siedmiu lat. Drugą osobą była kobieta starsza, solidnie zbudowana. W chwili, gdy mężczyźni weszli, trzymała w ręce sznurkową siatkę i sapiąc mówiła do młodszej:

- ...i, jak już mówiłam, proszę pani, tak mnie to przeraziło, że omal nie padłam. I pomyśleć, że akurat tego rana...

- Wystarczy, pani Pierce - przerwała jej młodsza kobieta.. - Myślę, że panowie są z policji...?

- Panna Plenderleith? - zapytał Japp, występując do przodu.

- Tak. A to jest pani Pierce, która codziennie przychodzi nam sprzątać.

Rwący potok słów pani Pierce wytrysnął ponownie:

- I, jak już mówiłam pani Plenderleith, pomyśleć, że akurat tego ranka Luiza Maud, moja siostrzenica, musiała dostać ataku i tylko ja byłam pod ręką... Poza tym pokrewieństwo to pokrewieństwo, więc nie myślałam, że pani Allen będzie miała mi za złe, choć nie lubię zawodzić moich pań...

- Tak jest, tak jest, droga pani - zrećcznie przerwał jej Japp. - Teraz proszę zaprowadzić inspektora Jamesona do kuchni i tam złożyć mu krótkie oświadczenie.

Uwolnwszy się od gadatliwej pani Pierce, która odeszła z Jamesonem trajkocząc jak maszyna, Japp zwrócił się do młodej kobiety:

- Jestem nadinspektor Japp. Chciałbym, aby opowiedziała nam pani wszystko, co pani wie o tej sprawie.

- Oczywiście. Od czego mam zacząć?

Jej opanowaniem było godne podziwu. Nie czuło się śladu żalu ani zdenerwowania, a jedynie może trochę nienaturalną sztywność w zachowaniu.

- Przyjechała pani dziś rano? O której godzinie?

- Myślę, że przed dziesiątą trzydzieści. Okazało się, że pani Pierce, tej gaduły, jeszcze nie było.

- Czy często się to zdarza?

Jane Plenderleith wzruszyła ramionami.

- Mniej więcej dwa razy w tygodniu przychodziła około dwunastej albo wcale się nie zjawiała. Powinna przychodzić o dziewiątej. Co najmniej dwa razy w tygodniu przychodziła później z powodu zawrotów głowy albo choroby w rodzinie. W dzisiejszych czasach wszystkie te dochodzące pomoce są takie same - bez poczucia obowiązku. Ale to nie jest zła kobieta...

- Długo tu pracuje?

- Ponad miesiąc. Poprzednia lubiła przywłaszczać sobie różne drobiazgi.

- Proszę mówić dalej, panno Plenderleith.

- Gdy zapłaciłam za taksówkę i wniosłam walizkę, rozejrzałam się za panią Pierce. Nie widząc jej, poszłam do mojego pokoju. Doprowadziłam siebie nieco do porządku i udałam się do Barbary, do pani Allen, ale drzwi jej pokoju zastałam zamknięte. Poruszyłam klamką, pukałam, lecz bez skutku. Zeszłam więc na dół i zatelefonowałam na policję.

- Pardon - przerwał szybko Poirot. - Czy nie przyszło pani na myśl, żeby po prostu wyłamać drzwi przy pomocy któregoś z taksówkarzy, którzy mają tu postój?

Zwróciła na niego badawcze, chłodne spojrzenie ciemnozielonych oczu.

- Nie, że nie przyszło mi to na myśl. Jeżeli coś jest nie w porządku, to jedynymi ludźmi, którzy powinni się tym zająć, są policjanci.

- Więc pani sądziła - pardon, mademoiselle - że coś było nie w porządku?

- Naturalnie.

- Ponieważ nikt nie odpowiadał na pukanie? Przecież było całkiem możliwe, że pani przyjaciółka śpi po zażyciu środków nasennych...

- Ona nigdy nie brała środków nasennych.

Odpowiedź była szybka i stanowcza.

- ...albo wyszła z domu, zamknąwszy uprzednio drzwi swego pokoju.

- Dlaczego miałyby zamykać drzwi na klucz? W każdym razie, gdyby gdzieś wyszła, zostawiłaby dla mnie wiadomość na kartce...

- Jednak nie zrobiła tego... Nie zostawiła dla pani wiadomości? Jest pani tego całkowicie pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna. Z pewnością znalazłabym taką notatkę. - W jej głosie zabrzmiała ostra nutka zniecierpliwienia.

- Nie próbowała pani zajrzeć przez dziurkę od klucza, panno Plenderleith? - spytał Japp.

- Nie - odparła Jane Plenderleith w zamyśleniu. - Nie mam takiego zwyczaju. Zresztą, cóż bym mogła zobaczyć? Przecież musiał w niej tkwić klucz.

Pytające, niewinne spojrzenie szeroko otwartych oczu spoczęło na Jappie. Poirot nagle uśmiechnął się do siebie.

- Ma pani, oczywiście, zupełną rację, panno Plenderleith - rzekł Japp. - Przypuszczałem jednak, że pani nie miała powodów, aby sądzić, że przyjaciółka popełniła właśnie samobójstwo?

- Och, nie.

- Czy wyglądała ostatnio na przygnębioną? Może sprawiała wrażenie osoby, na którą spadło jakieś nieszczęście?

- Nie - odparła po dłuższej przerwie.

- Czy wiedziała pani, że pani Allen miała pistolet?

Jane Plenderleith skinęła głową.

- Tak, nabyła go w Indiach i trzymała zawsze w szufladzie w swoim biurku.

- Miała pozwolenie?

- Przypuszczam, że tak. Ale pewności nie mam.

- Teraz, panno Plenderleith, proszę nam wszystko powiedzieć o pani Allen... Jak długo ją pani zna, gdzie mieszkają jej krewni? Wszystko, co pani wie.

Jane Plenderleith skinęła głową.

- Znam Barbarę od około pięciu lat. Pierwszy raz spotkałam ją w czasie podróży zagranicznej, w Egipcie. Właśnie wracała z Indii do domu. Ja pracowałam wtedy w brytyjskiej szkole w Atenach i wybrałam się, przed powrotem "do Anglii, na kilka tygodni do Egiptu. Wybrałyśmy się razem na wycieczkę statkiem po Nilu. Zaprzyjaźniłyśmy się. Szukałam wtedy kogoś, z kim mogłabym zamieszkać. Barbara była sama na świecie. Myślałyśmy, że będzie nam razem dobrze.

- Czy rzeczywiście było wam razem dobrze? - spytał Poirot.

- Bardzo dobrze. Każda z nas miała własnych przyjaciół. Moi przyjaciele i znajomi wywodzili się raczej ze sfer artystycznych. Barbara wolała inne towarzystwo.

Poirot skinął głową ze zrozumieniem. Japp pytał dalej:

- Co pani wie o rodzinie pani Allen? Mam na myśli okres przed poznaniem pani. Jane Plenderleith wzruszyła ramionami.

- Prawie nic o niej nie wiem. Jej panieńskie nazwisko brzmiało Armitage.

- A mąż?

- Podejrzewam, że nie było czym się chwalić. Zdaje się, że pił. Zmarł rok lub dwa po ślubie. Mieli jedno dziecko, dziewczynkę, ale umarła, mając trzy lata. Barbara nie opowiadała mi wiele o swoim mężu. Wiem tylko, że wyszła za niego w Indiach, gdy miała siedemnaście lat. Potem wyjechali na Borneo, czy w jakieś inne zapomniane przez Boga miejsce, gdzie wysyła się nieudaczników. Ale był to niewątpliwie bolesny temat i nigdy do niego nie wracałam.

- Czy pani Allen miała jakieś trudności finansowe?

- Nie, jestem pewna, że nie miała.

- Żadnych długów? Nic takiego?

- Oci, nie! Jestem pewna, że nie należała do osób, które popadają w tego rodzaju tarapaty.

- Teraz muszę zadać inne pytanie, które, jak sędzę, nie powinno panią, panno Plenderleith, zaskoczyć. Czy pani Allen miała jakiegoś szczególnego przyjaciela lub przyjaciółkę?

Jane Plenderleith odparła chłodno:

- Owszem, była zaręczona, jeżeli o to panu chodzi.
- Jak się nazywa jej narzeczony?
- Charles Laverton-West. Jest posłem do parlamentu, z okręgu Hampshire.
- Długo go znała?
- Nieco ponad rok.
- A... a jak długo była z nim zaręczona?
- Dwa... nie, blisko trzy miesiące.
- Wie pani, czy się kłócili?

Panna Plenderleith pokręciła głową przecząco.

- Nie. Byłabym bardzo zaskoczona, gdyby coś takiego miało miejsce. Barbara nie należała do kłótliwych osób.
- Kiedy po raz ostatni widziała pani swoją przyjaciółkę?
- W piątek, tuż przed wyjazdem na weekend.
- Pani Allen miała pozostać w mieście?
- Tak. Jak sądzę, miała wyjechać ze swoim narzeczonym dopiero w niedzielę.
- A pani gdzie spędziła weekend?
- W Laidells Hali w Laidell w hrabstwie Essex.
- Proszę o nazwiska osób, u których pani była.
- Państwo Bentinckowie.
- Wyjechała od nich pani dzisiaj rano?
- Tak.
- Musiała pani wyjechać bardzo wcześnie?
- Pan Bentinck odwiózł mnie samochodem. Wyjeżdżał wcześnie, ponieważ miał coś do załatwienia w mieście przed dziesiątą.

- Rozumiem.

Japp skinął głową. Odpowiedzi panny Plenderleith brzmiały przekonująco i były wyczerpujące.

- Jakie ma pani zdanie o panu Lavertonie-Weście - wtrącił Poirot.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jakie to ma znaczenie?
- Być może żadnego, lecz ciekaw jestem pani opinii o nim.
- Nie wiem, co mam powiedzieć. Młody... Ma około trzydziestu jeden lub dwu lat... Ambitny... Dobry mówca. Sądzę, że zajdzie wysoko.

- To jest strona "ma". A co po stronie "winien"?

- Cóż... - Panna Plenderleith zastanawiała się przez chwilę. - Według mnie jest banalny. Myśli, jakie wyraża, nie są szczególnie oryginalne... I jest trochę napuszczony.

- Nie są to zbyt istotne wady, mademoiselle - zauważył z uśmiechem Poirot.

- Naprawdę pan tak myśli? - W jej głosie brzmiała nieznaczna ironia.

- Pani zapewne nie zgadza się ze mną. Obserwując ją, Poirot zauważył, że się lekko zmieszała. Postanowił skorzystać z uzyskanej przewagi.

- A pani Allen...? Ona chyba tego nie dostrzegła?

- Ma pan całkowitą rację. Barbara uważała, że jest cudowny. Patrzyła na niego jego własnymi oczyma.

- Pani lubiła swą przyjaciółkę?

Dostrzegł, jak zacisnęła dłonie na kolanach, zacisnęła zęby i dopiero po chwili odparła bezbarwnym głosem:

- Ma pan rację. Lubiłam ją.

- Jeszcze jedno pytanie, panno Plenderleith... - wtrącił Japp. - Czy panie nie kłóciłyście się? Nie było między wami jakichś nieporozumień?

- Żadnych.

- Nawet na tle tego... narzeczeństwa?

- Oczywiście, że nie. Cieszyłam się, że była taka szczęśliwa.

Po krótkiej przerwie Japp zapytał:

- Może pani wie, czy Barbara Allen miała jakichś wrogów?

Zapanowało wyraźnie dłuższe milczenie, zanim Jane Plenderleith odpowiedziała. Jej głos zmienił się nieco.

- Nie wiem, co pan ma na myśli, mówiąc o wrogach.

- Powiedzmy kogoś, kto mógł odnieść korzyść z jej śmierci?

- O nie, nie, to doprawdy śmieszne! Nie była bogata, nie miała wielkiego majątku.

- Kto po niej dziedziczy?

W głosie panny Plenderleith dało się wyczuć zaskoczenie.

- Wie pan, naprawdę nie mam pojęcia. Jednak nie byłabym zdziwiona, gdybym to ja dziedziczyła. Naturalnie, jeśli sporządziła testament.

- Nikt nie odczuwał wobec niej zazdrości? Nie pragnął zemsty? - pytał Japp.

- Nie wiem, czy znalazłby się ktoś, kto by jej zazdrościł lub nienawidził... To była bardzo porządna osoba. Naprawdę dawała się lubić.

Po raz pierwszy jej twardy dotychczas głos jakby nieco złagodniał. Poirot skinął głową w milczeniu.

- Z tego wszystkiego wynika więc - rzekł Japp - że pani Allen ostatnio była w dobrym nastroju, nie miała kłopotów finansowych i z powodu niedawnych zaręczyn była szczęśliwa. Nie miała więc najmniejszego nawet powodu, aby popełnić samobójstwo! Zgadza się czy nie?

Zapanowała cisza, którą przerwała Jane:

- Tak - przyznała Jane po dłuższej chwili.

- Proszę mi wybaczyć - oświadczył Japp wstając - ale muszę porozmawiać z inspektorem Jamesonem.

I wyszedł z pokoju.

Herkules Poirot pozostał tete a tete z Jane Plenderleith.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przez kilka minut panowało milczenie.

Jane Plenderleith obrzuciła małego detektywa krótkim, szacującym spojrzeniem, potem nie odzywając się, patrzyła nieruchomo przed siebie. Jednak w jej zachowaniu widać było jakieś napięcie. Stwarzała pozory obojętności, lecz w środku była czujna. Kiedy wreszcie Poirot przerwał tę nieprzyjemną ciszę, wydawało się, że jego głos przyniósł jej ulgę. Zadał jej pytanie normalnym, uprzejmym tonem:

- Kiedy pani zapaliła ogień, mademoiselle?

- Ogień? - spytała niepewnie. - Ach, tak! Dziś rano... Jak tylko przyjechałam.

- Zanim pani poszła na górę czy po zejściu na dół?

- Zanim poszłam na górę.

- Aha. Tak, oczywiście... I było już nałożone do kominka? Czy może pani sama nałożyła?

- Wszystko było przygotowane. Ja tylko podpaliłam. - W jej głosie brzmiało lekkie zniecierpliwienie. Najwyraźniej podejrzewała, że Poirot usiłuje jedynie potrzymać rozmowę. Możliwe, że było tak w istocie...

Tymczasem Poirot ciągnął dalej obojętnym tonem:

- Ale w pokoju pani przyjaciółki, jak sam zauważyłem, jest tylko piecyk gazowy, prawda?

Jane Plenderleith odparła automatycznie:

- Tylko tu możemy palić węglem, w pozostałych pokojach jest ogrzewanie gazowe.
- Panie również gotowały na gazie?
- Przypuszczam, że obecnie wszyscy tak gotują.
- Prawda. To oszczędza wiele pracy.

Rozmowa zamarła. Jane Plenderleith stuknęła bucikiem o podłogę. Nagle powiedziała szorstko:

- Ten nadinspektor Japp jest bystry, prawda?
- Tak, to bardzo rozsądny człowiek. Dobrze prowadzi śledztwo. Pracowity, solidny i... nic nie umyka jego uwadze.
- Ciekawe... - mruknęła Jane Plenderleith.

Poirot obserwował ją z uwagą. Oświetlone blaskiem ognia na kominku, jej oczy wydawały się zupełnie zielone.

- To był dla pani wielki szok? - zapytał spokojnie.
- Okropny.

Powiedziała to z zaskakującą szczerością.

- Nie spodziewała się pani czegoś podobnego, prawda?
- Oczywiście, że nie.
- Na pierwszy rzut oka wydawało się pani to wszystko niemożliwe... Czy też może jednak...

Bezpośredniość tego pytania i miły ton głosu przełamały opór Jane Plenderleith.

- Tak,' ma pan rację - odparła impulsywnie. Nawet gdyby Barbara popełniła samobójstwo, to nie wyobrażam sobie, aby mogła zastrzelić się w ten sposób!
- Przecież miała pistolet?

Jane Plenderleith machnęła niecierpliwie ręką.

- Kupiła go dawno temu, gdy mieszkała w jakiejś dziurze za granicą. Trzymała go, bo był pamiątką. O nic innego nie chodziło, jestem tego pewna!
- Dlaczego jest pani tego tak pewna?
- Sądzę tak na podstawie tego, co mi mówiła.
- A co mówiła?

Głos Poirota był łagodny i przyjazny, skłaniał do zwierzeń.

- No, na przykład, kiedy raz rozmawialiśmy o samobójstwie, powiedziała, że najwygodniej jest po prostu otworzyć gaz, zamknąć się w pokoju i położyć do łóżka.

Oświadczyłam wówczas, że byłoby straszne tak leżeć i czekać, już lepiej się zastrzelić. Wówczas Barbara powiedziała, że ona nigdy by tego nie zrobiła. Że boi się, że mogłaby nie umrzeć od razu, a poza tym nie lubi huk.

- Rozumiem - rzekł Poirot. - Ale to dziwne... Przecież sama pani przed chwilą mówiła, że w jej pokoju znajduje się piecyk gazowy.

Jane Plenderleith spojrzała na niego lekko zaskoczona.

- Rzeczywiście... Nie rozumiem, doprawdy nie mogę pojąć, dlaczego nie wybrała tego sposobu...

Poirot potrząsnął głową.

- Tak, to wydaje się dziwne... W każdym razie nienaturalne.

- Tego rodzaju sprawy nigdy nie wydają się naturalne. Ciągle nie mogę uwierzyć w to, że się zastrzeliła. Przypuszczam, że to musi być samobójstwo?

- Jest jeszcze inna możliwość.

- Co pan ma na myśli?

Poirot spojrzał jej prosto w oczy.

- To może być... morderstwo.

- Och, nie? - Jane Plenderleith aż się wzdrygnęła. - Cóż za straszne przypuszczenie.

- Straszne? Być może, ale nie przyszło to, pani do głowy?

- Ale drzwi były od środka zamknięte na klucz. Okna również...

- Drzwi były zamknięte - zgadza się. Jednak nie mamy nic, co wskazywałoby na to, z której strony - od środka czy z zewnątrz. Poza tym, widzi pani, zaginął klucz.

- Ale jeżeli... Jeżeli zaginął klucz... - Zawiesiła głos. - Wobec tego drzwi zamknięto z zewnątrz, w przeciwnym bowiem razie klucz znajdowałby się gdzieś w pokoju.

- Tego nie wiem, gdyż pokój nie został jeszcze gruntownie przeszukany. Klucz mógł również zostać wyrzucony przez okno i ktoś mógł go znaleźć i zabrać.

- Morderstwo! - mruknęła Jane Plenderleith. Przez chwilę rozważała tę możliwość. Na jej inteligentnej twarzy o ciemnej karnacji malowało się skupienie. - Myślę... Myślę, że ma pan rację.

- Ale jeżeli to było morderstwo, musiał być jakiś motyw. Czy zna pani jakiś motyw? Wolno pokręciła głową. Pomimo tego zaprzeczenia Poirot czuł, że Jane Plenderleith celowo coś ukrywa. Otworzyły się drzwi i wszedł Japp.

Poirot wstał.

- Właśnie zasugerowałem pani Plenderleith - rzekł - że jej przyjaciółka nie popełniła samobójstwa.

Japp przez chwilę wydawał się zaskoczony. Spojrzał z wyrzutem na Poirota.

- Za wcześnie wydawać sąd w tej sprawie - zauważył. - Pani rozumie, że oczywiście zawsze bierzemy pod uwagę wszystkie możliwości. Teraz też musimy tak zrobić.

Jane Plenderleith odparła spokojnie:

- Rozumiem.

Japp podszedł do niej.

- Panno Plenderleith, czy pani to już kiedyś widziała?

- Trzymał w palcach mały, ciemnozielony, owalny emaliowany przedmiot.

- Nie, nigdy.

- To nie jest własność pani ani pani Allen?

- Nie. Przecież kobiety nie noszą tego, prawda?

- Ach, więc rozpoznaje pani, co to jest?

- Tak. Chyba łatwo to rozpoznać? To jest połówka męskiej spinki do mankietu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Ta młoda kobieta jest za bardzo pewna siebie - narzekał Japp.

Mężczyźni znajdowali się w sypialni pani Allen. Ciało zostało już zabrane. Specjalista od daktyloskopii skończył swoją pracę i odszedł.

- Byłaby niewskazane traktować ją jako osobę głupią - zauważył Poirot. - Absolutnie. To sprytna i znająca się na rzeczy dziewczyna.

- Myślisz, że to ona? - rzucił Japp z cieniem nadziei.

- Sądzę, że byłaby do tego zdolna. Ale ma, niestety, doskonałe alibi. Może pokłóciły się o tego młodzieńca, tego obiecującego posła do parlamentu? Myślę, że zbyt ostro się o nim wyraża! To brzmi podejrzanie. Może była w nim zakochana, a on ją porzucił. Taka kobieta jak ona potrafiłaby usunąć każdego, kto by stanął na jej drodze. Tak, musimy przeanalizować to alibi. Zbyt dobre, a poza tym Essex nie leży znów tak daleko. Są dogodne połączenia kolejowe. Albo mogła wziąć -szybki samochód. Warto by sprawdzić, czy na przykład ostatniej nocy nie poszła spać z bólem głowy.

- Masz rację - zgodził się Poirot.

- Tak czy inaczej - kontynuował Japp - ona coś ukrywa. Zgadzasz się ze mną? Ta młoda dama coś wie.

Poirot przytaknął zamyślony.

- Tak, to można wyraźnie dostrzec.

- W takich wypadkach to normalne - skarżył się Japp. - Ludzie trzymają język za zębami, czasami zresztą z godnych szacunku pobudek.

- Trudno ich za to winić, mój drogi.

- Oczywiście, ale to stwarza wielkie komplikacje - stwierdził Japp z niezadowoleniem.

- No tak, ale równocześnie daje większe szansę, żebyś mógł błysnąć swoją inteligencją - pocieszył go Poirot. - A przy okazji... Co z odciskami palców?

- Potwierdzają, że to morderstwo. Na pistolecie nie ma żadnych śladów. Zostały dokładnie wytarte przed włożeniem go w dłoń pani Allen. Nawet jeśli by dosięgnęła prawą ręką do lewej skroni, nie mogłaby oddać strzału bez naciśnięcia na spust, a po śmierci nikt nie miał okazji usunąć odcisków palców.

- Nie, nie, wszystko wyraźnie wskazuje na czyjąś interwencję.

- Nigdzie nie ma odcisków palców. Ani na klamce, ani na oknie. Zastanawiające, prawda? W innych miejscach natomiast znaleźliśmy mnóstwo odcisków pani Allen.

- Czy Jameson dowiedział się jeszcze czegoś?

- Od tej sprzątaczkii? Nie. Gadała bez przerwy, ale naprawdę to wiele nie wie. Potwierdziła tylko fakt, że pani Allen i panna Plenderleith były przyjaciółkami. Posłałem Jamesorra, aby przeprowadził śledztwo w pobliskich zaułkach. Mamy też wiadomości o panu Lavertonie-Westcie. Wiemy, gdzie był i co robił ostatniej nocy. Tymczasem możemy jeszcze przejrzeć jej papiery.

Przystąpił do tego bez większych ceregieli. Od czasu do czasu pomrukiwał i podrzucał coś Poirotowi. Przeglądanie papierów nie trwało długo. W biurku nie znaleźli ich wiele. Większość była starannie poukładana i odpowiednio posegregowana.

Wreszcie Japp oparł się o biurko z westchnieniem rozczarowania.

- Nic interesującego?...

- Właśnie.

- W większości nieciekawe... Zapłacone rachunki... Kilka jeszcze nie zapłaconych, poza tym nic szczególnego. Jakieś zaproszenia na zebrania. Listy od przyjaciół -

położył rękę na pliku siedmiu czy ośmiu listów. - Książeczka czekowa i książeczka bankowa.

- Czy znalazłeś w nich coś?

- Owszem, przekroczyła konto.

- Coś jeszcze? Poirot się uśmiechnął.

- Czy to ma być egzamin? Dobrze, więc wiem, co masz na myśli: trzy miesiące temu podjęła dwieście funtów. Wczoraj również dwieście...

- I żadnych czeków, poza tymi, które opiewają na małe kwoty, najwyżej na piętnaście funtów. Powiem ci jedno... W tym domu nie wydaje się wielkich sum. Cztery funty, dziesięć w torebce na codzienne wydatki i kilka szylingów na drobiazgi, to rozumiem. Myślę, że wszystko zaczyna być jasne.

- Sądzisz, że wczoraj dała komuś grubszą forszę?

- Tak. Pytanie, komu?

Otworzyły się drzwi i wszedł inspektor Jameson.

- A, Jameson! Masz coś?

- Tak, kilka interesujących szczegółów. Zacznę od tego, że jak dotąd nikt nie słyszał strzału. Kilka kobiet wprawdzie twierdzi, że słyszało, ponieważ chciało go słyszeć. Ale przy tych wszystkich fajerwerkach nie mamy nawet cienia szansy.

Japp chrząknął.

- Niestety. Ale mów dalej.

- Pani Allen była wczoraj w domu przez większość popołudnia i wieczoru. Wróciła około piątej i wyszła znów około szóstej, lecz tylko po to, aby wrzucić list do skrzynki pocztowej przy końcu zaułka. Mniej więcej o dziewiątej trzydzieści zatrzymał się przed domem samochód marki Standard Swallow i wysiadł z niego mężczyzna. Opisano go jako dżentelmena czterdziestopięcioletniego, dobrze zbudowanego, o wyglądzie wojskowego. Na głowie miał kapelusz, ubrany był w ciemnoniebieski płaszcz. Prócz tego niektórzy zauważyli, że nosi mały wąsik, podobny do szczoteczki do zębów. James Hogg, szofer spod numeru osiemnastego, twierdził, że ten mężczyzna już przedtem odwiedzał panią Allen.

- Czterdziestopięcioletni... - powtórzył Japp. - To nie pasuje do Lavertona-Westa.

- Ten człowiek gościł tu niecałą godzinę. Wszedł około dziesiątej dwadzieścia. Stał w drzwiach i mówił coś do pani Allen. Mały chłopiec, Fryderyk Hogg, znalazł się akurat w pobliżu i słyszał jego słowa.

- Co mówił?

- "No, przemyśl to jeszcze i daj mi znać". Potem ona coś powiedziała, a on odparł: "Dobrze. Do zobaczenia". Potem wsiadł do samochodu i odjechał.

- Była wtedy godzina dziesiąta dwadzieścia... - rzekł Poirot w zamyśleniu.

Japp potarł nos.

- A zatem o dziesiątej dwadzieścia pani Allen jeszcze żyła - rzekł. - Co dalej?

- Nie dowiedziałem się więcej niczego szczególnego. Szofer spod numeru dwudziestego drugiego wrócił do domu o dziesiątej trzydziści. Obiecał swoim dzieciom, że będzie z nimi puszczał sztuczne ognie. Dzieciaki czekały na niego, zresztą razem z gromadą kolegów. Gdy wrócił, puszczały sztuczne ognie i wszyscy je obserwowali. A potem wszyscy poszli spać.

- I nie zauważono, by jeszcze ktoś wchodził do domu pod numerem czternastym.

- Nie. Lecz to o niczym nie świadczy. I tak nikt by nie zauważył. - Mhm - mruknął Japp. - Musimy znaleźć tego dżentelmena o wojskowym wyglądzie, z małym wąsikiem. Wydaje się, że był ostatnią osobą, która widziała panią Allen żywą. Zastanawiam się, kto to mógł być.

- Może panna Plenderleith będzie mogła to wyjaśnić - podsunął Poirot.

- Może tak - odparł ponuro Japp - a może nie. Nie wątpię, że gdyby chciała, powiedziała nam niejedno. Ale co z tobą, Poirot, mój stary? Przecież długo siedziałeś tu z nią sam na sam! Gdzie twoja metoda "ojca spowiednika", która czasem jest taka skuteczna?

Poirot rozłożył ręce.

- Niestety, mówiliśmy tylko o gazowych piecykach.

- O gazowych piecykach, o gazowych piecykach... - powtórzył z niesmakiem Japp. - Co się z tobą dzieje? Przedtem interesowały cię tylko kosze do papierów i pióra! Widziałem, jak przetrząsałeś kosz na parterze. I co, znalazłeś coś?

Poirot westchnął.

- Katalog cebulek kwiatowych i stary magazyn.

- A po co w ogóle to robisz? Jeżeli ktoś chciał wyrzucić obciążające dokumenty czy to coś, czego szukasz, to przecież nie do kosza na śmieci?

- To, co mówisz, jest prawdą. Tam jedynie mogą być papiery bez znaczenia... - przyznał zgodliwie Poirot. Niemniej Japp spojrzał na niego podejrzliwie.

- No, ja w każdym razie wiem, co robić dalej - oświadczył. - A ty?

- Eh bien - odparł Poirot. - Ja dokończę moich poszukiwań rzeczy nieważnych. Został mi jeszcze jeden kosz na śmieci.

Po czym szybko i cicho wyszedł z pokoju. Japp patrzył za nim chwilę zdeglustowany i mruknął do siebie:

- Zwariował. Zupełnie zwariował.

Inspektor Jameson milczał z szacunkiem, ale na jego twarzy pojawił się typowo brytyjski grymas wyższości, mówiący: "Ci obcokrajowcy!"

Głośno zaś rzekł:

- Cały pan Poirot! Wiele o nim słyszałem.

- To mój stary przyjaciel - wyjaśnił Japp. - Nie jest wcale taki łagodny, na jakiego wygląda. Pamiętaj o tym. Mam wrażenie, że on już coś wie.

- Trochę zramolały, jak to się mówi - zauważył inspektor Jameson. - Cóż, wiek robi swoje.

- A mimo to - rzekł Japp - chciałbym wiedzieć, co mu się snuje po głowie.

Podszedł do biurka i patrzył z niepokojem na szmaragdowe pióro.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Japp właśnie przesłuchiwał żonę trzeciego taksówkarza, gdy Poirot podszedł cicho jak kot i stanął tuż obok.

- O, przestraszyłeś mnie - rzekł Japp. - Masz coś?

- Nie to, czego się spodziewałem.

Japp odwrócił się do pani Hogg.

- Więc twierdzi pani, że widziała już pani przedtem tego dżentelmena.

- O tak. I mój mąż także. Od razu go poznaliśmy.

- Proszę posłuchać, pani Hogg. Jak się zdążyłem zorientować, jest pani bystrą kobietą. Nie wątpię, że wie pani wszystko o każdym mieszkańcu tej ulicy. Poza tym jest pani rozsądna... niezwykle rozsądna i mógłbym powiedzieć, że... - niczym nie zrażony powtarzał te frazesy już po raz trzeci. Pani Hogg, nieco w ten sposób rozbrojona, przybrała wszechwiedzącą minę. - Teraz proszę mi powiedzieć, co pani sądzi o tych dwóch kobietach - o pani Allen i o panie Plenderleith. Jakie one były? Czy były wesole? Lubiły się zabawić?

- O nie, nic z tych rzeczy. Dużo wychodziły. Szczególnie pani Allen. Obie mają klasę, to damy. No, wie pan, co mam na myśli. Nie tak jak inne, które mogłabym wskazać na tej ulicy. Taka na przykład pani Stevens... Jeżeli w ogóle jest mężatką, w co osobiście bardzo wątpię... No, ale nie mogę panu powiedzieć, dokąd wychodziły i po co...

- Całkiem słusznie - Japp powstrzymał potok słów. - Tak, to, co mi pani powiedziała, jest bardzo ważne. A zatem pani Allen i panna Plenderleith były lubiane?

- O tak, to bardzo miłe damy - obie... A szczególnie pani Allen... Zawsze miała ciepłe słowo dla każdego dziecka. Jak słyszałam, straciła córeczkę, biedactwo. Ja sama pochowałam trójkę i wiem, co mówię...

- Tak, tak, to bardzo smutne. A panna Plenderleith?

- No, oczywiście, ona też jest bardzo miła, ale może bardziej szorstka. Tylko skinęła głową, jak przechodziła, nawet nie przystanęła, żeby porozmawiać. Ale nic nie mam przeciwko niej. Absolutnie nic!

- Czy żyły z sobą w zgodzie?

- O tak, proszę pana. Nie kłóciły się... Nic z tych rzeczy. Żyły szczęśliwie i zgodnie. Jestem pewna, że pani Pierce to potwierdzi.

- Tak, już z nią rozmawialiśmy. Zna pani z widzenia narzeczonego pani Allen?

- Tego dżentelmena, za którego chciała wyjść? Tak. Był tu kilka razy. Mówią, że to poseł do parlamentu.

- Czy to on odwiedził ją wczoraj wieczór?

- Nie, to nie był on. - Pani Hogg wyprostowała się. W jej głosie zabrzmiała nuta podniecenia, skrywanego dotąd pod maską sztywności. - Ale jeśli teraz zapyta mnie pan o to, o co myślę że chce mnie pan zapytać, to się pan myli, pani Allen nie była taką kobietą. Tego jestem pewna. To prawda, nikogo nie było domu, ale ja nie wierzę w te rzeczy. Powiedziałam dziś rano do męża: "Nie, Hogg - mówiłam - pani Allen to uczciwa kobieta. To prawdziwa dama. Nie masz racji z tymi głupimi domysłami". Wiadomo, jacy są mężczyźni. Zawsze mają kosmate myśli.

Puszczając mimo uszu, Japp kontynuował:

- Widziała pani, jak wchodził, i widziała pani, jak wychodził... Tak czy nie?

- Zgadza się, widziałam.

- A może pani przy okazji coś usłyszała? Jakaś kłótnię, jakąś wymianę zdań...?

- Nie, proszę pana, nic nie usłyszałam. Nie usłyszałam nie dlatego, żebym takich rzeczy nie mogła usłyszeć, wręcz przeciwnie, tu wszystko się słyszy, każdy słyszy, jak pani Stevens drze się na tę biedną, wystraszoną dziewczynę... Wszyscy radziliśmy jej, żeby nie zostawała u pani Stevens. Ale, widzi pan, dobrze się u niej zarabia. Wprawdzie ma diabelski temperament, ale nieźle płaci... Japp szybko wtrącił:

- Ale niczego pani nie słyszała, z tego, co się działo pod numerem czternastym?

- Nie. Jak mogłam usłyszeć! Wszędzie w koło strzelały fajerwerki, a mój Eddie omal nie przypalił sobie brwi...

- Ten człowiek wyszedł o dziesiątej dwadzieścia... Zgadza się?

- Być może, proszę pana. Ja nie wiem. Ale mój mąż tak twierdzi, a jemu można wierzyć.

- Ale widziała go pani, kiedy wychodził. Słyszała pani, co mówił?

- Nie. Nie słyszałam, byłam za daleko. Widziałam go jedynie z mojego okna. Stał w drzwiach i rozmawiał z panią Allen.

- Ją pani też widziała?

- Tak, proszę pana, stała w drzwiach.

- Zauważyła pani, jak była ubrana?

- Tego nie umiem powiedzieć. Nie przyjrzałam się jakoś szczególnie.

- Ale może zauważyła pani, czy była ubrana w strój wieczorowy, czy dzienny? - zapytał Poirot.

- Nie, nie zauważyłam.

Poirot spojrział w zamyśleniu przez okno na dom pod numerem 14. Uśmiechnął się. On i Japp porozumieli się wzrokiem.

- A ten dżentelmen?

- Był w ciemnoniebieskim płaszczu i na głowie miał kapelusz. Wyglądał sztywnie i solidnie.

Japp zadał jeszcze kilka pytań i wezwał następnego badanego. Był nim Fryderyk Hogg, wesołooki chłopiec, celebrujący z powagą swą rolę.

Tak, proszę pana, słyszałem, jak mówił: "No, przemyśl to jeszcze i daj mi znać". Tak powiedział. Potem ona coś powiedziała, a on jej odpowiedział: "Dobrze. Do zobaczenia". Wsiadł do samochodu. Otworzyłem mu drzwi, ale nic mi nie dał - powiedział z lekkim żalem: - I odjechał.

- Czy nie dosłyszałaś, co mówiła pani Allen?

- Nie, proszę pana.

- Możesz powiedzieć, jak była ubrana? Na przykład, jakiego koloru była jej suknia?

- Tego też nie mogę powiedzieć. Wie pan, tak naprawdę to jej nie widziałem. Drzwi ją zasłaniały.

- Zgadza się. Uważaj teraz, mój chłopcze - mówił Japp - i dobrze się zastanów. Chcę, żebyś się namyślił, zanim odpowiesz na moje następne pytanie. Jeżeli nie będziesz wiedział albo nie będziesz pamiętał, to powiedz o tym. Jasne?

- Tak, proszę pana.

Młody Hogg patrzył na Jappa z zainteresowaniem.

- Które z nich zamknęło drzwi: pani Allen czy ów dżentelmen?

- Frontowe drzwi?

- Oczywiście, że frontowe drzwi.

Chłopiec zastanawiał się. Wzniósł wzrok do góry w szalonym skupieniu.

- Wydaje mi się, że pani Allen... Nie, nie ona... To on zamknął. Chwycił klamkę i szarpnął tak, że zatrzęsnęły się z hałasem, po czym szybko wskoczył do samochodu. Sprawiał wrażenie, jakby się gdzieś spieszył.

- Dobrze. No, młody człowieku, jesteś bystrym chłopcem. Masz tu kilka pensów. Po odejściu młodego Hogga Japp zwrócił się do Poirota. Obaj powoli, równocześnie skinęli głowami.

- To możliwe - rzekł Japp.

- Tak, są różne możliwości - zgodził się Poirot. Jego kocie oczy płonęły zielonym światłem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po powrocie do saloniku pod numerem 14 Japp natychmiast przeszedł do sedna.

- Pomówmy teraz szczerze, panno Plenderleith... Chyba lepiej wyrzucić z siebie wszystko, tu i teraz. I tak się na tym skończy.

Jane Plenderleith uniosła brwi. Stała przy obramowaniu kominka, wdzięcznie grzejąc stopę nad ogniem.

- Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

- Czyżby, panno Plenderleith? Wzruszyła ramionami.

- Odpowiedziałam na wszystkie pańskie pytania. Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

- Otóż, według mnie, mogłaby pani o wiele więcej, gdyby oczywiście pani zechciała.

- To jest tylko pańska opinia, prawda, panie nadinspektorze?

Japp poczerwieniał.

- Myślę - wtrącił Poirot - że pani lepiej oceni przyczynę twoich pytań, jeśli wyjaśnisz, na czym polega cała sprawa.

- To zupełnie proste. A zatem, panno Plenderleith, fakty są następujące: pani przyjaciółkę znaleźliśmy z przestrzeloną głową i z pistoletem w dłoni, w pokoju z zamkniętymi drzwiami i oknami. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że popełniła samobójstwo. Ale to nie było samobójstwo. Potwierdziło to badanie lekarskie.

- W jaki sposób?

Chłód i ironia zniknęła z jej głosu. Pochyliła się do przodu i z uwagą wpatrywała w jego twarz.

- Wprawdzie trzymała pistolet w dłoni, ale nie było na nim odcisków jej palców! W ogóle na powierzchni broni nie było żadnych odcisków! Poza tym kąt, pod jakim kula weszła w ciało, całkowicie wyklucza możliwość samobójstwa. Idźmy dalej... Nie zostawiła żadnego listu, co jest raczej niezwykle w wypadku samobójstwa. I chociaż drzwi były zamknięte na klucz, klucza nigdzie nie znaleziono.

Jane Plenderleith odwróciła się wolno, podeszła do krzesła i usiadła twarzą do Poirota.

- A więc to tak! - powiedziała. - Czułam, że samobójstwo jest niemożliwe! I miałam rację! Ona sama się nie zastrzeliła. Ktoś inny to zrobił! - Przez chwilę milczała. Nagle podniosła głowę. - Proszę pytać - oznajmiła. - W miarę moich możliwości odpowiem na każde pytanie.

Japp zaczął:

- Ostatniego wieczoru pani Allen miała gościa. Opisano nam go jako mężczyznę czterdziestopięcioletniego, o wyglądzie wojskowego, z małym wąsikiem, ubranego dość elegancko. Przyjechał tu samochodem marki Standard Swallow. Czy pani wie, kto to był? - spytał Japp.

- Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że powyższy opis pasowałby do majora Eustace'a.

- Kim jest major Eustace? Proszę mi wszystko o nim powiedzieć.

- Barbara poznała go za granicą. W Indiach. Wrócił przed rokiem i od tego momentu widywałyśmy go od czasu do czasu.

- Czy był przyjacielem pani Allen?

- Zachowywał się tak, jakby nim był - odpowiedziała sucho Jane.

- A jak ona go traktowała?

- Nie sądzę, aby go naprawdę lubiła - raczej jestem pewna, że go nie lubiła.

- Ale oficjalnie traktowała go jako przyjaciela?

- Tak.

- Czy ona - proszę mnie dobrze zrozumieć, panno Plenderleith - czasami nie sprawiała wrażenia, jakby się go bała?

- Tak, wydaje mi się, że tak - odpowiedziała. - Zawsze w jego towarzystwie była zdenerwowana.

- Czy pan Laverton-West zetknął się z nim?

- Sądzę, że tylko raz. Nie zdążyli się lepiej poznać. Major Eustace, jak to się mówi, starał się być uprzejmy dla Charlesa, jak tylko mógł, ale Charles nie dał się nabrać. Charles potrafi wywęszyć, kto nie jest całkiem, całkiem.

- A major nie był - jak pani to określiła - całkiem, całkiem? - spytał Poirot.

Dziewczyna odparła oziębło:

- Nie, nie był. To człowiek nieokrzesany. Z pewnością nie pozbawiony zbytnej pewności siebie.

- Niestety, nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, co to oznacza, ale sądzę, że chciała pani powiedzieć, że on nie był pukka sahib?

Szybki uśmiech przemknął po twarzy Jane Plenderleith, ale odparła poważnie:

- Nie był, ma pan rację.

- Czy zaskoczyłoby panią, panno Plenderleith, gdybym zasugerował, że szantażował panią Allen?

Japp z satysfakcją obserwował efekt swych słów.

Dziewczyna gwałtownie pochyliła się ku niemu, jej policzki poczerwieniały, a dłonie zacisnęły się na oparciu fotela.

- Tak było! Ma pan rację! Jakaż ja byłam głupia, że mi to na myśl nie przyszło. Oczywiście!

- Uważa pani to za prawdopodobne, mademoiselle? - zapytał Poirot. - Ale byłam głupia, że o tym nie pomyślałam! Przecież Barbara w ciągu ostatnich sześciu

miesiący kilka razy pożyczła ode mnie niewielkie sumy. Widziałam też, jak siedziała, wpatrując się w książeczkę bankową. Wiedziałam, że ma spory majątek, więc nie byłam zaniepokojona, ale jeśli stale płaciła poważne sumy, to...

- I to byłoby zgodne z jej zachowaniem... Tak?

- Całkowicie. Była czasami nerwowa, a nigdy przedtem nie sprawiała takiego wrażenia.

- Przepraszam, ale teraz mówi pani zupełnie coś innego niż przedtem - wtrącił łagodnie Poirot.

- Chodzi o co innego. - Jane Plenderleith machnęła niecierpliwie ręką. - Nie była przygnębiona. To znaczy nie wyglądała tak, jakby zamierzała popełnić samobójstwo czy coś w tym rodzaju. Ale szantaż, tak. Gdyby zwierzyła się mi z tego, wysłałabym go do diabła!

- Ale on zamiast pójść do diabła, mógł pójść do pana Lavertona-Westa? - zauważył Poirot.

- Tak - odparła wolno Jane Plenderleith. - Tak... To prawda...

- Czy domyśla się pani, co ten człowiek mógł na nią mieć? - zapytał Japp.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Znając Barbarę, nie mogę uwierzyć, żeby to mogło być coś naprawdę groźnego. Jednak z drugiej strony... - przerwała na chwilę i po chwili podjęła: - Chcę powiedzieć, że Barbara była w pewnych sprawach głuptasem. Faktem jest, że zawsze dawała się łatwo zastraszyć, a takie są dobrym obiektem dla szantażystów. Wstrętne bydlę!

Ostatnie dwa słowa wypowiedziała z prawdziwym jadem.

- Na nieszczęście - rzekł Poirot - zbrodnia obrała niewłaściwy kierunek. Przecież ofiarą zwykle jest w takim wypadku szantażysta, nie zaś ofiara szantażu. Jane Plenderleith lekko ściągnęła brwi.

- Nie... To prawda. Ale mogę sobie wyobrazić, że pewnych okolicznościach...

- Jakich?

- Przypuśćmy, że doprowadził ją do ostateczności... Mogła mu grozić, że zastrzeli go tym głupim małym pistoletem. On próbował wykręcić jej rękę i podczas walki pistolet nagle wypalił, zabijając ją. Potem on, przerażony tym, co zrobił, upozorował samobójstwo.

- Być może - zgodził się Japp. - I tu jednak wyłaniają się wątpliwości.

Patrzyła na niego pytająco.

- Major Eustace (jeśli to był on) odszedł stąd wczoraj wieczorem o dziesiątej dwadzieścia i stojąc w drzwiach, pożegnał panią Allen.

Twarz dziewczyny wydłużyła się.

- Rozumiem... - przerwała na chwilę. - Ale mógł później wrócić.

- Tak, to możliwe - zauważył Poirot.

- Proszę mi powiedzieć, panno Plenderleith, gdzie zazwyczaj pani Allen przyjmowała gości, tutaj czy w pokoju na piętrze? - spytał Japp.

- I tu, i tam. Tu prosiła gości, jeśli miała większe przejęcie. I ja przyjmowałam tu moich przyjaciół. Umówiliśmy się, że Barbara weźmie większą sypialnię i będzie używać jej jednocześnie jako salonu, a ja wezmę mniejszą sypialnię i ten pokój.

- Jeżeli major Eustace przyszedł na spotkanie wczorajszego wieczoru, to w którym pokoju, według pani, przyjęła go pani Allen?

- Sądzę, że prawdopodobnie przyjęła go tutaj. - W głosie dziewczyny zabrzmiała nieznaczna wątpliwość. - To byłoby mniej intymne. Jednak z drugiej strony, gdyby chciała wypisać czek czy coś w tym rodzaju, prawdopodobnie musiałaby udać się z nim na górę. Tu nie miałyby czym pisać. Japp potrząsnął głową.

- Nie chodzi o czek. Pani Allen wczoraj podjęła dwieście funtów w gotówce i - o ile zdołaliśmy sprawdzić - w domu nie ma po nich żadnego śladu.

- Więc dała je temu bydlakowi? O, biedna Barbara! Biedna, biedna Barbara!

Poirot chrząknął.

- Chyba że - jak pani zauważyła - był to w mniejszym lub większym stopniu nieszczęśliwy wypadek. Wydaje się bowiem rzeczą niemożliwą, aby on sam chciał zlikwidować tak regularne źródło dochodów i ją zastrzelił.

- Wypadek? Nie wierzę w to! Stracił nad sobą kontrolę i ją zastrzelił.

- Więc według pani to się właśnie tak stało?

- Tak. - I dodała gwałtownie: - To było morderstwo... Morderstwo!

- Nie twierdzę, że pani się myli, mademoiselle - wyjaśnił Poirot.

- Jakie papierosy paliła pani Allen? - zapytał Japp.

- Słabe. Znajdzie je pan w tej kasetce.

Japp otworzył małą kasetkę i skinął głową. Wyjął kilka papierosów i wsunął je do kieszeni.

- A pani, mademoiselle? - spytał Poirot.

- Ja też palę te papierosy.

- Nie pali pani tureckich?

- Nigdy.

- A pani Allen?

- Nie. Nie lubiła ich.

- A pan Laverton-West? - zapytał Poirot. - Jakie on pali?

Rzuciła mu przenikliwe spojrzenie.

- Charles? Jakie to ma znaczenie? Chyba nie podejrzewa pan, że zabił Barbarę?

Poirot wzruszył ramionami.

- Niejeden raz zdarzyło się, że mężczyzna zabił kobietę, którą przedtem kochał, mademoiselle.

Jane niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Charles nikogo by nie zabił. To bardzo ostrożny człowiek.

- Człowiek, który popełnił tak sprytne morderstwo, był ostrożny.

Patrzyła na niego badawczo.

- Jednak nie na skutek zasugerowanego właśnie przez pana motywu, panie Poirot.

- Nie, to prawda.

Japp wstał.

- Trochę się rozejrzę po mieszkaniu.

- Słusznie. Te pieniądze mogą być gdzieś schowane. Jestem tego pewna. Proszę, szukajcie, gdzie chcecie. Także w moim pokoju, chociaż nie przypuszczam, żeby Barbara tam je ukryła.

Poszukiwania Jappa były krótkie, lecz dokładne. Salon po kilku minutach nie miał dla niego sekretów. Potem udał się na piętro. Jane Plenderleith usiadła na poręczu fotela i paliła papierosa, patrzyła w ogień na kominku.

Poirot ją obserwował. Po kilku minutach spytał spokojnie:

- Czy pan Laverton-West jest obecnie w Londynie?

- Nie mam pojęcia. Sądzę raczej, że przebywa u rodziny w Hampshire. Przypuszczam, że powinnam była zatelegrafować do niego. To okropne. Zupełnie o tym zapomniałam.

- Niełatwo jest pamiętać o wszystkim, mademoiselle, kiedy zdarzy się taka katastrofa. Poza tym to zła nowina i może poczekać. Niebawem i tak się o niej dowie.

- Tak, to prawda - odparła, jakby nieobecna. Zabrzmiały kroki schodzącego z góry Jappa. Jane wyszła mu naprzeciw.

- No i...?

Japp potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nic, co by nam mogło pomóc, panno Plenderleith. Teraz obejrzę resztę domu. Ciekawi mnie jeszcze ta skrytka pod schodami. - I mówiąc to, chwycił za klamkę.

- Jest zamknięta na klucz - powiedziała Jane Plenderleith. W jej głosie było coś takiego, że obaj mężczyźni spojrzeli na nią szybko.

- Tak - odparł wesoło Japp. - Widzę. Pani z pewnością ma klucz.

Dziewczyna stała bez tchu, jak wyrzeźbiona w kamieniu.

- Nie bardzo... nie bardzo wiem, gdzie on jest.

Japp rzucił na nią szybkie spojrzenie.

- To bardzo źle, moja droga - rzucił lekko. - Nie chciałbym wyważać drzwi, bo mogą się zniszczyć. Mogę jednak posłać Jamesona po zestaw kluczy. Może coś dopasujemy.

- Chwileczkę - powiedziała. - Poszukam go... Poszła do salonu i po chwili pojawiła się z małym kluczykiem w ręce.

- Trzymamy skrytkę zamkniętą na klucz - wyjaśniła - ponieważ parasole i tym podobne przedmioty mają zwyczaj łatwo ginać.

- Godna polecenia ostrożność - pochwalił Japp, biorąc klucz.

Obrócił go w zamku i otworzył drzwi. W środku było ciemno. Japp wyjął kieszonkową latarkę i oświetlił wnętrze skrytki.

Poirot zauważył, że stojąca obok niego dziewczyna zamarła i wstrzymała oddech. Wodziła wzrokiem za smugą światła padającego z latarki Jappa.

W skrytce nie było wielu przedmiotów. Trzy parasole - jeden złamany - cztery laski, kije do golfa, dwie rakietki tenisowe, porządnie złożony dywanik i kilka w różnym stopniu zniszczonych poduszek na kanapę. Na koniec uwagę jego przyciągnął niewielki elegancki neseser.

Kiedy Japp wyciągnął rękę w jego kierunku, Jane Plenderleith powiedziała szybko:

- To mój. Przywiozłam go z sobą dziś rano. Nic w nim nie ma...

- Wolałbym się upewnić - rzekł Japp jeszcze bardziej przyjacielskim tonem niż poprzednio.

Neser nie był zamknięty. W środku znajdowały się zielone szczotki i różne flakoniki oraz dwa magazyny. Nic więcej.

Japp zbadał całość z natężoną uwagą. Wreszcie zamknął wieko. Kiedy zaczął pobieżnie oglądać poduszki, dziewczyna odetchnęła z wyraźną ulgą.

Poza wyżej wymienionymi przedmiotami w skrytce niczego więcej nie było. Japp wkrótce zakończył przegląd, zamknął drzwi na klucz i oddał go Jane Plenderleith.

- No - rzekł - to koniec poszukiwań. A teraz proszę mi dać adres pana Lavertona-Westa.

- Farlescombe Hali, Little Ledbury, Hampshire.

- Dziękuję pani, panno Plenderleith. To wszystko na dzisiaj. Ale być może wrócimy tu później. Proszę nic nikomu nie mówić. Do publicznej wiadomości podamy to jako samobójstwo.

- Oczywiście, to zupełnie zrozumiałe. Pożegnali się i wyszli.

- Co, u diabła, było w tej skrytce pod schodami? Tam coś musiało być.

- Owszem.

- Założę się o dziesięć do jednego, że to coś było w neserze! Jestem podwójnym osłem, jeśli tego nie i znajdę. Zajrzałem do wszystkich buteleczek, zbadałem podszewkę wyściełającą wewnątrz... Co, u licha, może tam być?

Poirot potrząsnął głową w zamyśleniu.

- Co tam jest, wie tylko ta dziewczyna - dodał Japp. - Przywiozła go z sobą dziś rano? Nie, z pewnością nie! Zauważyłeś tam dwa magazyny?

- Tak.

- Jeden z nich był z zeszłego roku!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia do mieszkania Poirota wpadł nadinspektor Japp i, rzuciwszy z niechęcią kapelusz na stół, opadł zmęczony na fotel.

- No tak - warknął - jest poza podejrzeniami.

- Kto jest poza podejrzeniami?

- Plenderleith. Grała do północy w brydża. Gospodarz, pani domu, gość - kapitan marynarki - i dwóch służących, wszyscy mogą to zaświadczyć pod przysięgą. Nie ulega wątpliwości, że nie miała z tym morderstwem nic wspólnego. Jednak

zastanawia mnie, dlaczego tak się zachowywała, kiedy znaleźliśmy ten neseser pod schodami. To coś z twojej dziedziny, Poirot. Ty lubisz, kiedy drobiazgi prowadzą do rozwiązania zagadki. Tajemnica małego neseseru - to brzmi całkiem obiecująco!

- Mógłbym zaproponować inny tytuł: Tajemniczy zapach dymu z papierosa.

- Trochę niezgrabny. Zapach...? Jaki zapach? Czy ten, który intensywnie wciągałeś przez nos, gdy pierwszy raz badaliśmy ciało? Widziałem to... I słyszałem! - Tu Japp pociągnął głośno trzy razy nosem. - Myślałem, że masz katar.

- Zupełnie się myliłeś, mój drogi. Japp westchnął.

- Nie mów, że nie tylko twoje szare komórki w mózgu, ale również komórki w nosie są lepsze niż u innych ludzi.

- Nie, nie, bądź spokojny.

- Ja osobiście nie czułem żadnego zapachu dymu z papierosa - zauważył Japp podejrzliwie.

- Ja również nie...

Japp spojrzał na Poirota z powątpiewaniem, następnie wyjął z kieszeni papierosa.

- Oto, co paliła pani Allen. Sześć niedopałków tych właśnie papierosów znaleźliśmy w jej pokoju. Pozostałe trzy to były tureckie papierosy.

- Zgadza się.

- Nie musiałeś się przyglądać, bo twój cudowny nos wiedział o tym od początku, jak sądzę!

- Zapewniam cię, że mój nos nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Mój nos niczego nie zarejestrował.

- Ale za to zarejestrowały coś twoje szare komórki...?

- Cóż... były pewne wskazówki... Nie zauważyłeś ich?

Japp przyjrzał mu się spod oka.

- Jakie?

- Eh bien, w pokoju bardzo wyraźnie czegoś brakowało. Również dodano tam coś. Poza tym, na biurku...

- Wiedziałem, że to powiesz! Chodzi ci o to cholerne pióro!

- Du tout. To pióro gra wyłącznie negatywną rolę.

- Charles Laverton-West ma przyjść do mnie do Scotland Yardu za pół godziny. Sądzę, że dobrze by było, gdybyś poszedł tam ze mną.

- Z przyjemnością.

- Z radością mogę ci donieść, że wpadliśmy na ślad majora Eustace'a. Ma służbowe mieszkanie przy Cromwell Road.

- Wspaniale.

- Mamy o czym z nim porozmawiać. Niezbyt miła osoba, ten major Eustace. Pójdziemy się z nim zobaczyć po spotkaniu z Lavertonem-Westem. Odpowiada ci?

- Całkowicie.

- Doskonale, więc idziemy.

O wpół do dwunastej do gabinetu Jappa wprowadzono Charlesa Lavertona-Westę.

Japp wstał i podał mu rękę.

Posel do parlamentu był przeciętnego wzrostu. Widać było, że ma silną osobowość. Gładko wygolony, z ruchliwymi jak u aktora ustami i trochę pogardliwym spojrzeniem, które tak często idzie w parze z darem wymowy, był spokojny i zrównoważony.

Chociaż był blady i nieco przygnębiony, jednak zachowywał się bardzo oficjalnie.

Usiadł, położył kapelusz i rękawiczki na stole i spojrzał na Jappa.

- Panie Laverton-West, na wstępie chciałbym podkreślić, że doskonale rozumiem, jak bardzo jest pan wstrząśnięty tym, co się stało.

- Nie dyskutujmy na temat moich uczuć. Proszę mi powiedzieć, nadinspektorze, czy wiecie już, co spowodowało, że moja... że pani Allen odebrała sobie życie?

- A pan nie mógłby nam w jakiś sposób pomóc?

- Niestety, nie.

- Nie było kłótni? Albo może jakiegoś oziębienia stosunków między wami?

- Bynajmniej. To był dla mnie straszny szok.

- Być może stanie się to dla pana bardziej zrozumiałe, jeśli powiem panu, że to nie było samobójstwo tylko... morderstwo.

- Morderstwo? - Charles Laverton-West wytrzeszczył oczy; wydawało się że wypadną mu z orbit. - Pan powiedział "morderstwo"?

- Zgadza się. A czy teraz, panie Laverton-West, czy ma pan jakieś podejrzenia co do tego, kto mógłby zamordować panią Allen?

- Nie... nie, absolutnie nie... - wykrztusił Laverton-West. - W żadnym wypadku! Sama myśl o tym jest dla mnie... niewyobrażalna.

- Nigdy nie wspominała, że ma jakichś wrogów? Może ktoś jej czegoś zazdrościł?

- Nigdy.

- Czy wie pan, że posiadała pistolet?

- Nic mi o tym nie było wiadomo. Wyglądał na trochę zaskoczonego.

- Panna Plenderleith powiedziała nam, że pańska narzeczona przed kilkoma laty przywiozła go z zagranicy.

- Naprawdę?

- Oczywiście, mamy w tej sprawie tylko zeznanie panny Plenderleith. Zupełnie możliwe, że pani Allen, czując jakieś niebezpieczeństwo, postanowiła zaopatrzyć się w broń.

Charles Laverton-West potrząsnął głową z powątpiewaniem. Wydawało się, że jest zmieszany i oszołomiony.

- Co pan sądzi o panie Plenderleith, panie Laverton-West? Czy jest to osoba godna zaufania?

Posel do parlamentu zastanawiał się przez chwilę.

- Tak sądzę.

- Pan jej nie lubi? - zasugerował Japp, obserwując go bacznie.

- Tego bym nie powiedział. Nie jest to jednak typ kobiety, któryby mnie pociągał. Unikam tego rodzaju sarkastycznych, niezależnych kobiet, ale uważam, że to osoba prawdomówna.

- Mhm - mruknął Japp i zapytał: - Zna pan majora Eustace'a?

- Eustace? Eustace? Ach tak, przypominam sobie to nazwisko. Spotkałem go raz u Barbary... U pani Allen. Według mnie człowiek o dość wątpliwej reputacji. Mówiłem to mojej... pani Allen. Nie należy do ludzi, których przyjmowałbym w naszym domu po ślubie.

- A co na to pani Allen?

- Och, całkowicie się ze mną zgadzała. Polegała na moich sądach. W końcu mężczyzna wie o drugim mężczyźnie więcej niż kobieta. Wyjaśniła mi, że nie mogła być niegrzeczna wobec człowieka, z którym spotkała się po tylu latach. Jestem przekonany, że szczególnie bała się uchodzić za snobkę! Oczywiście, jako moja żona, mogłaby przyjmować swoich dawnych znajomych, ale... takich na poziomie, jakbyśmy to określili, prawda?

- Sądziła zapewne, że poprzez małżeństwo z panem poprawi się jej pozycja towarzyska? - spytał Japp wprost.

Laverton-West oglądał doskonale wypielęgnowane paznokcie.

- Nie, nie, niezupełnie o to chodzi. Matka pani Allen była moją dalszą krewną. Jeśli chodzi o pochodzenie, byliśmy sobie jak najbardziej równi. Ale oczywiście ze względu na moją pozycję muszę bardzo ostrożnie dobierać przyjaciół... I moja przyszła żona również. Jest się cały czas na świeczniku.

- Och, to jasne - zgodził się sucho Japp i dodał: - A zatem nie może nam pan w niczym pomóc?

- Nie, w niczym. Jestem oszołomiony. Barbara zamordowana! To wydaje się niewiarygodne.

- A teraz, panie Laverton-West, chciałbym wiedzieć, co pan robił w nocy z piątego na szóstego listopada?

- Co robiłem? Co ja robiłem? - Laverton-West podniósł głos.

- To rutynowe pytanie - wyjaśnił Japp. - Pytamy o to wszystkich.

Charles Laverton-West popatrzył na niego z godnością. - Sądzę, że człowiek na moim stanowisku może być z tego zwolniony.

Japp czekał w milczeniu.

- Byłem... Zaraz, zaraz, muszę się zastanowić... Ach, tak! Byłem w parlamencie. Wyszedłem o wpół do jedenastej. Poszedłem przejść się po Embankment. Przyglądałem się fajerwerkom.

- Miło pomyśleć, że w dzisiejszych czasach nie ma takich spisków - zażartował Japp. Laverton-West rzucił mu zimne spojrzenie.

- A potem... mhm... wróciłem do domu.

- Ma pan oczywiście na myśli swój dom w Londynie przy Onslow Square. O której godzinie?

- Tego dokładnie nie wiem.

- Jedenasta? Wpół do dwunastej?

- Prawdopodobnie tak.

- Czy ktoś panu otwierał drzwi?

- Nie, mam klucz.

- Czy w czasie swojego spaceru spotkał pan kogoś?

- Nie... Ale doprawdy, panie nadinspektorze, czuję się bardzo dotknięty tymi pytaniami!

- Zapewniam pana, że to rutynowe pytania. Nie pytam pana o nic osobistego.

Ta odpowiedź najwyraźniej ułagodziła polityka.

- Jeżeli to wszystko...

- Tak, to na razie wszystko, panie Laverton-West.

- Chciałbym, żeby mnie pan informował...

- Oczywiście. Pozwoli pan, że przy okazji przedstawię mu Herkulesa Poirota. Może słyszał pan już o nim?

Oczy Lavertona-Westę spoczęły z zainteresowaniem na małym Belgu.

- Tak... tak... Słyszałem to nazwisko.

- Monsieur - rzekł Poirot, demonstrując nagle zupełnie niebrytyjski brak powściągliwości. - Proszę mi wierzyć, serdecznie panu współczuję. Jaka strata! Musi pan znosić straszne cierpienia. Ach, nie, nie mogę wprost o tym mówić. Jak wspaniale Anglik potrafi ukrywać swoje prawdziwe uczucia. - Otworzył papierośnicę.

- Pan pozwoli... Ach, doprawdy! Pusta... Japp?

Japp klepnął się po kieszeni i zaprzeczył ruchem głowy.

Laverton-West wyjął papierośnicę, mrużąc pod nosem:

- Może mojego, panie Poirot?

- Dziękuję, dziękuję. - Mały detektyw wziął papierosa.

- Jak pan słusznie zauważył, panie Poirot - rzekł - my, Anglicy, nie uzewnętrzniamy naszych uczuć. Nie poddawać się nieszczęściu - oto nasza dewiza.

Skłonił się i wyszedł.

- Zimna ryba - rzucił z obrzydzeniem Japp. - Przemądrzały cymbał! Plenderleith dobrze go określiła! To rzeczywiście facet z gatunku tych gładkich, wylizanych, do których kobieta z poczuciem humoru pasuje jak pięść do nosa. Co z tymi papierosami?

Poirot wręczył mu papierosa i potrząsnął głową przecząco.

- Egipskie. Drogie.

- To niedobrze. Szkoda, nigdy nie miałem do czynienia ze słabszym alibi. Właściwie to on wcale nie ma alibi... Wiesz co, Poirot, szkoda, że sytuacja nie wygląda odwrotnie. Gdyby to ona jego szantażowała... To wymarzony typ na ofiarę szantażysty; forsa sypałaby się jak z rogu obfitości. Żeby tylko uniknąć skandalu!

- Mój drogi, twoje rozumowanie jest poprawne, rzecz tylko w tym, że zupełnie nie pasuje do naszej sprawy.

- Niestety, my musimy zająć się Eustace'em. Wiem o nim co nieco. To zdecydowanie wstrętny typ. - A przy okazji... Zrobisz tak, jak zasugerowałem w związku z panną Plenderleith?

- Tak. Zaczekaj sekundkę. Zaraz do niej zatelefonuję. Podniósł słuchawkę, zamienił kilka słów, odwiesił ją i zwrócił się do Poirota:

- Piękny przykład znieczulicy. Poszła grać w golfa. Wspaniała rozrywka, zważywszy, że dzień wcześniej została zamordowana jej przyjaciółka.

Poirot wydał okrzyk.

- Co ci się stało - zapytał Japp.

Lecz Poirot tylko zamruczał pod nosem.

- Oczywiście... Oczywiście... Ależ naturalnie. Cóż ze mnie za idiota... To samo rzuca się w oczy!

Japp powiedział gwałtownie:

- Przestań mamrotać i chodź ze mną uporać się z tym Eustace'em.

Ze zdumieniem obserwował promienny uśmiech Poirota.

- Ależ tak, masz rację... Musimy uporać się z tym Eustace'em. Tylko teraz, widzisz, ja wiem już wszystko... Wszystko!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Major Eustace przyjął obu mężczyzn z pewnością siebie, cechującą człowieka światowego.

Jego mieszkanie było małe, wyłącznie pied a terre, jak to wyjaśnił. Zaproponował coś do picia, a kiedy odmówili, podsunął im papierośnicę. Japp i Poirot chętnie przyjęli papierosy, wymieniając szybkie spojrzenia.

- Jak widzę, pali pan tureckie - rzekł Japp, ugniatając papierosa palcami.

- Tak. Przepraszam, ale może woli pan słabsze? Gdzieś je mam.

- Nie, nie, te mi odpowiadają - odparł Japp i pochyliwszy się do przodu, rzucił pytanie zmienionym głosem: - Może odgaduje pan, majorze Eustace, co nas do pana sprowadza?

Major Eustace zaprzeczył ruchem głowy. Zachowywał się nonszalancko. Był to wysoki, przystojny mężczyzna o grubych rysach. Pełne arogancji ruchliwe oczka przeczyły pozornej jowialności w jego zachowaniu.

- Nie... Nie mam pojęcia, co sprowadziło do mnie taką grubą rybę, jaką jest nadinspektor - powiedział. - Czyżby dotyczyło to mojego samochodu?

- Nie, nie chodzi tu o pański samochód. Czy zna pan Barbarę Allen, majorze Eustace?

Major rozparł się w fotelu, wypuścił kłęb dymu i odparł tonem człowieka, który o wszystkim wie:

- Ach, więc o to chodzi! Oczywiście, mogłem się tego spodziewać. Bardzo smutna sprawa.

- Pan już wie, co się stało?

- Czytałem wieczorne gazety. Bardzo przykre.

- Jak sądzę, poznał pan panią Allen w Indiach? - Tak. Od tamtego czasu minęło już kilka lat.

- Czy znał pan też jej męża?

Nastąpiła przerwa, ułamek sekundy, ale podczas tego ułamka świńskie oczka świdrowały badawczo twarze obu mężczyzn.

- Nie, nigdy nie spotkałem Allena - odparł.

- Ale coś pan o nim słyszał?

- Słyszałem, że był łajdakiem. Ale, oczywiście, to były tylko pogłoski.

- Pani Allen nic panu nie mówiła?

- Nigdy o nim nie rozmawialiśmy.

- Pan był jej przyjacielem?

Major Eustace wzruszył ramionami.

- Byliśmy starymi przyjaciółmi, no, wie pan, po prostu starymi przyjaciółmi. Nie widywaliśmy się zbyt często.

- Ale widział się pan z nią ostatniego wieczoru? To znaczy wieczorem piątego listopada?

- Tak, rzeczywiście, widziałem się z nią.

- Jak sądzę, odwiedził ją pan w domu?

Major Eustace skinął głową. Jego głos złagodniał i przybrał ton skruchy.

- Tak, poprosiła mnie o radę w sprawie lokaty kapitału. Oczywiście wiem, do czego pan zmierza; chodzi o stan jej umysłu i tak dalej. Tak, doprawdy, to bardzo trudno określić. Wydawało się, że zachowuje się normalnie, ale jednak była jakby trochę podniecona.

- Czy uczyniła jakąś aluzję, co zamierza zrobić?
- Absolutnie żadnej. Kiedy zegnałem się z nią, powiedziałem, że zadzwonię do niej później i spotkamy się.
- Powiedział pan, że do niej zadzwoni. Czy to były pańskie ostatnie słowa?
- Tak.
- Ciekawe. Mamy informacje, że powiedział pan zupełnie coś innego.
Eustace zbladł.
- No, oczywiście, nie pamiętam dokładnie moich słów.
- Według tego, co wiemy, pańskie słowa brzmiały: "Przemyśl to jeszcze i daj mi znać".
- Chwileczkę... Zgadza się. Ale to nie brzmiało zupełnie tak, jak pan mówi. Chodziło o to, aby dała znać, kiedy będzie wolna.
- A to niezupełnie to samo - rzekł Japp. Major Eustace wzruszył ramionami.
- Drogi przyjacielu, czy pan sądzi, że człowiek może zapamiętać każde słowo zwykłej rozmowy?
- A co odpowiedziała pani Allen?
- Powiedziała, że do mnie zatelefonuje. Czy coś w tym sensie, o ile pamiętam.
- A potem pan powiedział: "Dobrze. Do zobaczenia".
- Prawdopodobnie. W każdym razie coś w tym rodzaju.
- Powiedział pan, że pani Allen chciała się poradzić, jak ulokować pieniądze - rzekł spokojnie Japp. - Czy przypadkiem powierzyła panu w tym celu dwieście funtów w gotówce?
Twarz majora Eustace'a spłonęła ciemną czerwień. Pochylił się do przodu i warknął:
- Co, u licha, chce pan przez to powiedzieć?
- Zrobiła tak czy nie?
- To moja sprawa, panie nadinspektorze.
- Pani Allen - rzekł z naciskiem Japp - podjęła dwieście funtów z banku. Część z nich była w banknotach pięcioletnich. Możemy sprawdzić ich numery.
- No i co z tego, jeżeli tak zrobiła?
- Czy dała panu te pieniądze, żeby je pan zainwestował, czy też był to... szantaż, majorze Eustace?
- Co za absurdalny pomysł? Co jeszcze pan wymyśli?

- Myślę, majorze Eustace - powiedział Japp bardzo oficjalnym tonem - że musimy pana poprosić, aby zechciał się pan z nami udać do Scotland Yardu i tam złożyć zeznanie w tej sprawie. Nie jest to oczywiście przymus i jeśli pan woli, może się pan najpierw porozumieć ze swoim adwokatem.

- Z moim adwokatem? Po cóż, u diabła, mam się porozumiewać z moim adwokatem? I co znaczą te ostrzeżenia?

- Badam tylko okoliczności śmierci pani Allen.

- Wielki Boże! Człowieku, chyba pan nie przypuszcza... Nie, to czysty nonsens! Posłuchajcie, co to ma znaczyć! Umówiłem się z Barbarą i odwiedziłem ją zupełnie otwarcie...

- Która wtedy była godzina?

- Przypuszczam, że około wpół do dziesiątej. Usiedliśmy i rozmawialiśmy...

- I paliliście papierosy?

- Tak, paliliśmy. To chyba nie jest przestępstwo, prawda? - zapytał wojowniczo major.

- Gdzie miała miejsce ta rozmowa?

- W salonie. Jak pan wchodzi, pokój po lewej. Powiedziałbym, że nasza rozmowa miała charakter przyjacielski. Wszedłem krótko przed wpół do jedenastej. Stałem przez minutę w drzwiach i tam wymieniliśmy tych kilka ostatnich słów...

- Ostatnie słowa... Dokładnie ostatnie - mruknął Poirot.

- Chciałbym wiedzieć, kim pan jest? - Eustace zwrócił się do Poiota. - Nie miałem przyjemności być panu przedstawiony! I co pana to wszystko obchodzi?

- Jestem Herkules Poirot - rzekł mały detektyw z godnością.

- Nic mnie to nie obchodzi, nawet jeżeli pan jest posągiem Achillesa. Jak już powiedziałem, moje spotkanie z Barbarą miało charakter zupełnie przyjacielski. Potem pojechałem wprost do Klubu Dalekowschodniego. Zostałem tam do za piętnaście dwunasta, a następnie udałem się do sali brydżowej, gdzie grałem w brydża do wpół do drugiej. I co wy na to?

- Ma pan dość zgrabne alibi - rzekł Poirot.

- A pan jest dość zgrabnie ironiczny! Zatem, panie nadinspektorze - spojrzał na Jappa - jest pan zadowolony?

- Podczas swojej wizyty nie opuszczał pan salonu?

- Tak.

- I nie był pan na górze, w buduarze pani Allen?

- Nie, już to panu mówiłem. Cały czas przebywaliśmy na dole i nie wychodziliśmy z salonu.

Japp przez chwilę przypatrywał mu się w zamyśleniu.

- Ile ma pan kompletów spinek do mankietów?

- Spinek do mankietów? Spinek do mankietów? Co to ma do rzeczy?

- Oczywiście, jeśli pan nie chce, może pan nie odpowiadać na to pytanie.

- Ależ mogę odpowiedzieć. Nie mam nic do ukrycia. Ale mogę domagać się przeprosin. Mam więc te... - Wyciągnął ręce przed siebie, Japp ujrzał platynowo-złote spinki i skinął głową. - Mam jeszcze inne. - Wstał, otworzył szufladę i wyjął małe pudełeczko, otworzył je i podsunął Jappowi pod nos gestem pełnym ironii.

- Bardzo ładne. Widzę jednak, że jedna jest uszkodzona... Odpadł kawałek emalii - zauważył nadinspektor.

- Cóż z tego?

- Sądzę, że pamięta pan, kiedy to się stało? - Najdalej wczoraj lub przedwczoraj.

- Czy będzie pan zaskoczony, jeżeli powiem, że miało to miejsce podczas pańskiej wizyty u pani Allen?

- Dlaczego miałbym być zaskoczony? Czy ukrywałem, że tam byłem? - spytał major wyniośle. Nadal zachowywał się nonszalancko, lecz jego ręce zaczęły się trząść.

Japp pochylił się do przodu i rzekł z emfazą:

- Tak. Lecz ten kawałek spinki nie został znaleziony w salonie. Znaleziono go na piętrze, w buduarze pani Allen, w tym samym pokoju, w którym została zastrzelona i gdzie przebywał człowiek palący papierosy tego samego gatunku, jaki pan pali, panie majorze.

Strzał był celny. Eustace opadł na krzesło. Oczy zaczęły mu biegać. Wyraźnie załamał się, wyszedł z niego maskowany dotąd tchórz.

- Nie ma pan dowodów przeciwko mnie - prawie jęknął. - Pan próbuje mnie zrobić... Ale to się panu nie uda... Ja mam alibi... Nie byłem już później w tym domu...

Poirot wtrącił:

- Oczywiście, że nie wrócił pan już do tego domu... Nie potrzebował pan wracać... Ponieważ pani Allen nie żyła już w chwili, gdy pan wychodził.

- To niemożliwe... Niemożliwe... Była przecież przy drzwiach... Mówiła do mnie... Ktoś musiał to słyszeć... Ktoś musiał ją widzieć...

- Owszem, słyszano, jak pan mówił do niej... - odparł cicho Poirot. - I udał pan, że czeka na jej odpowiedź, następnie znów pan coś powiedział... To stary numer... Wszystkim wydawało się, że tam stała, lecz nikt jej nie widział. Nikt nie potrafił opisać, w co była ubrana, czy miała na sobie strój wieczorowy, czy nie. Nikt nawet nie pamiętał, w jakim kolorze była jej suknia...

- Mój Boże... to nieprawda... To nieprawda... Trząśł się, całkowicie załamany.

Japp patrzył na majora z obrzydzeniem.

- Proszę ze mną - rzekł stanowczo.

- Pan mnie aresztuje?

- Powiedzmy, że zatrzymuję na przesłuchanie. Ciszę zmaćło długie przerywane westchnienie. Usłyszeli zrozpaczony głos załamanego majora Eustace'a:

- Jestem zgubiony...

Poirot zatarł ręce i uśmiechnął się szeroko. Robił wrażenie zadowolonego z siebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Nieźle się załamał - zauważył Japp z zadowoleniem, gdy wraz z Poirotcm jechali ulicą Brompton Road.

- Wiedział, że gra się skończyła - odparł obojętnie Poirot.

- Mamy wiele obciążających go faktów - mówił dalej Japp. - Kilka fałszywych nazwisk, szwindle z czekami, piękna afera w czasie, gdy jako pułkownik de Bathe zatrzymał się u "Ritza". Oszukał z pół tuzina kupców z Piccadilly. Możemy go przetrzymać pod byle jakim pretekstem, dość nabroić. A co to za pomysł z tym wypadem na wieś, staruszku?

- Mój drogi, należy rozpracować wszystkie aspekty sprawy. Zajmuję się teraz wyjaśnieniem tajemnicy, którą mi podsunąłeś. Tajemnicy zaginionego nesesera.

- Nie. To była Tajemnica małego nesesera. Tak to nazwałem. O ile wiem, nie zginął.

- Zaczekaj, mon ami.

Samochód wjechał w zaułek. Przy numerze czternastym z małego austina seven wysiadła właśnie Jane Plenderleith. Ubrana była sportowo, do gry w golfa.

Spojrzała na przybyłych, wyjęła klucz i otworzyła drzwi.

- Czy panowie zechcą wejść? - Wpuściła ich do środka. Japp poszedł za nią do salonu. Poirot zatrzymał się na chwilę w holu i mruknął do siebie:

- C'est embetant, jak trudno wydostać się z tych rękawów.

W chwilę później pozbywszy się płaszcza, siedział już w salonie, Japp uśmiechnął się pod wąsem; oprócz mruczenia Poirota usłyszał jeszcze w holu skrzypnięcie, drzwi od skrytki pod schodami.

Rzucił Poirotowi pytające spojrzenie, a ten w odpowiedzi ledwo dostrzegalnie skinął głową.

- Nie chcemy długo pani zatrzymywać, panno Plenderleith - rzekł żywo Japp. - Przyszliśmy tylko zapytać panią, czy mogłaby nam pani podać nazwisko adwokata pani Allen.

- Jej adwokata? - Dziewczyna pokręciła głową. - Nawet nie wiem, czy go miała.

- Przecież kiedy wynajęłyście ten dom, ktoś musiał spisać umowę.

- Wynajęłam ten dom na swoje nazwisko. Barbara płaciła mi połowę czynszu. Odbywało się to w sposób nieformalny.

- Rozumiem. No, sądzę, że to już wszystko.

- Przykro mi, że nie mogę panu pomóc - powiedziała uprzejmie Jane.

- Nie jest to takie ważne. - Japp odwrócił się do drzwi. - Grała pani w golfa?

- Tak. - Zaczerwieniła się. - Przypuszczam, że panu wydaje się, iż jestem bez serca? Tak naprawdę, to atmosfera w tym domu działa na mnie przygnębiająco. Czułam, że muszę wyjść i coś zrobić. Zmęczyć się... Dusiałam się tutaj!

- Całkowicie to rozumiem, mademoiselle - rzekł szybko Poirot. - To zupełnie zrozumiałe i... bardzo naturalne. Siedzieć w tym domu i myśleć; tak, to niezbyt przyjemne.

- Dobrze, że chociaż pan to rozumie - odparła krótko Jane.

- Należy pani do jakiegoś klubu?

- Tak. Gram w Wentworth.

- To był miły dzień - zauważył Poirot. - Niestety, teraz drzewa są prawie gołe! A jeszcze tydzień wyglądały wspaniale.

- Ale dzisiaj mieliśmy bardzo piękny dzień.

- Do widzenia, panno Plenderleith - pożegnał się Japp oficjalnie. - Dam pani znać, jeśli dowiemy się czegoś konkretnego. Na razie zatrzymaliśmy jednego podejrzanego.

- Kto to jest?

Patrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Major Eustlace.

Skinęła głowa, odwróciła się do kominka i pochyliła, by podłożyć ogień.

- I co? - spytał Japp, gdy samochód skręcił przy końcu zaułków.

Poirot uśmiechnął się.

- To było całkiem proste. Tym razem klucz tkwił w zamku.

- I...?

Poirot uśmiechnął się.

- Eh bien, zniknęły kije golfowe...

- To jasne. Ta dziewczyna nie jest wcale taka głupia. Coś jeszcze zniknęło?

Poirot skinął głową.

- Tak, przyjacielu. Neseser też zniknął!

Japp gwałtownie wcisnął pedał gazu.

- Psiakrew! - wybuchnął. - Wiedziałem, że coś w nim było. Ale co to było, u diabła?

Tak dokładnie go przeszukałem.

- Mój biedny Jappie... To jest... Jak to brzmi? oczywiście, drogi Watsonie.

Japp rzucił mu rozpaczliwe spojrzenie.

- Dokąd jedziemy? - spytał. Poirot spojrzał na zegarek.

- Nie ma jeszcze czwartej. Może zdążymy przed zmrokiem do Wentworth.

- Sądzisz, że ona rzeczywiście tam była?

- Myślę, że tak. Mogła się spodziewać, że będziemy chcieli to sprawdzić. O tak, jestem nawet pewien, że rzeczywiście tam była.

- Zatem jedziemy - mruknął Japp i zaczął zręcznie wymijać jadące przed nim samochody. - Jednak jakoś nie mogę sobie wyobrazić, co ten neseser może mieć wspólnego z naszą zbrodnią. Wydaje mi się, że nic nie ma wspólnego.

- Zgadzam się z tobą, mój drogi. Nie ma nic wspólnego.

- Więc dlaczego... Zresztą nie mów już nic! Ten twój porządek, metoda i wszystkie temu podobne rzeczy kiedyś mnie wykończą! No, dobrze, naprawdę mamy dziś piękny dzień.

Samochód był szybki. Przyjechali do Wentworth nieco po wpół do piątej. Tego dnia nie było tu tłoku.

Poirot udał się wprost do szefa chłopców noszących kije golfowe i zapytał go o kije panny Plenderleith. Wyjaśnił też, że jutro będzie grała gdzie indziej.

Kierownik zawołał chłopca, który przejrzał stojące w kącie kije. Wreszcie wydobył komplet oznaczony monogramem J.P.

- Dziękuję - rzekł Poirot. Już odchodził, gdy nagle odwrócił się i niedbale rzucił pytanie:

- Czy może zostawiła tu przypadkiem mały nesaser?

- Dzisiaj nie. Może zostawiła go w głównym budynku klubu.

- Była tam dzisiaj?

- Tak, widziałem ją.

- Kto obsługiwał ją podczas gry? Zostawiła gdzieś ten nesaser i teraz nie może sobie przypomnieć gdzie. - Nie wzięła chłopca do noszenia kijów. Sama niosła kije i piłki. Mam wrażenie, że trzymała w ręce jakąś małą walizeczkę.

Poirot wycofał się dziękując. Obaj mężczyźni udali się do głównego budynku. Poirot zatrzymał się na chwilę, podziwiając widok.

- Prawda, jak pięknie wyglądają te sosny... I to jezioro. Tak, to jezioro...

Japp rzucił mu krótkie spojrzenie.

- Co masz na myśli? Poirot uśmiechnął się.

- Myślę, że ktoś mógł coś zobaczyć. Na twoim miejscu zastanowiłbym się nad tym widokiem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Poirot cofnął się i, przekrzywiwszy nieco głowę, przyglądał się pokojowi. Krzesło tu...

Krzesło tam... Tak, teraz bardzo ładnie. Rozległ się dzwonek - to pewnie Japp.

Japp wszedł wyraźnie podniecony.

- Miałeś rację, staruszkule! Wiadomość z pierwszej ręki. Widziano wczoraj naszą młodą damę, jak wrzucała coś do tego jeziora w Wentworth. Opis tej damy zgadza się z wyglądem Jane Plenderleith. Wyłowiliśmy tę rybkę bez większego trudu. Utkwiła w szuwarach.

- I cóż to było?

- To był oczywiście ten nesaser! Ale po co, na Boga, go wyrzuciła? Wewnątrz pusty! Nic, nawet nie było czasopism. Po co rozsądnie myśląca młoda dziewczyna wrzuciła do jeziora kosztowny elegancki nesaser? Wiesz co, całą noc przez to nic spałem.

- Mon pauvre Japp*! Ależ nie musisz, się dłużej martwić. Nadchodzi odpowiedź. Właśnie słyszę dzwonek.

George, niezastąpiony służący Poirota, otworzył drzwi i zaanonsował:

- Panna Plenderleith.

Dziewczyna weszła do pokoju ze zwykłą pewnością siebie i przywitała się z obydwojema mężczyznami.

- Prosiłem, aby pani tu przysłała... wyjaśnił Poirot. - Może pani usiądzie tutaj, a ty, Japp, tam... Ponieważ, chcę wam przekazać pewne nowiny.

Dziewczyna usiadła. Popatrzyła niepewnie na jednego i na drugiego mężczyznę; odłożyła niecierpliwie na bok kapelusz.

- Wiem - powiedziała - że major Eustace został aresztowany.

- Spodziewam się., że przeczytała pani o tym w porannej gazecie?

- Tak.

- W chwili obecnej jest oskarżony o inne, mniejsze wykroczenia - kontynuował Poirot.

- Tymczasem zbieramy materiał dowodowy dotyczący morderstwa.

- Więc to było morderstwo? - zapytała żywo dziewczyna.

Poirot skinął głową.

- Tak - odparł - to było morderstwo. Świadome zniszczenie jednego człowieka przez drugiego.

Lekko zadrżała.

- Nie... - wykrztusiła. - Proszę tego tak nic określać, to... To brzmi przerażająco.

- Tak... Bo to jest przerażające! Przerwał i po chwili dodał:

- A teraz, panno Plenderleith, przedstawię pani, w jaki sposób doszedłem do prawdy w tej sprawie.

Przeniosła wzrok z Poirota na Jappa. Ten ostatni uśmiechnął się.

- On ma swoje metody, panno Plenderleith. Czasem mu ustępuję. Myślę, że możemy wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Poirot zaczął:

- Jak pani wie, mademoiselle, ja i mój przyjaciel pojawiliśmy się na scenie zbrodni rano szóstego listopada. Weszliśmy do pokoju, w którym znajdowało się ciało pani Allen, i od razu uderzyło mnie kilka znamienych szczegółów. Widzi pani, w tym pokoju były rzeczy zdecydowanie dziwne.

- Słucham - zachęciła go dziewczyna.

- Na początek - mówił Poirot - weźmy zapach dymu z papierosa.

- Myślę, że przesadzasz, Poirot - wtrącił Japp. - Ja nic nie czułem.

Poirot błyskawicznie odwrócił się do niego.

- Zgadza się. Nie poczułeś zapachu nieświeżego dymu. Tak samo, jak i ja. I to było bardzo, bardzo osobliwe. Tym bardziej, że drzwi i okna były zamknięte, a w popielniczce leżało co najmniej dziesięć niedopałków. I właśnie to było bardzo dziwne, że powietrze w pokoju było zupełnie świeże.

- Ach, więc o to ci chodziło! - westchnął Japp. - Zawsze zmierzasz do celu w taki zawiły sposób.

- Wasz Sherlock Holmes robił tak samo. Zwrócił uwagę, jeśli sobie przypominasz, na dziwny wypadek z psem w nocy*. I okazało się, że to wcale nie był dziwny wypadek. Pies niczego nie robił w nocy. Idźmy dalej... Następną rzeczą, która zwróciła moją uwagę, był zegarek na ręce martwej kobiety.

- O co chodzi z tym zegarkiem?

- Nic szczególnego, poza tym, że miała go na prawej ręce. Wiemy przecież, że zwykle zegarek nosi się na lewej.

Japp wzruszył ramionami. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Poirot uzupełnił:

- Tak jak powiedziałeś, nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Wielu ludzi woli nosić zegarek na prawej ręce. Teraz powiem coś bardziej interesującego... Podszedłem, przyjacielu, do biurka.

- Tak, o tym właśnie myślałem - rzekł Japp.

- To było naprawdę bardzo dziwne - rzeczywiście godne uwagi! I to z dwóch powodów: po pierwsze, dlatego, że coś z biurka zniknęło.

- Cóż takiego? - zapytała Jane Plenderleith.

Poirot zwrócił się do niej:

- Arkusz bibuły, mademoiselle. Bibularz był z wierzchu czysty, bibuła nie tknięta.

Jane wzruszyła ramionami.

- Doprawdy, panie Poirot, to normalne, że wyrzuca się zużyty arkusik.

- Dobrze, lecz co się z nią stało? Gdzie się podziała, jeżeli nie było jej w koszu na śmieci? A nie było jej w tym koszu! Sprawdziłem.

Jane Plenderleith wydawała się zniecierpliwiona.

- Ponieważ prawdopodobnie został opróżniony dzień wcześniej, a Barbara później nie pisała listów. I dlatego bibularz był czysty.

- Bardzo mało prawdopodobne, mademoiselle. Widziano panią Allen, jak szła wieczorem do skrzynki pocztowej. Zatem musiała pisać listy. Nie mogła pisać na dole, ponieważ nie miała na czym pisać. Trudno przypuszczać, by poszła pisać do pani pokoju. Ale wobec tego, co się stało z bibułą, którą wysuszyła napisane listy? To prawda, że ludzie czasami mają zwyczaj palić papiery, zamiast wyrzucać je do kosza, ale w pokoju był tylko piecyk gazowy. I na parterze poprzedniego dnia nie palono ognia - pani sama powiedziała, że wszystko było przygotowane przed pani powrotem do domu i pani jedynie podpaliła.

Przerwał.

- Zastanawiający drobny problem. Zaglądałem wszędzie: do kosza na papiery, do kosza w kuchni, ale nigdzie nie znalazłem ani kawałka bibuły i to wydało mi się bardzo ważne. Wyglądało na to, że ktoś rozmyślnie usunął bibułę. Dlaczego? Ponieważ odbiły się na niej słowa, które wcześniej ktoś napisał. Jeszcze coś ciekawego. Może pamiętasz, Japp, układ przedmiotów, które lam leżały? Bibularz i kałamarz w środku. Podstawka na pióro po lewej, kalendarz i pióro z prawej. Eh bien! Nie rozumiesz? Pamiętasz to pióro? Stanowiło dekorację, stwierdziłem, że nie było używane... Ach! Ciągle jeszcze nie pamiętasz? Muszę więc zacząć od początku. Bibularz w środku, podstawka na pióro po lewej... Po lewej, Japp. Czy to nie jest niezwykle, że ta podstawka i pióro znajdowały się po lewej stronie, skoro pisze się prawą ręką?

No co? Teraz dotarło do ciebie, prawda? Podstawka z piórem po lewej, zegarek na prawej ręce? Usunięta bibuła...I coś jeszcze, to, co przyniesiono do pokoju - popielniczka z niedopałkami papierosów! W tym pokoju powietrze było świeże, Japp, tak jak gdyby okno było przez całą noc otwarte... I teraz stworzyłem sobie cały obraz. Poirot poprawił się na krześle i odwrócił do Jane Plenderleith.

- Obraz pani, mademoiselle, wysiadającej z taksówki, wbiegającej na schody i być może wołającej "Barbaro", otwierającej drzwi i znajdującej przyjaciółkę leżącą bez życia, z pistoletem w dłoni, i to w dłoni lewej ręki, oczywiście. Ponieważ ona była leworęczna. Dlatego też kula weszła z lewej strony głowy. Był też list adresowany do pani. Informowała panią, dlaczego popełniła samobójstwo. Był to, jak sądzę, bardzo znamienity list... Młoda, piękna, nieszczęśliwa szantażowana kobieta odebrała sobie życie...

Powodem był pewien mężczyzna. Sądzę, że natychmiast przyszło to pani na myśl, że on musi zostać ukarany - w pełni ukarany! Wyjęła pani pistolet z lewej ręki, wytarła odciski palców i umieściła go pani w prawej ręce. Zabrała pani notatkę i zdarła użyty do jej wysuszenia kawałek bibuły. Zeszła pani na dół, zapaliła ogień i wrzuciła do niego oba te przedmioty. Potem zaniósła pani na górę popielniczkę, aby upozorować, że siedziało tam dwoje ludzi. Przyniosła tam pani również ten kawałek spinki do mankietu, który znalazła w salonie na podłodze. Miała pani szczęście, że go pani znalazła - w ten sposób dostarczyła pani rozstrzygającego argumentu. Aby nikt nie mógł podejrzewać, że pani coś ruszała, zamknęła pani okno i drzwi na klucz i wezwała policję. Właśnie dlatego nie wezwała pani na pomoc sąsiadów, aby wyważyli drzwi, lecz zatelefonowała prosto na policję.

Wszystko szło jak z płatka. Grała pani swoją rolę z zimną krwią. Początkowo wzbraniała się pani mówić, ale jednocześnie sprytnie naprowadziła nas na ślad sugerujący, że samobójstwo nie było samobójstwem. Potem gładko podsunęła nam pani majora Eustace'a...

Tak, mademoiselle, to zręczne, bardzo zręczne morderstwo - oto czym by w istocie było. To była próba zamordowania majora Eustace'a...

Jane Plenderleith zerwała się z krzesła. - Nie, to nie byłoby morderstwo! - wykrzyknęła - to byłaby sprawiedliwość! Ten człowiek zaszczuł na śmierć biedną Barbarę! Ona, taka dobra i bezradna... Widzi pan, biedne dziecko... Uwikłała się w romans z pewnym mężczyzną podczas pierwszego pobytu w Indiach. Miała wtedy tylko siedemnaście lat, a on był od niej dużo starszy, i żonaty. Potem przyszło na świat dziecko. Mogła oddać je do domu dziecka, ale nie chciała o tym słyszeć. Pojechała na głęboką prowincję, gdzie nikt jej nie znał, i przybrała nazwisko Allen. A jakiś czas później dziecko umarło. Przyjechała tutaj i zakochała się w Charlesie - w tym napuszonym, wypchanym cymbale! Kochała go, on zaś przyjmował jej adorację z wielkim samozadowoleniem. Gdyby był inny, poradziłabym jej, aby mu o wszystkim opowiedziała. Ale znając go, nalegałam, żeby trzymała język za zębami. A ponadto nikt poza mną nie znał prawdy.

I nagle pojawił się ten szatan, major Eustace! Resztę pan wie. Zaczął ją systematycznie doić z pieniędzy. I nie tylko. Ostatniego wieczoru uświadomiła sobie, że naraża Charlesa na skandal... Wiedziała, że kiedy go poślubi, Eustace będzie miał w ręku i ją, i bogatego mężczyznę, bojącego się skandalu! Gdy Eustace

wreszcie odszedł z pieniędzmi, które mu dała, usiadła i zaczęła się nad wszystkim zastanawiać. Potem napisała do mnie list. Napisała, że kocha Charlesa i że nie może żyć bez niego, lecz dla jego własnego dobra nie może zostać jego żoną. Wybiera więc najlepszy sposób rozstania.

Jane odrzuciła głowę do tyłu.

- I pan się dziwi, że to wszystko zrobiłam? I nazywa pan to morderstwem!

- Ponieważ to jest morderstwo. - Głos Poirota brzmiał surowo. - Morderstwo może być czasami usprawiedliwione, ale to jednak jest morderstwo. Pani jest szczerą i potrafi pani trzeźwo myśleć, mademoiselle. Proszę spojrzeć prawdzie w oczy! Pani przyjaciółka w ostateczności umarła, ponieważ nie miała odwagi żyć. Możemy jej współczuć. Możemy się nad nią litować. Lecz fakt pozostaje faktem; ten czyn był tylko jej czynem. Nikogo innego. -Przerwał na moment. - A pani? Ten człowiek jest obecnie w więzieniu i być może otrzyma surowy wyrok za różne inne przestępstwa. Czy pani istotnie chciałaby, z własnej nieprzymuszonej woli, zniszczyć życie, wszystko jedno, czyje życie?

Patrzyła na niego badawczo. Jej oczy pociemniały. Nagle wyszeptała:

- Nie. Ma pan rację. Nie chciałabym.

Potem odwróciła się i szybko wyszła z pokoju.

Japp przeciągle zagwizdał.

- No, ależ ze mnie idiota! - rzekł.

Poirot usiadł i uśmiechnął się do niego uprzejmie. Przez dłuższy czas obaj milczeli.

- Nie morderstwo upozorowane na samobójstwo, lecz samobójstwo zrobione tak, aby wyglądało na morderstwo! - przerwał ciszę Japp.

- Tak, ale także bardzo zręcznie zrobione, bez żadnej przesady.

- A ten neseser? - spytał nagle Japp. - Co z tym neseserem?

- Ależ mój drogi, mój najdroższy przyjacielu, już ci mówiłem, że on nie przyda się na nic. Nie ma żadnego znaczenia.

- Dlaczego więc...?

- Chodziło o kije golfowe. O kije golfowe, Japp. To były kije dla gracza leworęcznego. Jane Plenderleith przechowywała swoje kije w Wentworth. Te ze schowka należały do Barbary Allen. Nie ma się co dziwić, że dziewczyna, jak wy to mówicie, miała pietra, kiedy otworzyliśmy skrytkę pod schodami. Jej cały plan mógł się zawalić.

Myślała błyskawicznie, szukając ratunku. Nagle zobaczyła to, co i my zobaczyliśmy. Zrobiła więc najlepszą rzecz, jaką mogła w tym momencie uczynić: spróbowała zwrócić naszą uwagę na fałszywy przedmiot. Powiedziała więc na widok neseseru: "To mój. Przywiozłam go z sobą rano. Nic w nim nie ma". I miała nadzieję, że tym sposobem skieruje nas na fałszywy trop. Z tego samego powodu, kiedy następnego dnia usunęła kije golfowe, zabrała też z sobą ten neseser, co w efekcie - jak to się mówi? - wyprowadziło cię w las.

- Wywiodło w pole. Czy naprawdę sądzisz, że tym prawdziwym przedmiotem...

- Zastanów się dobrze, mój drogi. Gdzie najlepiej można ukryć kije do golfa? Nie można ich spalić ani wyrzucić do śmietnika. Porzucić je gdzieś? Mogłyby zostać odniesione przez jakiegoś uczciwego znalazcę. Panna Plenderleith wzięła je z sobą na partię golfa. Poszła do klubu, zabrała swą torbę, a własne kije pozostawiła. Do torby wsadziła kije pani Allen. Potem rzekomo poszła grać (a udała się w tym celu bez pomocnika). Bez wątplenia co pewien czas przełamывwała któryś kij na pół i wpychała głęboko w krzaki, a w końcu wyrzuciła też pustą torbę. Jeżeli ktoś znajdzie połamane kije golfowe, nie będzie tym faktem zaskoczony, bowiem zdarza się, że rozwścieczeni gracze potrafią złamać wszystkie kije! To taka gra!

A ponieważ panna Plenderleith zdała sobie sprawę, że możemy interesować się jej poczynaniami, musiała wymyśleć coś, co wprowadziłoby nas w błąd. Wobec tego ostentacyjnie wrzuciła neseser do jeziora. I taka jest, mój - przyjacielu, prawda o tajemnicy nesesera.

Japp przez chwilę patrzył w milczeniu na Poirota. Potem wstał, klepnął go po ramieniu i wybuchnął śmiechem.

- Nieźle, staruszkule, nieźle! Daję słowo, przewyższyłeś mnie! Zasłużyłeś na deser. Idziemy coś przekąsić?

- Z przyjemnością, mój drogi, ale nie chcę deseru. - Wolę omelette aux champignons, blanquette de veau, petits pois a la Française* i na koniec - baba au rhum*.

- Prowadź! - rzekł Japp.

NIEWIARYGODNA KRADZIEŻ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy lokaj podawał suflet, lord Mayfield pochylił się z poufałością do swej sąsiadki z lewej strony, lady Julii Carrington. Znany był jako doskonały gospodarz i zadawał sobie wiele trudu, aby sprostać tej opinii. Chociaż kawaler, zawsze był czarujący dla kobiet.

Lady Julia Carrington była czterdziestoletnią, energiczną, wysoką i bardzo szczupłą brunetką. Była jeszcze urodziwa, miała szczególnie piękne ręce i stopy. Zachowywała się wybuchowo i niecierpliwie, jak kobieta, która żyje w ciągłym napięciu. Po przeciwnej stronie okrągłego stołu siedział jej mąż, generał lotnictwa sir George Carrington. Zaczynał karierę w marynarce wojennej i od tego czasu zachował jowialność byłego marynarza. Żartował i śmiał się do pięknej pani Vanderlyn, która siedziała po drugiej stronie gospodarza.

Pani Vanderlyn była piękną blondynką. Mówiła z lekkim amerykańskim akcentem, nie brzmiało to jednak nieprzyjemnie dla ucha.

Po drugiej stronie sir George'a Carringtona siedziała pani Macatta - posłanka do parlamentu. Pani Macatta miała opinię autorytetu w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego i dobroczynności na rzecz dzieci. Nie mówiła, lecz raczej wykrzykiwała krótkie zdania i na ogół wzbudzała popłoch. Było więc może naturalne, że generał lotnictwa wołał zwracać się do sąsiadki z, prawej strony.

Pani Macatta, gdziekolwiek się znajdowała, zawsze mówiła o sprawach zawodowych, teraz, wyrzucała z siebie krótkie zdania na temat swoich zainteresowań, skierowane do sąsiada z lewej strony, młodego Reggie'ego Carringtona.

Reggie Carrington miał dwadzieścia jeden lat i kompletnie nie interesował się sprawami budownictwa mieszkaniowego ani dobroczynnością na rzecz dzieci. W przerwach wtrącał tylko: "to straszne" lub: "absolutnie się z panią zgadzam" - i odpływał myślami gdzie indziej. Pan Carlile, prywatny sekretarz lorda Mayfielda, siedział pomiędzy młodym Reggie'em a jego matką. Był to blady młodzieniec z pinenez, roztaczający wokół siebie aurę powściągliwości. Mówił niewiele, ale zawsze był gotów do potrzymania nie klejącej się rozmowy. Zauważywszy, że Reggie Carrington dyskretnie ziewa, pan Carlile nachylił się i zapytał panią Macattę o jej akcję "Zdrowie dzieci".

Wokół stołu w przyćmionym bursztynowym świetle krążył lokaj wraz z dwoma służącymi, oferując rozmaite dania i nalewając wino. Lord Mayfield płacił olbrzymią pensję swemu kucharzowi i był wielkim koneserem win.

Chociaż stół był okrągły, jednak nikt nie miał wątpliwości, kto jest gospodarzem. Miejsce, które zajmował lord Mayfield, było niewątpliwie najważniejsze przy stole. Ten potężny mężczyzna, z gęstymi siwymi włosami, o kwadratowych ramionach, olbrzymim prostym nosie i lekko wypukłym podbródkiem, miał twarz, którą łatwo było karykaturować. Podobnie jak sir Charles McLaughlin, lord Mayfield łączył karierę polityka z dyktowaniem pewnej firmie konstrukcyjnej. Sam był doskonałym inżynierem. Tytuł lordowski uzyskał przed rokiem i w tym samym czasie został ministrem obrony.

Podano deser, a do niego po kieliszku porto. Chwytną spojrzenie pani Vanderlyn, lady Julia wstała. Kiedy kobiety opuściły pokój, jeszcze raz podano porto. W rozmowie przez chwilę omijano istotne tematy. W końcu sir George powiedział:

- Reggie, mój chłopcze, sądzę, że chciałbyś przyłączyć się do towarzystwa w salonie? Lord Mayfield nie miałby nic przeciw temu.

Chłopiec domyślił się, o co chodzi.

- Dziękuję, milordzie, chętnie to zrobię. Pan Carlile mruknął:

- Jeżeli pan wybaczy, lordzie Mayfield, to mam jeszcze do zrobienia kilka notatek i parę spraw do załatwienia...

Lord Mayfield skinął głową i dwóch młodych ludzi opuściło pokój. Służba usunęła się już wcześniej. Minister obrony i dowódca lotnictwa zostali sarni.

Po kilku chwilach Carrington zaczął:

- Wszystko w porządku?

- Całkowicie! W całej Europie nic nie dorówna naszemu bombowcowi.

- Pozostawiliśmy ich w tyle, co? Oto, co myślę.

- Mamy przewagę w powietrzu - rzekł lord Mayfield zdecydowanie.

Sir George Carrington westchnął głęboko.

- Najwyższy czas! Wiesz chyba, Charles, jak delikatny okres mamy za sobą. Cała Europa siedziała na beczce prochu. A my nie byliśmy gotowi, do diabła. O włos uniknęliśmy nieszczęścia. Ale jeszcze nie uporaliśmy się z trudnościami, chociaż tak bardzo spieszmy się z konstrukcją.

Lord Mayfield mruknął:

- Mimo wszystko, George, są pewne korzyści z późnego rozpoczęcia prac, większość broni europejskiej jest już przestarzała i obecnie jej producenci stoją przed widmem bankructwa.

- Nie wierzę, aby to miało znaczenie - rzekł sir George ponuro. - Ciągłe się słyszy, że jedno, czy drugie państwo zbankrutowało, ale jakoś ciągną dalej. Wiesz jednak, że sprawy finansowe to dla mnie czarna magia.

Lord Mayfield zamrugnął oczami. Sir George Carrington zawsze przypominał starego, prostodusznego wilka morskiego. Niektórzy twierdzili jednak, że jest to poza, którą celowo przybierał.

- Atrakcyjna kobieta z tej pani Vanderlyn, prawda? - spytał mimochodem Carrington, zmieniając temat

Lord Mayfield odparł:

- Dziwi cię, skąd się tu wzięła?

W jego oczach czaiła się wesołość.

Carrington stropił się.

- Wcale nie, wcale nie.

- O tak, tak! Nie nabierzesz mnie, George. Zastanawiałeś się, trochę przerażony, czy jestem jej ostatnią ofiarą!

Carrington powiedział wolno:

- Muszę przyznać, że istotnie wydawało mi się odrobinę dziwne, iż się tu znalazła, podczas tego właśnie weekendu.

Lord Mayfield skinął głową.

- Gdzie jest padlina, tam zbierają się sępy. Mamy właśnie tę padlinę, a panią Vanderlyn możemy nazwać sępem numer jeden.

Generał lotnictwa spytał szorstko:

- Czy wiadomo ci, kim właściwie jest ta pani Vanderlyn?

Lord Mayfield odciął koniec cygara, zapalił je i, kiwając głową w zamyśleniu, powiedział:

- Co mi wiadomo o pani Vanderlyn? Wiem, że jest obywatelką Stanów Zjednoczonych. Wiem, że miała trzech mężów: Włocha, Niemca i Rosjanina, a w konsekwencji zdobyła sobie - jak to się określa - kontakty w tych trzech krajach. Wiem, że wydaje dużo na stroje i że żyje luksusowo. Istnieją jednak pewne wątpliwości, skąd czerpie dochody, które jej to umożliwiają.

Sir George Carrington mruknął z uśmiechem: - Jak widzę, twoi szpiedzy, Charles, nie próżnują. - Wiem ponadto - kontynuował lord Mayfield - że uwodzicielska pani Vanderlyn jest również wdzięcznym słuchaczem, nawet jeśli mówi się o sprawach zawodowych. Inaczej mówiąc, mężczyzna może jej wszystko powiedzieć o swoim zajęciu i mieć poczucie, że okazał się niezmiernie interesujący. Różni młodzi oficerowie trochę za mocno chcieli się jej przypodobać i na skutek tego również mocno ucierpiała ich kariera. Powiedzieli pani Vanderlyn nieco więcej niż powinni. Prawic wszyscy przyjaciele tej pani służą w armii. Ostatniej zimy polowała w hrabstwie położonym w pobliżu jednej z naszych największych fabryk zbrojeniowych i tam pozyskała sobie pewnych przyjaciół pasjonujących się nie tylko sportem. Mówiąc krótko, pani Vanderlyn jest bardzo użyteczną osobą dla... - Cygarem nakreślił w powietrzu kółko. - Lepiej jednak byłoby, abyśmy nie mówili dla kogo. Powiemy jedynie, że dla pewnego mocarstwa europejskiego, a być może nie tylko jednego. Carrington, odetchnął głęboko.

- Zdjąłeś mi ciężar z serca, Charles.

- Myślałaś, że uwiodła mnie ta syrena? Mój drogi George! Dla takiego starego wygi jak ja metody pani Vanderlyn są zbyt oczywiste. Poza tym, powiedzmy sobie, że nie jest już wcale taka młoda... Twoi dowódcy eskadr nie poznają się na tym, ale ja mam już pięćdziesiąt sześć lat, a za jakieś cztery lata stanę się starym zrzędą, straszącym w towarzystwie nieskore debutantki.

- Jestem głupcem - powiedział przepaszająco Carrington - ale wydawało mi się to nieco dziwne...

- ...że tu się znalazła, w niemal ściśle rodzinnym gronie, w momencie gdy zamierzamy odbyć nieoficjalną konferencję na temat wynalazku, który spowoduje prawdopodobnie rewolucje w powietrzu?

Sir George Carrington skinął głową.

Lord Mayfield powiedział z uśmiechem:

- Zgadza się. To właśnie stanowi przynętę.

- Przynętę?

- Widzisz, George - by użyć języka filmów kryminalnych - nie mamy na tę kobietę "haka". A potrzebujemy czegoś. W przeszłości udawało się jej wychodzić zawsze obronną ręką. Była ostrożna, piekielnie ostrożna... Wiemy, czego szukała, ale nie mamy rozstrzygającego dowodu! Musimy ją czymś skusić, czymś bardzo ponętym!

- Tą przynętą ma być dokumentacja nowego bombowca?
- Tak jest. Musi to być tak ważne, aby sprowokowało ją do podjęcia ryzyka. Aby wyszła na światło. I wtedy - mamy ją!
- No, dobrze - mruknął sir George. - Zapewne jest to w porządku. Ale powiedzmy, że ona nie pójdzie na takie ryzyko?
- Będzie to wielka szkoda - odparł lord Mayfield. I dodał: - Osobiście sędzę, że pójdzie...
- Przyłączymy się do pań w salonie? Nie możemy pozbawić twojej żony brydża. Sir George westchnął.
- Julia zanadto lubi brydża. Przegrywa znaczne sumy. Nie stać jej, by grała tak wysoko, jak to robi. I powiedziałem jej o tym. Cały kłopot polega na tym, że Julia jest urodzoną hazardzistką. Obszedł stół dookoła, stając przy gospodarzu, i rzekł:
- Dobrze, Charles. Mam nadzieję, że twój plan nie zawiedzie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rozmowa w salonie kulała. Pani Vanderlyn nie święciła triumfów, gdy pozostawała w towarzystwie samych kobiet. Jej urok i ujmujące zachowanie, tak chwalone przez mężczyzn, nie były doceniane przez kobiety. Lady Julia z kolei potrafiła zachowywać się cudownie, ale potrafiła też mieć bardzo złe maniery. W obecnej sytuacji, gdy nie darzyła sympatią pani Vanderlyn, a do tego zanudzała ją pani Macatta, nie ukrywała swoich uczuć. Rozmowa słabła i mogłaby zupełnie ustać, gdyby nie pani Macatta. Pani Macatta, będąc osobą wielkich celów, lekceważyła panią Vanderlyn jako kobietę pustą. Próbowala natomiast zainteresować lady Julię zbliżającą się akcją charytatywną, której była organizatorką. Lady Julia opowiadała niejasno, tłumiąc ziewanie, i zagłębiła się we własnych myślach. Dlaczego Charles i George nie nadchodzą? Jacy ci mężczyźni są nieznośni. Jej odpowiedzi i komentarze stawały się coraz bardziej niedbałe, gdyż pochłonęły ją własne sprawy. Kiedy nareszcie mężczyźni weszli do salonu, kobiety siedziały w milczeniu. Lord Mayfield powiedział do siebie: - Julia źle dziś wygląda. Istny kłębek nerwów. -Głośno zaś dodał: - Może jednego roberka, co?

Lady Julia odetchnęła. Brydż był częścią jej życia. W tym momencie do pokoju wszedł Reggie Carrington i czwórka została skompletowana. Lady Julia, pani Vanderlyn, sir George i młody Reggie usiedli przy stoliku z kartami. Lord Mayfield zajął się panią Macatta. Kiedy skończono drugiego robra, sir George spojrzął ostentacyjnie na zegar stojący na kominku.

- Nie bardzo już warto zaczynać nowego - zauważył. Jego żona rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Jest dopiero za kwadrans jedenasta. Może być jeden krótki.

- One nigdy nie trwają krótko, moja droga - powiedział spokojnie sir George. - W każdym razie Charles i ja mamy jeszcze trochę roboty.

Pani Vanderlyn westchnęła.

- To brzmi bardzo poważnie. Przypuszczam, że ludzie zajmujący wysokie stanowiska nigdy nie są panami swego czasu.

- Niestety, pracujemy więcej niż czterdzieści osiem godzin tygodniowo - rzekł sir George.

Pani Vanderlyn ciągnęła dalej:

- Jako nieokrzęsana Amerykanka ze wstydem muszę przyznać, że bardzo mnie podnieca przebywanie w towarzystwie panów, którzy dzierżą losy kraju. Spodziewam się, że takie nastawienie musi wydać się niezwykle prymitywne w pańskich oczach, sir George.

- Droga pani Vanderlyn, nigdy nie myślałem o pani jak o osobie prymitywnej czy nieokrzęsanej.

Patrzył jej w oczy z uśmiechem. W jego głosie czaiła się być może ironia, która nie umknęła jej uwagi. Zręcznie odwróciła się do Reggic'go i uśmiechnęła słodko.

- Szkoda, że nie możemy razem grać dalej. Sprytnie zaliczył pan te cztery bez at.

Reggie zaczerwienił się z zadowolenia i wymamrotał:

- Zdecydował tylko łut szczęścia.

- O nie, to wynik właściwego rozumowania. Dedukcja wskazała panu, gdzie i jaka jest karta, i zgodnie z tym pan zagrał. Powiedziałabym nawet, że to było niezwykle błyskotliwe.

Lady Julia nagle wstała.

"To było szyte grubymi nićmi" - pomyślała z niesmakiem.

Spojrzała na syna z czułością. On w to wszystko wierzył. Jak wzruszająco młodo wyglądał i zdawał się być szczęśliwy. Nic dziwnego, że wpadł w tarapaty. Za bardzo ufa ludziom. To dlatego, że ma łagodny charakter. George nigdy go nie rozumiał. Mężczyźni są zawsze tak niesprawiedliwi w swych sądach. Zapominają nawet, że sami byli kiedyś młodzi. George jest zbyt szorstki dla Reggie'ego.

Pani Macalta wstała. Powiedzieli sobie dobranoc. Trzy kobiety opuściły pokój. Lord Mayfield podał szklaneczkę George'owi i nalał dla siebie. W drzwiach stanął Carlile.

- Zechciej wyjąć akta i wszystkie dokumenty. Włącznie z planami i kopiami. Generał i ja zaraz wrócimy. Trochę pospacerujemy, prawda George? Deszcz chyba przestał padać.

Carlile, zbierając się do odejścia, nieomal wpadł na panią Vanderlyn.

Pani Vanderlyn weszła do pokoju, mrużąc wymówkę:

- Gdzieś tu jest moja książka... Czytałam ją przed obiadem.

Reggie podskoczył i podał jej książkę.

- To ta? Leżała na kanapie.

- O tak! Bardzo dziękuję.

Uśmiechnęła się słodko, powiedziała jeszcze raz "dobranoc" i wyszła z pokoju.

Sir George otworzył oszklone drzwi.

- Piękna noc - oznajmił. - To dobra myśl, żebyśmy się trochę przeszli.

- Dobranoc - rzekł Reggie. - Idę się położyć.

- Dobranoc, mój chłopcze - rzekł lord Mayfield.

Reggie wziął jakiś kryminał, który zaczął czytać wieczorem, i opuścił pokój.

Lord Mayfield i sir George wyszli na taras. Istotnie była piękna noc z czystym rozgwieżdżonym niebem.

Sir George wciągnął głęboko powietrze.

- Uffff! Ta kobieta za mocno się perfumuje - zauważył.

Lord Mayfield zaśmiał się.

- W każdym razie jej perfumy są w doskonałym gatunku. Niewątpliwie używa najlepszych z najlepszych.

Sir George kontynuował myśl:

- Przypuszczam, że powinniśmy być jej za to wdzięczni.

- Istotnie, masz rację. Sądzę, że kobieta, która oblewa się tanimi perfumami, może wzbudzać największe obrzydzenie.

Sir George spojrział na niebo.

- Nadzwyczajne, jak się wypogodziło. Podczas obiadu słyszałem, jak padał deszcz.

Mężczyźni przechadzali się wolno po tarasie.

Taras biegł wzdłuż całego budynku. Poniżej teren opadał łagodnie i otwierał wspaniałą perspektywę na malowniczą okolicę.

Sir George zapalił cygaro.

- Jeżeli chodzi o len stop metali... - zaczął. Rozmowa zeszła na szczegóły techniczne.

Kiedy po raz piąty przemierzali wzdłuż taras, lord Mayfield powiedział z westchnieniem:

- Sądzę, że ostrzej trzeba się wziąć do pracy.

- Tak, masz rację, mamy sporo do zrobienia. Obaj mężczyźni odwrócili się i lord Mayfield wydał okrzyk zdumienia:

- Hej! Widzisz tam?

- Co takiego? - spytał sir George.

- Zdawało mi się, że widziałem, jak ktoś wymknął się przez oszklone drzwi mojego gabinetu i przebiegł przez taras.

- Bzdura, mój stary. Ja nic nie widziałem.

- Mhmm... A ja widziałem, może jednak tylko mi się zdawało.

- Zwodzą cię oczy. Patrzyłem w tym kierunku i gdyby było coś do zobaczenia, musiałbym to widzieć. Bardzo niewiele umyka moim oczom - czytam gazetę na długość ramienia.

Lord Mayfield zachichotał.

- Jednak chciałbym zauważyć, George, że ja robię to samo bez użycia szkieł.

- Ale nie zawsze możesz rozpoznać człowieka z drugiej strony sali w parlamencie.

Czy może ten monokl służy wyłącznie do onieśmiania rozmówców?

Śmiejąc się obaj mężczyźni weszli przez oszklone drzwi do gabinetu lorda Mayfielda.

Carlile zajęty był przy sejfie porządkowaniem i układaniem jakichś papierów.

Kiedy wchodzili, podniósł wzrok.

- No, Carlile, wszystko gotowe?

- Tak, lordzie Mayfield, wszystkie papiery są na pańskim biurku.

Biurko było w istocie ogromnym, solidnym mahoniowym stołem stojącym przy oknie. Lord Mayfield podszedł do niego i zaczął porządkować dokumenty, odkładając niektóre na bok.

- Zrobiła się piękna noc - powiedział sir George.

Carlile zgodził się z tym.

- Tak, istotnie. Wspaniale wypogodziło się po deszczu.

Odkładając dokumenty, Carlile zapytał:

- Czy dzisiaj wieczorem będę jeszcze potrzebny, milordzie? - Nie, sądzę, że nie, Carlile. Sam to wszystko załatwię. Przypuszczalnie zabawimy tu jeszcze długo. Możesz iść spać.

- Dziękuję. Dobranoc, milordzie. Dobranoc, sir George.

- Dobranoc, Carlile.

Kiedy sekretarz opuszczał pokój, lord Mayfield powiedział szybko:.

- Chwileczkę, Carlile. Zapomniałeś o najważniejszym.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie.

- O najnowszych planach bombowca...

Sekretarz spojrzał badawczo.

- Są na samym wierzchu.

- Nie ma ich tu.

- Ależ sam je tam położyłem!

- Sam zobacz.

Zmieszany i zdenerwowany młodzieniec dołączył do lorda Mayfielda przy biurku.

Zniecierpliwiony minister wskazał stos papierów. Carlile zaczął ze wzrastającym zdenerwowaniem przewracać dokumenty.

- Przekonał się pan osobiście, że ich tu nie ma.

Sekretarz wyjąkał:

- Ależ... Ależ to niemożliwe! Położyłem je tutaj nie więcej jak przed trzema minutami.

Lord Mayfield powiedział wesoło:

- Chyba się mylisz. Na pewno są jeszcze w sejfie.

- Doprawdy, sam nie wiem... Jednak pamiętam, że je tu położyłem!

Lord Mayfield minął go i podszedł do otwartego sejfu. Sir George zbliżył się również.

W ciągu kilku minut upewnili się, że planów bombowca tam nie ma.

Oszołomieni, nie dowierając własnym oczom, trzech mężczyzn podeszli do biurka i jeszcze raz przejrzeni papiery.

- Na Boga! - rzekł Mayfield. - Zniknęły!

Pan Carlile wykrzyknął:

- Ale to niemożliwe!

- Kto był w tym pokoju? - rzucił minister.

- Nikt. Nikt tu nie wchodził.

- Posłuchaj no, Carlile! Przecież te plany nie wywietrzały. Ktoś je musiał zabrać. Była tu pani Vanderlyn?

- Pani Vanderlyn? O nie, milordzie.

- Zaraz to sprawdzę - rzekł Carrington, wciągając powietrze przez nos. - Jeżeli tu była, wyczuemy jej zapach. Ten charakterystyczny zapach jej perfum.

- Nikogo tu nie było - zapewnił Carlile. - Nie mogę tego wprosi zrozumieć...

- Carlile - rzekł lord Mayfield - skup się przez chwilę. Musimy to dokładnie sprawdzić. Czy jesteś całkowicie pewien, że plany były w sejfie?

- Absolutnie.

- Widziałeś je tam na własne oczy? Czy po prostu uznałeś za oczywiste, że muszą być między innymi dokumentami?

- Nie, nie, milordzie. Widziałem je. Położyłem je na samym wierzchu, na innych papierach na biurku!

- I twierdzisz, że od tej chwili nikt nie wchodził do pokoju? I ty sam nie wychodziłeś z pokoju?

- Nie... To jest - tak.

- Ach! - wykrzyknął sir George. - Nareszcie mamy!

Lord Mayfield rzekł porywczo:

- Co to, na Boga...

Carlile mu przerwał:

- Normalnie, milordzie, oczywiście nie zrobiłbym tego, nawet nie wyobrażam sobie, żebym mógł wyjść z pokoju, pozostawiając tak ważne papiery na wierzchu, lecz kiedy usłyszałem krzyk kobiety...

- Krzyk kobiety? - wykrztusił lord Mayfield z najwyższym zdumieniem.

- Tak milordzie. Byłem bardziej zaskoczony, niż to mogę wypowiedzieć. Ten krzyk usłyszałem, gdy kładłem papiery na biurku, i naturalnie natychmiast wybiegłem do holu.

- Kto krzyczał?

- Ta francuska służąca pani Vanderlyn. Stała w połowie schodów, była blada i przerażona. Cała się trzęsła. Powiedziała mi, że zobaczyła ducha.

- Ducha?

- Tak, wysoką kobiecą postać w bieli. Postać ta bezgłośnie unosiła się w powietrzu.

- To śmieszne!

- Tak, milordzie. Powiedziałem jej to samo. Muszę jednak przyznać, że wydawała mi się trochę zawstydzona. Potem poszła z powrotem na piętro, a ja wróciłem do gabinetu.

- Jak długo był pan poza gabinetem?

- Wróciłem na minutę lub dwie przed przyjściem pana i sir George'a.

- Ale jak długo nie było pana w pokoju?

- Dwie minuty... może trzy.

- Wystarczająco długo - jęknął lord Mayfield.

Nagle chwycił przyjaciela za ramię.

- George, ten cień, który widziałem... Skradający się od oszklonych drzwi. To było wtedy! Jak tylko Carlile wyszedł z pokoju, ktoś wślizgnął się do środka, chwycił plany i ulotnił się.

- Paskudna sprawa - rzekł sir George.

Następnie uwolnił ramię z uścisku przyjaciela.

- Charles, to makabryczna historia. Co, u diabła, mamy teraz zrobić?

ROZDZIAŁ TRZECI

Pół godziny później obaj mężczyźni znajdowali się w gabinecie lorda Mayfielda, a sir George poświęcił dużo czasu, aby skłonić przyjaciela do przyjęcia pewnej sugestii. Lord Mayfield początkowo był nastawiony bardzo niechętnie, w końcu jednak zaczął się łamać.

Sir George kontynuował:

- Nie bądź taki uparty, Charles - namawiał go sir George.

Lord Mayfield powiedział powoli:

- Ale dlaczego mamy w to wciągać obcokrajowca, o którym nic nie wiemy?
- Tak się składa, że ja coś o nim wiem. To nadzwyczajny człowiek.
- Mhm...
- Posłuchaj, Charles, to jedyna szansa! Istotą tej sprawy jest dyskrecja. Jeśli nam się to wymknie, wówczas...
- Kiedy już się nam wymknie, chciałeś powiedzieć.
- Niekoniecznie. Ten człowiek... Herkules Poirot...
- Jak sądzę, wyczaruje nam plany, jak prestidigitator królika z cylindra?
- Tak. On może wykryć prawdę. A o to nam tylko chodzi. Charles, biorę całą odpowiedzialność na siebie.

Lord Mayfield powiedział wolno:

- No, dobrze, to twoja osobista sprawa, ja jednak nie wiem, co ten facet może zrobić...

Sir George podniósł słuchawkę.

- Postaram się sprowadzić go tu natychmiast.
- Na pewno śpi...
- To go obudzę. Niech to wszystko licho porwie, Charles, nie mogę pozwolić, aby ta kobieta zniknęła. - Masz na myśli panią. Vanderlyn?
- Tak. Nie wątpisz chyba, że maczała w tym palce?
- Nie, nie wątpię. Wyraźnie postanowiła się na mnie zemścić. Z niechęcią przyznaję, George, że przechytrzyła nas kobieta. To przeciwne naturze, ale to prawda. Nie możemy jej niczego udowodnić, mimo że wiemy o jej pierwszoplanowej roli w tej sprawie.
- Kobiety to diablance - stwierdził z przejściem Carrington.
- Ale, do cholery, na pozór nic jej nie łączy ze zniknięciem papierów! Możemy tylko przypuścić, że namówiła tę dziewczynę do krzyku, a cień, który wyskoczył na taras, był jej współnikiem. Jednak do licha, nie możemy tego udowodnić.
- Być może dokona tego Herkules Poirot.

Lord Mayfield nagle wybuchnął śmiechem.

- Wielkie nieba, George, wydawało mi się, że jesteś zbyt brytyjski, by pokładać wiarę we Francuzie, nawet gdyby był bardzo przebiegły.

- On nie jest Francuzem, jest Belgiem - odparł sir George z wyrazem zakłopotania na twarzy.

- No, dobrze, dawaj więc tu tego twojego Belga. Niech spróbuje rozwikłać tę zagadkę. Założę się, że nic nie wskóra.

W odpowiedzi sir George wyciągnął rękę do telefonu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mrugając trochę, zaspany Herkules Poirot obracał głowę od jednego mężczyzny do drugiego. Dyskretnie stłumił ziewnięcie.

Było wpół do trzeciej w nocy. Wyrwano go ze snu i w kompletnych ciemnościach nocy przewieziono ogromnym rolls-roycem do wiejskiej posiadłości lorda Mayfielda. A teraz właśnie obaj mężczyźni kończyli swoją opowieść.

- Takie są fakty, panie Poirot - rzekł lord Mayfield. Oparł się w fotelu i wolno ulokował w oku monokl.

Przenikliwe bladoniebieskie oko wpatrywało się badawczo w Poirotą. Wyrażało skrajny sceptycyzm. Poirot rzucił krótkie spojrzenie na sir George'a Carringtona, który siedział pochylony do przodu i patrzył na niego z prawie dziecięcą wiarą.

Poirot rzekł wolno:

- Tak, mam fakty. Pokojówka krzyknęła, sekretarz wyszedł, nieznajomy obserwator wszedł, plany leżały na wierzchu biurka, chwycił je i zniknął. Fakty... Wszystkie bardzo wygodne.

Coś w ostatnim zdaniu wydawało się zwrócić uwagę lorda Mayfielda. Wyprostował się trochę sztywno, monokl wyskoczył mu z oka. Jakby go coś nowego zaskoczyło i zaalarmowało.

- Przepraszam, panie Poirot?

- Powiedziałem, milordzie, że fakty są bardzo wygodne - dla złodzieja. Nawiasem mówiąc, jest pan pewien, że człowiek, którego pan widział, był mężczyzną?

Lord Mayfield potrząsnął głową. - Tego nie mogę powiedzieć. Właściwie to był cień. Prawdę mówiąc, mam pewne wątpliwości, czy w ogóle widziałem kogokolwiek.

Poirot przeniósł wzrok na generała lotnictwa.

- A pan, sir George? Mógłby pan powiedzieć, czy to był mężczyzna, czy kobieta?

- Ja w ogóle nikogo nie widziałem.

Zamyślony Poirot skinął głową. Nagle szybko wstał i podszedł do biurka.

- Mogę pana zapewnić, że planów już tam nie ma - rzekł lord Mayfield. - Wszyscy trzej przejrzelśmy te papiery dokładnie z tuzin razy.

- Wszyscy trzej? Chce pan powiedzieć, że pański sekretarz również?

- Tak. Nazywa się Carlile.

Poirot odwrócił się szybko.

- Proszę mi powiedzieć, milordzie, jakie papiery były na wierzchu, kiedy podszedł pan do biurka?

Mayfield zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć.

- Zaraz, zaraz... Tak, tam była pewna pobieżna notatka, dotycząca naszych pozycji obrony lotniczej.

Zwinnym ruchem Poirot pochwycił jakiś papier i podsunął go lordowi.

- To ten, milordzie?

Lord Mayfield wziął dokument do ręki, obejrzał i odparł:

- Tak, ten.

Poirot zwrócił się do Carringtona:

- Czy i pan zauważył to na biurku?

Sir George wziął papier, odsunął od siebie, a potem wcisnął na nos pince-nez.

- Tak, zgadza się. Widziałem go wraz z Carlile'em i Mayfieldem. Leżał na wierzchu.

Poirot skinął głową. Odłożył dokument na poprzednie miejsce. Mayfield z zaciekawieniem obserwował Poirota.

- Gdyby miał pan jakieś inne pytania... - zaczął.

- Ależ tak, mam jedno: chodzi o Carlile'a.

Lord Mayfield lekko się zaczerwienił.

- Carlile, panie Poirot, jest poza wszelkimi podejrzeniami! Jest moim osobistym sekretarzem od dziesięciu lat. Miał dostęp do dokumentów. Mogę pana zapewnić, że mógł sporządzić kopie tych planów i bez problemu je przerysować. Nikt by się nie zorientował.

- Wezmę to pod uwagę - rzekł Poirot. - Gdyby chciał to zrobić, nie musiał posuwać się do tak niezręcznego rabunku.

- W żadnym wypadku - odparł lord Mayfield. - Jestem zupełnie pewny Carlile'a. Mogę za niego poręczyć.

- Carlile - rzekł głośno Carrington - jest zupełnie w porządku.

Poirot z wdziękiem rozłożył ręce.

- A pani Vanderlyn... Ona nie jest w porządku, co?

- Tak, ona właśnie nie jest w porządku - rzekł sir George.

Lord Mayfield powiedział spokojnie:

- Sądzę, panie Poirot, że nie możemy mieć wątpliwości, co do roli pani Vanderlyn w tej sprawie. Ministerstwo Spraw Zagranicznych może panu dostarczyć na jej temat dokładnych informacji.

- A służąca? Czy sądzi pan, że ona współpracuje ze swoją panią?

- Nie ma wątpliwości - przyświadczył sir George.

- Takie założenie wydaje mi się do przyjęcia - powiedział bardzo ostrożnie lord Mayfield.

Zapadło milczenie. Poirot westchnął i zamyślony przekładał papiery na biurku. Następnie rzekł: - Sądzę, że te skradzione plany mogły być warte dużą sumę w gotówce?

- Jeżeli zostaną przedłożone pewnym kręgom - to tak.

- Na przykład?

Sir George wymienił dwa mocarstwa europejskie. Poirot skinął głową.

- Zapewne każdy o tym doskonale wie, prawda?

- Pani Vanderlyn na pewno o tym wiedziała.

- Ale ja powiedziałem, czy każdy o tym wie!

- Sądzę, że tak.

- Więc każdy - z odrobiną inteligencji - może docenić finansową wartość tych planów?

- Tak, ale, panie Poirot... - Lord Mayfield zdawał się być raczej zaniepokojony.

Poirot podniósł rękę.

- Robię tylko to, co można by nazwać badaniem wszystkich możliwych dróg.

Nagle wstał, wyszedł na taras i, świecąc sobie latarką, obejrzał skrawek trawnika i kraniec tarasu. Mężczyźni obserwowali go. Wrócił do gabinetu, usiadł i rzekł:

- Proszę mi powiedzieć, milordzie, czy pan nie urządził pościgu za tym złoczyńcą?

Lord Mayfield wzruszył ramionami.

- Mógł pójść ścieżką biegnącą przez ogród do głównej drogi. A jeżeli czekał tam na niego samochód, to wkrótce był nieuchwytny...

- No, dobrze, a policja? Sir George przerwał:

- Pan zapomina, panie Poirot, że musimy uniknąć rozgłosu. Jeśli wiadomość o zniknięciu planów stanie się własnością publiczną, wówczas ucierpi na tym nasza partia.

- Tak, tak - rzekł Poirot. - Należy zawsze pamiętać o la politique. Należy zachować wielką dyskrecję. Dlatego mnie pan wezwał. No tak, być może to łatwiejsze rozwiązanie.

- Ma pan nadzieję na sukces, pani Poirot? - spytał z lekkim niedowierzaniem lord Mayfield.

Mały mężczyzna wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? Trzeba tylko pomyśleć... zastanowić się. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Chciałbym teraz pomówić z Carlile'em.

- Oczywiście. - Lord Mayfield wstał. - Zaraz go poproszę. Powinien się kręcić gdzieś w pobliżu.

Wyszedł z pokoju.

Poirot spojrzał na sir George'a.

- Eh bien - powiedział. - A co z tym człowiekiem na tarasie?

- Drogi panie Poirot. Proszę mnie o to nie pytać! Ja go nie widziałem i wobec tego nie mogę go opisać.

Poirot pochylił się do przodu.

- Stwierdził pan to już poprzednio. Ale chyba chodzi o coś troszeczkę innego... Czy tak?

- Co pan ma na myśli? - spytał szorstko sir George.

- Jak by to wyrazić? Pański sceptycyzm jest znacznie głębszy, niż pan to wyraził.

Sir George już chciał coś powiedzieć, ale zamilkł.

- Ależ tak - rzekł Poirot zachęcająco - proszę mówić. Stoją panowie na końcu tarasu. Lord Mayfield widzi wyslizgujący się drzwiami cień, który polem biegnie przez trawnik. Dlaczego jednak pan nie widzi tego cienia?

Carrington patrzył na niego badawczo.

- Trafił pan w sedno, panie Poirot. To mnie właśnie niepokoi. Widzi pan, mógłbym przysiąc, że żadnego absolutnie cienia nie widziałem. Sądzę, że Mayfield miał złudzenie. Może był to ruch cienia gałęzi czy coś w tym rodzaju. Ale w chwili, gdy tu weszliśmy i stwierdziliśmy, że popełniono kradzież, ugruntowało się we mnie mniemanie, że to nie on, lecz ja się pomyliłem. Ale mimo to...

Poirot uśmiechnął się.

- Mimo to, w skrytości ducha głęboko wierzy pan w prawdę (jakże często złudną), jaką wskazują panu oczy?

- Tak, nie myli się pan, panie Poirot, wierzę w to. Poirot stałe się uśmiechał.

- To rozsądne z pańskiej strony. Sir George rzucił ostro:

- Na skraju trawnika nie było śladów stóp? Poirot skinął twierdząco głową.

- Zgadza się. Lordowi Mayfieldowi wydawało się, że widział jakiś cień. Potem dokonano kradzieży i nabrał pewności - całkowitej pewności! To już nie jest sprawa złudzenia, on z pewnością widział jakiegoś człowieka. Ale mnie bardziej interesują ślady stóp i tym podobne rzeczy, a w tej sprawie mamy negatywne świadectwo. Nie znalazłem żadnych śladów stóp na trawniku. Wieczorem padał rześisty deszcz. Jeżeli wczoraj wieczorem ktoś przeszedł przez taras i stanął na trawniku, zobaczyliśmy jego ślady.

- Ale... - zaprotestował sir George.

- To prowadzi nas z powrotem do domu. Do ludzi znajdujących się wewnątrz.

Przerwało mu otwarcie drzwi. Wszedł lord Mayfield z Carlile'em. Sekretarz, chociaż był jeszcze blady, odzyskał już zimną krew. Poprawił pince-nez, usiadł i patrzył pytająco na Poirota.

- Jak długo przebywał pan w tym pokoju, zanim usłyszał pan krzyk?

Carlile zastanawiał się.

- Sądzę, że pięć do dziesięciu minut.

- I przedtem nic tu pana nie zaniepokoiło?

- Nie.

- Słyszałem, że goście spędzili większą część wieczoru razem, w jednym pokoju?

- Tak, w salonie.

Poirot zajął do swojego notesu.

- Sir George Carrington i jego żona, pani Macatta, pani Vanderlyn, pan Reggie Carrington, lord Mayfield i pan. Zgadza się?

- Mnie nie było w salonie. Przez większą część wieczoru pracowałem tutaj.

Poirot zwrócił się do lorda Mayfielda:

- Kto pierwszy udał się na spoczynek?

- Przypuszczam, że lady Julia Carrington. Właściwie wszystkie trzy panie poszły równocześnie.

- A polem?
 - Wszedł pan Carlile i poleciłem mu wyjąć papiery, które chcieliśmy przejrzeć z sir George'em.
 - Później zdecydowaliście panowie o przechadzce po tarasie?
 - Tak.
 - Czy rozprawialiście o pani Vanderlyn, kiedy pracowaliście w gabinecie?
 - Owszem, ta sprawa była poruszana.
 - Ale nie było jej w pokoju, w chwili gdy instruowaliście pana Carlile'a w sprawie dokumentów?
 - Nie.
 - Proszę mi wybaczyć, milordzie - rzekł Carlile. -Właśnie gdy pan o tym mówił, zderzyłem się w drzwiach z panią Vanderlyn. Wróciła po książkę.
 - Mogła więc wszystko słyszeć?
 - Zupełnie możliwe. Tak. - Wróciła po książkę, milordzie?
 - Tak, i Reggie dał jej.
 - No tak, to stary, użyteczny trick! Wiec wróciła po książkę! To się często zdarza!
 - Myśli pan, że zrobiła to rozmyślnie? Poirot wzruszył ramionami.
 - W chwilę polem panowie wychodzą na taras. A pani Vanderlyn...?
 - Wyszła ze swoją książką.
 - A Reggie? Również udał się na spoczynek?
 - Tak.
 - Potem przyszedł pan Carlile i mniej więcej pięć do dziesięciu minut później usłyszał krzyk. Usłyszał pan krzyk, więc wybiegł pan do holu. A może nie sprawi panu kłopotu powtórzenie tej sceny?
- Carlile wstał trochę niezgrabnie z krzesła.
- Ja będę tutaj krzyczał - rzekł ochoczo Poirot. Otworzył usta i wydał z siebie cienki pisk. Lord Mayfield odwrócił głowę, ukrywając uśmiech, a Carlile patrzył niezdecydowany.
 - Allez! Naprzd! Prędszej! - wykrzyknął Poirot. -Przecież w tym momencie pan zareagował.
- Carlile podbiegł sztywno do drzwi, otworzył je i wyszedł. Poirot poszedł za nim. Pozostali pospieszyli również.
- Czy zamknął pan za sobą drzwi?

- Tego naprawdę nie pamiętam. Sądzę, że zostawiłem je otwarte.

- Mniejsza o to. Dalej.

Ciągle bardzo sztywny, Carlile podszedł do pierwszego stopnia schodów i stanął, patrząc w górę. Poirot rzekł:

- Pokojówka, jak sądzą, znajdowała się na schodach. Gdzie stała?

- W połowie schodów.

- Była wytrącona z równowagi?

- Wyraźnie.

- Eh bien, załóżmy więc, że jestem pokojówką. - Poirot zwinnie wbiegł na schody. -
Tutaj?

- Może stopień lub dwa wyżej...

- Tak jak teraz.

Poirot przybrał odpowiednią pozę.

- Tak... Ale nie. Niezupełnie...

- A jak?

- No, trzymała się rękoma za głowę.

- Ach, rękoma trzymała się za głowę. To bardzo interesujące. Czy w ten sposób? -

Poirot podniósł ręce i objął dłońmi głowę powyżej uszu.

- Tak, właśnie tak.

- Aha! A teraz niech mi pan powie, panie Carlile, czy to ładna dziewczyna? Tak?

- Doprawdy, nie zauważyłem. - Głos Carlile'a zabrzmiał zaczepnie.

- Mhm... Więc pan nie zauważył? Ale jest pan przecież, młody. Możliwe, aby młody człowiek nie widział, czy dziewczyna jest ładna?

- Doprawdy, panie... Poirot, mogę tylko powtórzyć, że nie zwróciłem na to uwagi.

Carlile spojrział na swego pracodawcę wzrokiem człowieka umęczonego. Sir Carrington nagle zakaszłał.

- Pan Poirot postanowił być bardzo bezpośredni, Carlile - zauważył.

Carlile rzucił mu zimne spojrzenie.

- Jeżeli o mnie chodzi, zawsze zauważę, czy dziewczyna jest ładna - oznajmił Poirot, schodząc ze schodów.

Cisza, jaka zapanowała po tym stwierdzeniu, była bardzo wymowna. Poirot mówił dalej:

- I oświadczyła panu, że zobaczyła ducha? - Tak.

- I pan w to uwierzył?

- No, z trudnością, panie Poirot!

- Nie sędzę, by wierzył pan w duchy. Raczej przypuszczam, że przyszło panu do głowy, iż dziewczynie tylko się wydawało, że coś zobaczyła, prawda?

- Och, nawet gdyby tak było, nie odniosłem takiego wrażenia. Miała przyspieszony oddech. Była wytrącona z równowagi.

- Czy widział pan albo słyszał jej panią?

- Tak, rzeczywiście tak było. Wyszła ze swojego pokoju na piętrze i zawołała: "Leonie".

- A potem?

Dziewczyna pobiegła do niej na górę, a ja wróciłem do gabinetu.

- Czy ktoś mógł niepostrzeżenie wejść przez otwarte drzwi do gabinetu, kiedy pan był tutaj na schodach?

- Musiałby mnie minąć. Jak pan widzi, drzwi znajdują się na końcu korytarza.

Poirot skinął głową. Carlile kontynuował opanowanym głosem:

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że jestem wdzięczny, że lord Mayfield zauważył złodzieja, wychodzącego przez oszklone drzwi. Inaczej znalazłbym się w bardzo kłopotliwej sytuacji.

- Nonsens, mój drogi Carlile - przerwał lord Mayfield niecierpliwie. - Żadne podejrzenia i tak by na ciebie nie padły.

- Bardzo miło, że pan tak mówi, milordzie, ale fakty są faktami i sytuacja jednak jest dla mnie bardzo kłopotliwa. W każdym razie sędzę, że dla' dobra sprawy lepiej byłoby zrewidować mnie i przeszukać moje rzeczy.

- Wykluczone, mój drogi - rzekł Mayfield.

- Czy istotnie pan sobie tego życzy? - zapytał Poirot.

- Istotnie, wolałbym, aby tak się stało.

Poirot patrzył na niego przez chwilę w zamyśleniu, po czym mruknął:

- Rozumiem.

Następnie spytał:

- Jak w stosunku do gabinetu położony jest pokój pani Vanderlyn?

- Wprost nad nim.

- Czy okno wychodzi na taras?

- Tak.

Poirot znowu skinął głową. Potem rzekł:

- Przejdźmy do salonu.

Zaczął spacerować po pokoju, badając zamknięcie okien, oglądając zapisy na stoliku brydżowym, aż wreszcie zwrócił się do lorda Mayfielda:

- Ta sprawa - rzekł - wydaje się bardziej skomplikowana, niż przypuszczałem. Jedna rzecz jednak jest pewna: skradzione plany nie opuściły tego domu.

Lord Mayfield z uwagą patrzył na detektywa.

- Ależ, drogi pani Poirot, widziałem, jak ten człowiek wychodził z gabinetu...

- Nie było żadnego człowieka.

- Przecież ja go widziałem...

- Z całym szacunkiem, milordzie, ale tak się panu tylko zdawało. Zmylił pana cień gałęzi. Zbiegiem okoliczności równocześnie z tym faktem wydarzyła się kradzież i to pana wprowadziło w błąd.

- Doprawdy, panie Poirot, świadectwo moich oczu...

- Założmy się, kto ma lepszy wzrok, mój stary - rzucił sir George.

- Proszę mi pozwolić, milordzie, zwrócić uwagę na bardzo istotny fakt: nikt nie przechodził przez taras w kierunku trawnika.

- Jeżeli pan Poirot ma rację - wykrztusił z trudem poblady Carlile - automatycznie podejrzenie skupia się wyłącznie na mnie. Jestem jedyną osobą, która mogła dokonać kradzieży.

Lord Mayfield zerwał się z krzesła.

- Nonsens! Cokolwiek pan Poirot o tym myśli, ja się z nim nie zgadzam. Mogę ręczyć za twoją niewinność, drogi Carlile.

Poirot mruknął łagodnie:

- Nie powiedziałem, że pana podejrzewam, panie Carlile.

Carlile odrzekł:

- Nie, ale dał pan jasno do zrozumienia, że nikt poza mną nie miał szansy tego zrobić.

- Du tout! Du tout!*

- Powiedziałem panu jednak, że nikt nie przechodził obok mnie przez hol do drzwi gabinetu!

- Zgadzam się z tym. Lecz w tym czasie do gabinetu mógł wejść przez oszklone drzwi ktoś inny!

- Ale pan właśnie powiedział, że tak się nie stało?

- Owszem, oświadczyłem, że z zewnątrz nikt nie mógł wejść bez pozostawienia śladów na trawniku. Ale równocześnie twierdzę, że mógł dokonać tego ktoś, kto przebywał w domu, czyli w obrębie samego budynku. Ktoś mógł wyjść z tego pokoju przez jedne z oszklonych drzwi, przemknąć się przez taras, wśliznąć się również przez oszklone drzwi do gabinetu i wrócić tu z powrotem!

Carlile sprzeciwił się:

- No, dobrze, ale na tarasie był wtedy sir George Carrington razem z lordem Mayfieldem.

- Byli wtedy na tarasie, ale en promenadę*. Oczywiście sir George'a Carringtona są niewątpliwie godne zaufania. - Poirot lekko się skłonił. - Niestety, nie ma ich pan umieszczonych z tyłu głowy! Oszklone drzwi do gabinetu znajdują się na końcu tarasu po lewej stronie. Ale taras biegnie też w prawo, przylegając do jednego, dwu, trzech czy czterech pokoi.

- Jadalni, pokoju bilardowego, pokoju śniadaniowego i biblioteki - odrzekł lord Mayfield.

- Ile razy panowie przeszli tam i z powrotem po tarasie?

- Co najmniej pięć albo sześć.

- Była to więc najlepsza okazja dla dokonania kradzieży i złodziej jedynie czekał na dogodny moment.

- Myśli pan, że kiedy wyszedłem do holu - rzekł wolno Carlile - i rozmawiałem z tą francuską pokojówką, złodziej czekał w salonie?

- To jest tylko przypuszczenie, oczywiście.

- Dla mnie brzmi niezbyt prawdopodobnie - rzekł lord Mayfield. - Zbyt ryzykowne.

Generał lotnictwa zaprzeczył:

- Nie mogę się z tobą zgodzić, Charles. To jest zupełnie prawdopodobne. Dziwię się, że sam o tym nie pomyślałem.

- Teraz pan rozumie - rzekł Poirot - dlaczego wierzę, że plany znajdują się jeszcze w tym domu. Pozostaje problem, jak je odnaleźć!

Sir George parsknął:

- To dość proste. Wszystkich zrewidować!

Lord Mayfield uczynił gest zaprzeczenia, lecz Poirot uprzedził jego słowa:

- Nie, nie, to nie takie proste. Osoba, która wzięła plany, na pewno domyśla się, że nastąpią poszukiwania, i musiała być zupełnie pewna, że nie zostaną znalezione wśród jej rzeczy. Mogły zostać ukryte w jakimś neutralnym miejscu. - Sądzi więc pan, że będziemy się bawić w poszukiwanie planów w tym przeklętym domu?

Poirot uśmiechnął się.

- Nie, nie możemy postąpić tak prymitywnie. Musimy odnaleźć skrytkę albo ustalić winnego za pomocą dedukcji. To uprości sprawę. Rano chciałbym przeprowadzić rozmowę z każdą z osób, które znajdują się w tym domu. Nierozsądne byłoby przeprowadzenie tego teraz.

Lord Mayfield skinął głową.

- Spowodowałyby to zbyt wiele komentarzy - rzekł - gdybyśmy zaczęli wszystkich zrywać z łóżek o trzeciej nad ranem. W każdym razie powinien pan działać dyskretnie, panie Poirot. Ta sprawa nie może wydostać się na światło dzienne.

Poirot rozłożył ręce.

- Proszę pozostawić to Herkulesowi Poirotowi. Kłamstwa, jakie wymyślę, będą zawsze bardzo delikatne i bardzo przekonujące. A zatem przesłuchania przeprowadzę rano. Teraz chciałbym jednak porozmawiać z panem, sir George, i panem, milordzie.

Skłonił się przed nimi.

- Z każdym z nas osobno...?

- To właśnie miałem na myśli. Lord Mayfield uniósł wzrok i rzekł:

- Zgoda. Zostawię pana z sir George'em. Gdyby mnie pan potrzebował, będę w gabinecie. Chodź, Carlile.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi. Sir George usiadł i sięgnął mechanicznie po papierosa. Spojrzał z zaciekawieniem na Poirota.

- Wie pan - rzekł wolno - zupełnie nie mogę tego pojąć.

- Wszystko można prosto wyjaśnić - odparł Poirot z uśmiechem. - Mówiąc ściślej, w dwóch słowach: pani Vanderlyn!

- Och! - westchnął Carrinton. - Myślę, że rozumiem. Pani Vanderlyn?

- Dokładnie tak. Widzi pan, to pytanie, które teraz chciałbym panu zadać, mogłoby być niezbyt delikatne wobec lorda Mayfielda. Dlaczego pani Vanderlyn? Ta kobieta ma dość podejrzaną reputację. Dlaczego więc znalazła się w tym domu? Według mnie możliwe są trzy odpowiedzi na to pytanie. Pierwsza, że lord Mayfield miał

słabość do tej kobiety. (I dlatego mówię z panem o tym na osobności. Nie chciałem stawiać go w kłopotliwym położeniu.) Druga, że pani Vanderlyn jest, być może, serdeczną przyjaciółką kogoś innego w tym domu?

- Mnie pan może wykluczyć! - rzekł z uśmiechem sir George.

- Jeśli zatem wykluczemy obydwie możliwości, tym ważniejsza staje się odpowiedź na moje pytanie: dlaczego pani Vanderlyn? Wydaje mi się jednak, że dostrzegam odpowiedź. Była ku temu pewna przyczyna. Jej obecność została z pewnością zaplanowana przez lorda Mayfielda ze specjalnego powodu. Czy mam rację?

Sir George skinął głową.

- Tak, nie myli się pan - rzekł. - Lord Mayfield jest za cwany na jej sztuczki. Sprowadził ją tutaj w pewnym określonym celu.

A było to tak...

I powtórzył rozmowę, która miała miejsce wieczorem przy stole w jadalni. Poirot słuchał z zainteresowaniem.

- Ach - rzekł - teraz rozumiem. Mimo wszystko wydaje się, że pobiła was waszą bronią!

Sir George zaklął bez żenady. Poirot spojrział na niego z lekkim rozbawieniem, wreszcie powiedział:

- Według pana ta kradzież jest jej dziełem... To znaczy, że jest za to odpowiedzialna, niezależnie od tego, czy grała w tym główną rolę?

- Oczywiście! Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak. Któż inny byłby zainteresowany kradzieżą tych planów? ~ obruszył się sir George.

- Mhm... - mruknął Poirot. Odchylił się do tyłu i utkwiał wzrok w suficie. - Jednak, sir George, nie dalej jak kwadrans temu uznaliśmy, że plany mają dużą wartość materialną. Niekoniecznie w formie banknotów, złota lub drogich kamieni, ale niezaprzeczalnie reprezentują dużą wartość materialną. Powiedzmy, że ktoś z obecnych w tym domu znajduje się w trudnej sytuacji...

Sir George przerwał parsknięciem.

- Któż z nas w dzisiejszych czasach nie znajduje się w takiej sytuacji? Sądzę, że nawet o sobie mógłbym to powiedzieć. - Zaśmiał się, a Poirot zawtórował mu uprzejmie i rzekł:

- Mais oni, może pan tak mówić bez obawy, pan ma niepodważalne alibi.

- Jednak mimo wszystko znajduję się w piekielnie trudnej sytuacji.

Poirot potrząsnął głową ze smutkiem.

- Tak, istotnie, człowiek na pańskim stanowisku musi prowadzić kosztowny tryb życia. Poza tym ma pan syna w wieku, który wymaga wydatków.

Sir George jęknął.

- Kształcenie dużo kosztuje, chociaż najgorsze są te długi. Jednak to nie jest zły chłopiec.

Poirot słuchał ze współczuciem wiązanki skarg generała lotnictwa. O braku wytrwałości i zdecydowania u młodej generacji. O tym, jak matki niebywale psują swoje dzieci, zawsze ich broniąc. O zamiłowaniu do hazardu u kobiet, grających o wysokie stawki, mimo że nie mogą sobie na to pozwolić. Oczywiście sir George mówił to ogólnie, nie wspominając wprosi o swojej żonie i synu, ale z łatwością można było się domyślić, że to o nich chodzi. Nagle przerwał.

- Przepraszam, że nudzę pana podobnymi uwagami o tak później, a raczej tak wczesnej porze. - Stłumił ziewnięcie.

- Sądzę, sir George, że powinien pan położyć się spać. Był pan bardzo uprzejmy i pomocny.

- Tak, myślę, że powinienem to zrobić. Czy pan naprawdę jest przekonany, że istnieje szansa odnalezienia tych planów?

Poirot wzruszył ramionami.

- Spróbuję. Dlaczego miałyby mi się nie udać?

- No, więc idę. Dobranoc.

I opuścił pokój.

Poirot pozostał w fotelu i w zamyśleniu obserwował sufit. Potem wyjął mały notes, otworzył na pustej stronie i napisał:

Pani Vanderlyn?

Lady Julia Carrington?

Pani Macatta?

Reggie Carrington?

Pan Carlile?

Poniżej dopisał:

Pani Vanderlyn i pan Reggie Carrington?

Pani Vanderlyn i lady Julia?

Pani Vanderlyn i pan Carlile?

Potrząsnął głową z niezadowoleniem i zamruczał:

- C'est plus simple que ça*.

Następnie dodał kilka zdań:

Czy lord Mayfield widział "cień"? Jeżeli nie, to dlaczego twierdzi, że go widział? Czy sir George widział coś? Był przekonany, że nic nie widział, PO TYM jak zbadalem trawnik. UWAGA: Lord Mayfield jest krótkowidzem, może czytać bez szkieł, lecz żeby zobaczyć coś na drugim końcu pokoju, musi założyć monokl. Sir George jest dalekowidzem. Dlatego też, oceniając to, co się działo na odległym krańcu tarasu, można bardziej polegać na jego wzroku aniżeli na wzroku lorda Mayfielda. Jednak lord Mayfield jest PEWIEN, że coś widział, i jego przekonania nie podważa przeczenie przyjaciela.

Czy istotnie Carlile znajduje się; całkowicie poza podejrzeniem? Lord Mayfield z żarem za niego ręczy i głęboko wierzy w jego niewinność. Za bardzo w nią wierzy. Dlaczego? Ponieważ skrycie podejrzewa go i wstydzi się tego? Albo ponieważ zbyt pewny jest podejrzeń wobec kogoś innego? To znaczy kogoś innego niż pani Vanderlyn?

Odłożył notatnik.

Wstał i udał się do gabinetu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wchodząc do gabinetu, Poirot zastał lorda Mayfielda siedzącego przy biurku. Milord odłożył pióro, odwrócił się szybko i spojrzał pytająco.

- No, panie Poirot, przeprowadził pan rozmowę z Carringtonem?

Poirot uśmiechnął się i usiadł.

- Tak, milordzie. Wyjaśnił mi pewien punkt, który dotąd był dla mnie zagadką.

- Co to było?

- Powód pobytu lulaż pani Vanderlyn. Rozumie pan, sądziłem, że to możliwe...

Mayfield szybko pojął, co jest powodem przesadnego zakłopotania Poirota.

- Sądził pan, że mam słabość do tej kobiety? Absolutnie nic! Jestem daleki od tego!
Zabawne, ale Carrington myślał tak samo!

- Tak, powtórzył mi rozmowę, jaką prowadził z panem na ten temat.

Lord Mayfield wydawał się trochę przygnębiony.

- Mój plan się nie powiódł... To zawsze denerwujące, jeśli trzeba przyznać, iż kobieta jest lepsza.

- Ależ ona jeszcze nie wygrała, milordzie.

- Wierzy pan, że jeszcze możemy zwyciężyć? No, cieszę się, że pan tak twierdzi.
Chciałbym, żeby okazało się to prawdą. - Westchnął. - Wydaje mi się, że postąpiłem
jak kompletny głupiec... wierząc, że zwabię ją w pułapkę.

Zapalając swojego małego papierosa, Herkules Poirot powiedział:

- A miał pan obmyślony jakiś fortel, milordzie? - No cóż... - lord Mayfield zawahał się.

- Wolałbym jednak nie mówić o szczegółach.

- Rozmawiał pan z kimś o tym?

- Nie.

- Nawet z panem Carlile'em?

- Nie.

Poirot uśmiechnął się.

- Woli pan działać na własną rękę?

- Zwykle dochodzę do wniosku, że to najlepsza metoda - zauważył trochę ponuro
Mayfield.

- Tak, to rozsądne. Nie ulać nikomu. Ale wspominał pan o tym sir George'owi
Carringtonowi?

- To naturalne, ponieważ okazało się, że mój drogi przyjaciel za bardzo się o mnie
martwił. - Lord Mayfield uśmiechnął się na to wspomnienie.

- To pański stary przyjaciel?

- Tak. Znamy się ponad dwadzieścia lat.

- A jego żona?

- Jego żonę też, oczywiście, znam dobrze.

- Ale (przepraszam, jeżeli jestem niedyskretny) pana nie wiążą z nią jakieś bliższe
stosunki?

- Nie sędzę, aby jakieś osobiste stosunki między ludźmi miały wpływ na naszą sprawę, panie Poirot.

- A ja myślę, milordzie, że to ma duże znaczenie. Uznał pan przecież za prawdopodobną moją teorię, że sprawcą był ktoś z salonu, prawda?

- Tak. Istotnie, z tym się zgadzam. Tak musiało być.

- Nie powinniśmy mówić: "musiało". To słowo wyraża zbytnią pewność siebie. Ale jeżeli moja teoria jest słuszna, kim według pana mogła być ta osoba z salonu?

- Oczywiście pani Vanderlyn. Przecież wróciła po książkę. Mogła przyjść po drugą książkę lub po torebkę, lub porzuconą chusteczkę, lub po jakiś inny z damskich fatałaszków. Zaaranżowała ze służącą, że wywabi Carlile'a z gabinetu. Potem wkradła się tam i, jak już pan powiedział, przez oszklone drzwi wymknęła się na taras.

- Zapomina pan, że to nie mogła być pani Vanderlyn. Przecież Carlile usłyszał, jak wołała z piętra na służącą, w chwili gdy on sam rozmawiał z dziewczyną.

Lord Mayfield zagryzł wargi.

- To prawda. Zapomniałem o tym. - I rozejrzył się wokoło z zakłopotaniem.

- No, widzi pan - rzeki łagodnie Poirot. - Idźmy dalej. Pierwsze nasuwające się wyjaśnienie zakładało, że złodziej wtargnął z zewnątrz i chwyciwszy łup, uciekł. Ta bardzo wygodna, jak bym ją teraz nazwał, teoria została szybko zaakceptowana i przyjęta do wiadomości. Niestety, okazała się nieprawdziwa. Następnie wysunęliśmy teorię o agentce obcego wywiadu, pani Vanderlyn, i to znowu wydawało się pod pewnym względem bardzo dobre. Teraz jednak widać wyraźnie, że ta teoria jest zbyt łatwa, zbyt wygodna, aby ją zaakceptować.

- Więc zupełnie wyklucza pan udział pani Vanderlyn?

- Tak. To nie pani Vanderlyn była w salonie. Mógł jednak być to jej sprzymierzeniec i to on ukradł plany. Ale jest też możliwe, że uczynił to sprzymierzeniec jakiejś innej osoby. W takim wypadku musimy rozpatrzyć problem motywu.

- Czy to nie jest trochę naciągane, panie Poirot?

- Nie sędzę. Zatem jaki motyw może wchodzić w rachubę? Motyw zysku. Papiery zostały skradzione z myślą o ewentualnej wymianie ich na pieniądze. To najprostszy motyw. Równocześnie może też wchodzić w grę zupełnie odmienny powód.

- Na przykład...?

Poirot rzekł wolno:

- Może zrobiono to z myślą, aby komuś zaszkodzić?

- Komu? - Może panu Carlile? Choć on leż, oczywiście, należy do osób podejrzanych. Jednak może w tym być coś więcej. Ludziom, którzy mają w ręku losy kraju, lordzie Mayfield, łatwo można zaszkodzić w opinii publicznej.

- Pan przypuszcza, że złodziej chciał zaszkodzić mnie?

Poirot skinął głową.

- Sądzę, że mam rację, lordzie Mayfield, mówiąc, że około pięciu lat temu próbowano już zrobić coś podobnego. Podejrzewano, że współpracuje pan z pewnym europejskim mocarstwem, co spowodowało spadek pańskiej popularności wśród wyborców.

- Tak, to prawda, panie Poirot.

- W dzisiejszych czasach polityk ma trudne zadanie. Musi się liczyć z opinią wyborców i jednocześnie orientować się w nastrojach panujących w społeczeństwie. Nastroje społeczne zależą od sentymentów mas, są zmienne i wybitnie niepewne, ale pod żadnym pozorem nie wolno ich lekceważyć.

- Bardzo dobrze pan to określił! Istotnie, dokładnie to jest treścią życia polityka. Musi kłaniać się nastrojom. Bez względu na to, czy wie, jak jest to niebezpieczne i szaleńcze, czy nie.

- Myślę, że to był pański dylemat. Plotkowano, że podpisał pan jakąś umowę z krajem, o którym mowa. Wszyscy chwycili przeciwko panu za broń. Na szczęście premier kategorycznie zaprzeczył plotkom, a i pan również, odrzucił zarzuty, chociaż nie krył pan, po której stronie leżą pańskie sympatie.

- Wszystko to prawda, panie Poirot, ale dlaczego grzebie pan w przeszłości?

- Ponieważ biorę pod uwagę możliwość, że wróg, rozczarowany przewyciężeniem przez pana kryzysu, mógł spróbować zainscenizować następny problem. Prędko odzyskał pan społeczne zaufanie. Tamte szczególne okoliczności minęły. Pan stał się teraz jedną z najpopularniejszych postaci życia politycznego. Mówi się bez ogródek, że po odejściu Hunberly'ego pan zostanie premierem.

- Sądzi pan, że obecnie marny do czynienia z próbą zdyskredytowania mnie? Nonsens!

- Tout de meme. Fakt zaginięcia podczas weekendu planów nowego brytyjskiego bombowca i to, że gości pan u siebie tak czarującą kobietę, może wypaść dość

dwuznacznie. Aluzje w prasie, że może pana coś łączyć z tą damą, mogą być bardzo niewygodne.

- Tego rodzaju rzeczy nie można przecież brać poważnie.

- Drogi milordzie, doskonale pan wie, że można! To może prowadzić do podważenia zaufania społeczeństwa.

- Tak, to prawda - przyznał lord Mayfield. Robił wrażenie nagle zaniepokojonego. - Boże, jak ta sprawa stała się rozpaczliwie skomplikowana. Pan naprawdę myśli... Ależ to niemożliwe... Niemożliwe!

- Zna pan kogoś, kto by panu... zazdrościł?

- Absurd!

- W każdym razie musi pan przyznać, że moje pytania, dotyczące pańskich prywatnych stosunków towarzyskich z uczestnikami przyjęcia w tym domu, mają związek z zaistniałym wypadkiem.

- Och, być może... Być może. Pytał mnie pan o Julię Carrington. Naprawdę niewiele mogę panu o niej powiedzieć. Nigdy nie poświęcałem jej dużo uwagi i sądzę, że ona specjalnie też nie zajmowała się moją osobą. To jedna z tych niespokojnych i nerwowych kobiet; lekkomyślnie ekstrawagancka, ma fioła na punkcie kart. Ma na tyle staromodne poglądy, że w gruncie rzeczy gardzi mną jako człowiekiem, który do wszystkiego doszedł o własnych siłach. - Zanim tu przybyłem, przeczytałem o panu w Who's Who. Pracował pan na kierowniczym stanowisku w znanym przedsiębiorstwie technicznym i jest pan pierwszorzędnym inżynierem.

- To z pewnością nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Pracowałem tam zupełnie nad czymś innym.

Lord Mayfield mówił o tym ponurym raczej głosem.

- O la, la! - wykrzyknął Poirot. - Ależ ze mnie głupiec! Jaki głupiec!

Lord Mayfield spojrzał z uwagą na Poirota.

- Nie rozumiem, panie Poirot?

- Ta część zagadki stała się dla mnie jasna. Coś, czego przedtem nie zauważyłem... A teraz wszystko pasuje! Tak, pasuje z cudowną precyzją.

Lord Mayfield spojrzał na niego ze zdziwieniem i zaskoczeniem. Ale Poirot uśmiechnął się dyskretnie i pokiwał głową.

- Nie, nie, nie teraz. Najpierw muszę moje teorie jaśniej sprecyzować.

Wstał.

- Dobranoc, lordzie Mayfield. Myślę, że wiem, gdzie znajdują się plany.

Lord Mayfield wykrzyknął:

- Pan wie? Więc chodźmy po nie! Poirot potrząsnął głową.

- Nie, nie, tego nie można zrobić. Pośpiech mógłby okazać się fatalny. Proszę pozostawić wszystko w rękach Herkulesa Poirota.

Po tych słowach wyszedł z pokoju. Lord Mayfield uniósł lekceważąco ramiona.

- Ten człowiek to szarlatan - mruknął. Następnie złożył papiery, zgasił światło i również udał się na spoczynek.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Jeżeli miało miejsce włamanie, to dlaczego, u diabła, stary Mayfield nie wezwał policji? - spytał z naciskiem Reggie Carrington.

Odsunął trochę krzesło od stołu. Siedzieli właśnie przy śniadaniu.

Reggie zszedł ostatni, pani Macalita i sir George skończyli śniadanie już wcześniej.

Jego matka i pani Vanderlyn jadły śniadanie w łózkach.

Sir George powtórzył oświadczenie uzgodnione wcześniej z lordem Mayfieldem i Herkulesem Poirotem, miał jednak wrażenie, że nie najlepiej mu idzie.

- Posłanie po tego podejrzanego obcokrajowca wydaje mi się bardzo dziwne - powiedział Reggie. - Co zginęło ojczy?

- Dokładnie nie wiem, chłopcze.

Reggie poderwał się. Od samego rana wydawał się bardzo zdenerwowany.

- Coś... ważnego? Chyba nie... Jakies dokumenty czy coś w tym rodzaju?

- Mówiąc prawdę, Reggie, nie mogę ci powiedzieć.

- Widzę, że to jakaś niezwykle tajemnicza sprawa, co?

Reggie wbiegł na schody, w połowie zatrzymał się na moment, zmarszczył brwi, po chwili ruszył dalej i zapukał do drzwi pokoju matki. Zaprosiła go, by wszedł.

Lady Julia siedziała na łóżku i bazgrała jakieś cyfry na odwrocie koperty.

- Dzień dobry, kochanie. - Spojrzała na niego szybko i dodała gwałtownie: - O co chodzi, Reggie? - Nic wielkiego, ale wydaje się, że w nocy mieliśmy włamanie.

- Włamanie? Co skradziono?

- Niestety, nie wiem. To jakaś bardzo tajemnicza historia. Jakiś dziwaczny typ, podobno detektyw prywatny, siedzi na dole i wszystkim zadaje pytania.

- Jakie to niezwykle!

- To raczej przykre - rzekł wolno Reggic - znaleźć się w domu. gdzie wydarzyło się coś takiego.

- A co dokładnie się wydarzyło?

- Nie wiem. To stało się już po udaniu się przez nas na spoczynek. Mamo, może odstawisz już tę tacę.

Sięgnął po tacę i postawił ją na stoliku pod oknem.

- Zabrano pieniądze?

— Już ci mówiłem, że nie wiem.

— Lady Julia powiedziała wolno:

- Przypuszczam, że ten detektyw zadaje wszystkim pytania?

- Przypuszczam, że tak.

- Gdzie przebywali w nocy? I tym podobne, tak?

- Prawdopodobnie. No, ja w każdym razie wiele mu nie powiem. Poszedłem prosto do łóżka i natychmiast zasnąłem.

Lady Julia milczała.

- Mamo, mogłabyś dać mi trochę forsy? Jestem kompletnie splukany.

- Nie, nie mogę - odparła zdecydowanie. - Mam już debet w banku i nie wiem, co ojciec powie, kiedy o tym usłyszy.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł sir George.

- Ach, tu jesteś, Reggie. Czy możesz zejść do biblioteki? Herkules Poirot chce się z tobą widzieć.

Poirot właśnie kończył rozmowę z panią Macattą. Kilka krótkich pytań wystarczyło, by ustalić, że pani Macatta poszła do łóżka krótko przed jedenastą i nie mogła niczego słyszeć ani widzieć.

Poirot gładko przeszedł od włamania do bardziej osobistych spraw. Mówił, że ma wiele uznania dla lorda Mayfielda. Uważa, jako osoba publiczna milord jest naprawdę wielkim człowiekiem. Oczywiście, pani Macatta, będąc dobrze poinformowana, może to ocenić lepiej od niego.

- Lord Mayfield to tęga głowa - przyznała pani Macatta. - Wszystko poświęcił dla kariery. Niczego nie zawdzięcza przodkom. Może jest mało przewidujący, ale to wada większości mężczyzn. W takich wypadkach ich brak wyobraźni niwelują

kobiety. Kobieta, panie Poirot, w ciągu dziesięciu lat może stać się wielką siłą w rządzie...

Poirot powiedział, że jest tego pewien. Podjął temat pani Vanderlyn. Słyszał aluzje, jakoby ona i lord Mayfield byli przyjaciółmi. Czy to prawda?

- Bynajmniej. Mówiąc prawdę, byłam bardzo zaskoczona, że ją tu spotkałam. 'lak, byłam bardzo zaskoczona.

Poirot zachęcił panią Macatta do wyrażenia opinii o pani Vanderlyn - i udało mu się.

- To jedna z tych zupełnie bezużytecznych kobiet, panie Poirot. Takie jak one sprawiają, że wstydzimy się tego, że jesteśmy kobietami. To pasożyty i tylko pasożyty.

- Czy podoba się mężczyznom?

- Mężczyźni... - Pani Macatta wyrzekła to słowo z pogardą. - Zwracają uwagę tylko na wygląd. Na przykład ten młody chłopak, Reggie Carrington... Ilekroć ona mówi do niego, cały się czerwieni. Absurdalnie pochlebia mu jej zainteresowanie, a ona prawi mu idiotyczne komplementy. Chwaliła jego grę w brydża, chociaż daleko mu w tym do doskonałości. - Więc on nie gra dobrze w brydża?

- Wczoraj wieczorem zrobił wszystkie możliwe błędy.

- A lady Julia...? Czy ona dobrze gra?

- Według mnie aż za dobrze - odparła pani Macatta. - Prawie jak zawodowiec. Gra rano, w południe i wieczorem.

- Wysoko?

- Tak, istotnie, wyżej, niż ja mogłabym sobie na to pozwolić. Tak... Ale, prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym dokładnie.

- Wygrywa?

Pani Macatta z oburzeniem głośno parsknęła.

- Zawsze liczy, że w ten sposób spłaci swoje długi. Słyszałam jednak, że ostatnio nie sprzyja jej szczęście. Wczoraj wieczorem wydawało mi się, że ma czymś zaprzątniętą głowę. Szatany hazardu, panie Poirot, są tylko trochę mniejsze od tych, które są przyczyną pijaństwa. Gdybyśmy tylko mogli oczyścić ten kraj...

I Poirot wysłuchał dłuższego wykładu o metodach uzdrowienia moralności w Anglii. Potem zrezygnacyjnie zakończył rozmowę i poprosił o przysłanie Reggie'ego Carringtona.

Uważnie przyjrzał się młodemu człowiekowi, który wszedł do pokoju. Miał wąskie usta, podbródek świadczący o braku zdecydowania, szeroko rozstawione oczy i

wąską czaszkę. Wszedł z czarującym uśmiechem na ustach. Poirot pomyślał, że doskonale zna ludzi typu Reggie'ego Carringtona.

- Pan Reggie Carrington?

- Tak. W czym mogę pomóc?

- Proszę mi tylko powiedzieć, co pan robił ostatniej nocy?

- Dobrze. A więc wieczorem grałem w brydża w salonie. Potem poszedłem spać.

- O której godzinie?

- Krótko przed jedenastą. Sądzę, że kradzież miała miejsce po jedenastej?

- Tak, po jedenastej. Czy widział pan coś lub słyszał?

Reggie potrząsnął z żalem głową.

- Obawiam się, że nie. Udałem się prosto do łóżka i natychmiast głęboko zasnąłem.

- Zatem poszedł pan prosto z salonu do swojego pokoju i pozostał w nim do rana?

- Tak jest.

- Ciekawe - mruknął Poirot.

Reggie rzucił szybko:

- Co pan ma na myśli?

- Czy nie słyszał pan na przykład jakiegoś krzyku?

- Nie, nic takiego nie słyszałem.

- Ach, to bardzo ciekawe.

- Doprawdy, nie wiem, o co panu chodzi.

- Może przypadkiem pan trochę źle słyszy?

- Mam dobry słuch.

Poirot poruszył wargami, być może po raz trzeci powtórzył, że to jest ciekawe.

Następnie powiedział:

- No, to dziękuję, panie Carrington, to wszystko.

Reggie stał niezdecydowany.

- Wie pan - powiedział - teraz, gdy pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że jednak coś słyszałem.

- Ach, coś pan słyszał?

- Tak, ale widzi pan, czytałem książkę... Taką kryminalną historię i... no i nie jestem naprawdę pewien.

- Mhm... - mruknął Poirot i dodał: - Bardzo przekonujące wyjaśnienie. - Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Reggie ciągle wahał się, następnie odwrócił się i powoli skierował do drzwi. Tam zatrzymał się i zapytał:

- Co zostało skradzione?

- Coś o wielkiej wartości, panie Carrington. To wszystko, co mi wolno powiedzieć.

- Och - westchnął Reggie Carrington nieco zaskoczony i wyszedł z pokoju.

Poirot pokiwał głową i mruknął:

- Pasuje. Bardzo dobrze pasuje.

Nacisnął dzwonek i uprzejmie zapytał, czy pani Vanderlyn już wstała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Do pokoju wkroczyła pani Vanderlyn, prezentująca się bardzo pięknie. Miała na sobie doskonale skrojony, samodziałowy rudy sportowy kostium, który kontrastował z pełnym ciepła połyskiem jej włosów. Opadła na fotel i z wdziękiem uśmiechnęła się do małego detektywa. W uśmiechu tym przez, krótki moment można było dostrzec coś na kształt triumfu pomieszanego z kpina. Poirot był zaintrygowany.

- Włamywacze? Dziś w nocy? Ależ to straszne! Nic o tym nie słyszałam. Co na to policja? Czy oni nie mogą nic zrobić? - I znów przez chwilę w jej oczach pojawiła się kpina.

Herkules Poirot pomyślał: "To jasne, dlaczego nie boisz się policji, moja pani. Przecież dobrze wiesz, że policja nie może tu przyjść i prowadzić śledztwa. Co oznacza.... właściwie co?"

- Widzi pani, madame - powiedział sucho - to bardzo dyskretna sprawa.

- No, oczywiście, panie... Poirot, prawda...? Nie powiem żywej duszy. Jesieni wielką adoratorką drogiego lorda Mayfielda i nie chciałabym, żeby miał nawet najmniejsze kłopoty.

Założyła nogę na nogę i zakołysała lśniącym pantofelkiem z brązowej skórki, zawieszonym na czubku stopy.

Uśmiechnęła się, był to sztuczny uśmiech doskonale wyrażający satysfakcję.

- Proszę mi powiedzieć, co mogę w tej sprawie zrobić, a zrobię wszystko.

- Dziękuję, madame. Grała pani wieczorem w salonie w brydża?

- Tak.

- Potem, jak wiem, wszystkie panie udały się na spoczynek?

- Oczywiście.

- Jednak jedna z nich wróciła po książkę. Czy to była pani?

- Tak, która wróciła pierwsza, byłam ja, tak.

- Co pani ma na myśli, mówiąc "pierwsza"? - spytał szybko Poirot.

- Ja wróciłam zaraz. Pólem poszłam na górę i zadzwoniłam na służącą - wyjaśniła pani Vanderlyn. -Przez dłuższy czas nie przychodziła. Znowu zadzwoniłam. W końcu wyszłam na podest schodów, usłyszałam jej głos i zawołałam ją do siebie. Kiedy wyszczotkowała mi włosy, odesłałam ją. Odniosłam wrażenie, że była zdenerwowana, wyprowadzona z równowagi i kilka razy, szczotkując mi włosy, zaplątała w nie szczotkę. Odsyłając ją, zobaczyłam wchodzącą na schody lady Julię. Powiedziała mi, że ona również wróciła na dół po książkę. Ciekawe, prawda? - kończąc pani Vanderlyn uśmiechnęła się szeroko troszkę złośliwym uśmiechem.

Herkules Poirot pomyślał, że jego rozmówczyni nie lubi lady Julii Carrington.

- Czy słyszała pani krzyk służącej?

- Istotnie, słyszałam.

- Nie spytała jej pani o przyczynę?

- Tak. Odpowiedziała, że zdawało jej się, że widziała unoszącą się w powietrzu postać w bieli. Cóż za nonsens!

- Jak była ubrana lady Julia tego wieczoru?

- Och, muszę pomyśleć... Tak, miała na sobie białą suknię wieczorową. No tak, to oczywiście wszystko wyjaśnia! Służąca w ciemności wzięła ją za latającego ducha w bieli. Te dziewczęta są takie zabobonne.

- Czy ta służąca jest już długo u pani, madame?

- O nie. - Pani Vanderlyn otworzyła szeroko oczy. - Zaledwie od około pięciu miesięcy.

- Chciałbym się z nią zobaczyć, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, madame.

Pani Vanderlyn uniosła brwi.

- Ależ oczywiście - odrzekła trochę chłodno.

- Chciałbym zadać jej kilka pytań.

- Dobrze.

I znowu ten błysk rozbawienia w oczach.

Poirot wstał i skłonił się.

- Madame - powiedział - moje pełne uznanie.

Pani Vanderlyn wydawała się zaskoczona.

- O, panie Poirot, jest pan bardzo miły, ale dlaczego?

- Jest pani doskonale opancerzona i bardzo pewna siebie.

Pani Vanderlyn zaśmiała się trochę niepewnie.

- Nie wiem - powiedziała - czy mam to traktować jako komplement?

- Być może jest to ostrzeżenie - rzekł Poirot - że nie należy życia traktować z taką arogancją.

Pani Vanderlyn zaśmiała się z większą pewnością siebie. Wstała i wyciągnęła rękę.

- Drogi panie Poirot, wierzę w pańskie pełne powodzenie. Dziękuję za miłe słowa.

Wyszła. Poirot mruknął do siebie:

- Wierzy w moje powodzenie, proszę, proszę! Jednak jest pewna tego, że nie osiągnę sukcesu! Tak, jest tego bardzo pewna. I to mnie gnębi. - Nacisnął ze złością przycisk dzwonka i poprosił pannę Leonie.

Kiedy, wahając się, stała w drzwiach, błędnym pełnym uznania wzrokiem po jej skromnej czarnej sukience, porządnie ułożonych, czarnych falujących włosach i skromnie spuszczonej oczach. Skinął głową z aprobatą.

- Proszę wejść, mademoiselle Leonie - rzekł. - Proszę się nie bać.

Podeszła bliżej i stanęła przed nim nieśmiało.

- Czy wiesz - głos Poirota zmienił się nagle - że zrobiłaś na mnie dobre wrażenie?

Leonie natychmiast zareagowała. Rzuciła mu szybkie spojrzenie z ukosa i wyszeptała:

- Pan jest bardzo uprzejmy.

- Dobrze się prezentujesz - rzekł Poirot. - Pytałem pana Carlile'a, czy jesteś ładna, czy też nie, ale odrzekł, że nie wie.

Leonie uniosła pogardliwie brodę.

- Ten typ!

- Świetnie go określiłaś.

- Nie wierzę, żeby kiedykolwiek w życiu przyjrzał się dobrze jakiejś dziewczynie.

- Prawdopodobnie. A szkoda, dużo stracił. Jednak w tym domu jest kilka osób, które mogły dostrzec więcej od pana Carlile'a, prawda?

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli?

- O tak, Leonie, rozumiesz doskonale. Proszę teraz opowiedzieć wszystko o duchu, którego widziałaś dziś w nocy. O ile wiem, stałaś i rękoma trzymałaś się za głowę.

Wiem, że nie ma mowy o żadnych duchach. Jeżeli dziewczyna zostanie przestraszona, to przyciska ręce do serca albo zasłania usta, aby nie krzyknąć. Jeżeli jednak chwyta się za włosy, to znaczy, że coś zburzyło jej fryzurę i pośpiesznie chce się doprowadzić do porządku! A zatem, moja panienko, powiedz prawdę! Dlaczego krzyknęłaś na schodach?

- Ależ, proszę pana, to jest prawda. Ja naprawdę widziałam smukłą postać w bieli...

- Proszę nie obrażać mojej inteligencji. Ta historyjka może być dobra dla pana Carlile'a, ale jest zła dla Herkulesa Poirota. Czy nie jest prawdą, że cię kto pocałował? I zgaduję, że tym, który cię pocałował, był pan... Reggie Carrington, prawda?

Leonie nie zmieszana mrugnęła do niego.

- Eh bien? - zapytała. A poza tym co złego w pocałunku?

- No właśnie, co?... - spytał uprzejmie Poirot.

- Widzi pan, ten chłopiec stanął za mną i objął w pasie. Naturalnie przestraszył mnie, więc krzyknęłam. Gdybym wiedziała... No, wtedy naturalnie nie krzyczałabym.

- Naturalnie - zgodził się Poirot.

- Ale on zakradł się jak kot. Potem otworzyły się drzwi gabinetu i wyszedł monsieur le secretaire, a chłopak zniknął na górze, więc zostałam sama jak głupia. Musiałam coś powiedzieć... przede wszystkim dlatego... - i dodała po francusku: - un jeune homme comme ça, tellement comme il faut!*

- Wobec tego wymyśliłaś tego ducha?

- Istotnie, proszę pana, tylko to przyszło mi do głowy. Unosząca się smukła postać w bieli. Wiem, że to śmieszne, ale co miałam zrobić?

- Nic. Teraz wszystko jasne. Od początku tak podejrzewałem.

Leonie rzuciła mu prowokujące spojrzenie.

- Pan jest bardzo sprytny i bardzo życzliwy.

- Ponieważ nie chcę, żebyś miała jakieś kłopoty w tej sprawie, to może zrewanżujesz mi się i coś dla mnie zrobisz?

- Chętnie panu pomogę.

- Co wiesz o sprawach swojej pani?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Niewiele, proszę pana. Mam oczywiście pewne domysły.

- Czego się domyślasz?

- No, zauważyłam, że przyjaciele pani to zawsze albo wojskowi, albo marynarze, albo lotnicy. Poza tym są jeszcze inni - obcokrajowcy, z którymi czasami widuję się krótko. Jest bardzo atrakcyjna, ale przecież nie będzie tak wiecznie. Teraz to jeszcze interesująca kobieta, nawet dla młodych mężczyzn. Czasem wydaje mi się, że oni mówią za dużo. Ale to tylko moje domysły. Nie zwierza mi się.

- Chcesz powiedzieć, że prowadzi grę na własną rękę?

- Tak, proszę pana.

- Innymi słowy, nie możesz mi pomóc?

- Obawiam się, że nie. Chętnie bym panu pomogła, gdybym potrafiła.

- Powiedz mi, czy twoja pani jest dzisiaj w dobrym nastroju?

- W bardzo dobrym, proszę pana.

- Stało się coś, co sprawiło jej przyjemność?

- Ona jest w dobrym humorze od początku, jak tu przybyła.

- Tak, Leonie, ty o tym wiesz najlepiej. Dziewczyna odparła poufałym tonem:

- Tak. Co do tego nie mogę się mylić. Wiem wszystko o nastrojach mojej pani. Jest w dobrym humorze.

- Triumfująca?

- Tak, to właściwe określenie, proszę pana.

Poirot przytaknął ponuro.

- Trudno mi się z tym pogodzić. Jednak czuję, że to jest nieuchronne. Dziękuję, panienko, to wszystko.

Leonie posłała mu kokietyjne spojrzenie.

- Dziękuję, proszę pana. Jeżeli spotkam pana na schodach, może być pan pewien, że nie będę krzyczała.

- Moje dziecko - rzekł Poirot z godnością - ja mam już swoje lata. Czy byłbym zdolny do takiej frywolności?

Lecz Leonie odwróciła się chichocząc. Poirot spacerował wolno po pokoju. Jego twarz była ponura i wyrażała zaniepokojenie.

- A teraz - powiedział - wreszcie lady Julia. Ciekawe, co ona powie?

Lady Julia weszła do pokoju z całkowitą pewnością siebie. Głowę miała wysoko podniesioną, usiadła na krześle, które podsunął jej Poirot, i powiedziała niskim, opanowanym głosem:

- Lord Mayfield powiedział, że chce pan zadać mi kilka pytań.

- Tak, madame. Dotyczyć będą minionej nocy.
 - Słucham.
 - Co się stało, gdy skończyła pani grać w brydża?
 - Mój mąż stwierdził, że jest już za późno, żeby zacząć nowego robra, i poszłam do łóżka.
 - A potem?
 - Zasnęłam.
 - To wszystko?
 - Tak. Myślę, że nie mogę panu powiedzieć nic ciekawego. Kiedy wydarzyło się to... -
zawahała się -...włamanie?
 - Wkrótce potem, jak pani poszła na górę.
 - Rozumiem. A co dokładnie zginęło?
 - Pewne prywatne dokumenty, madame.
 - Ważne dokumenty?
 - Bardzo ważne.
- Lekko zmarszczyła brwi i spytała:
- Czy one były... wartościowe?
 - Tak, proszę pani, warte były dużo pieniędzy.
 - Rozumiem.
- Nastąpiła przerwa, a następnie Poirot spytał:
- O co chodziło z pani książką?
 - Z moją książką? - Spojrzała na niego zdziwiona.
 - Tak. Pani Vanderlyn oświadczyła, że krótko po wyjściu trzech pań pani wróciła na dół po zapomnianą książkę.
 - Tak, oczywiście, wróciłam.
 - Wobec tego w istocie nie poszła pani prosto do łóżka po wejściu na górę. Wróciła pani do salonu?
 - Tak, to prawda. Zapomniałam o tym.
 - Czy słyszała pani jakiś krzyk, kiedy była pani w salonie?
 - Nie... Tak... Chyba nie.
 - Z pewnością, madame, nie mogła pani tego nie usłyszeć, będąc w salonie.
- Lady Julia odrzuciła dumnie do tyłu głowę i powiedziała stanowczo:
- Niczego nie słyszałam.

Poirot uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Zapadło kłopotliwe milczenie. Po chwili lady Julia spytała ostro:

- Co się tu właściwie stało?

- A stało się coś? Nie rozumiem pani?

- Mam na myśli tę kradzież. Z pewnością policja musi coś zrobić.

Poirot potrząsnął głową.

- Policja nie została wezwana. Ja się tym zajmuję.

Wpatrywała się w niego, jej twarz wyrażała wielkie napięcie. Oczy, ciemne i badawcze, zdawały się przeszywać go na wylot. Wreszcie, pokonana, spuściła wzrok.

- Nie może mi pan powiedzieć, co zostanie w tej sprawie zrobione?

- Mogę tylko panią zapewnić, że poruszę niebo i ziemię.

- Żeby złapać złodzieja... Czy odzyskać dokumenty?

- Odzyskać dokumenty to moje główne zadanie, madame.

Zachowanie jej uległo zmianie. Nagle stała się znudzona.

- Tak - powiedziała apatycznie - przypuszczam, że to ważne.

Znowu zapadło milczenie.

- Czy jeszcze coś, panie Poirot?

- Nie, proszę pani. Nie zatrzymuję już pani dłużej.

- Dziękuję.

Otworzył przed nią drzwi. Przeszła obok, nawet nie spojrzawszy na niego.

Poirot podszedł do kominka i ostrożnie poprzestawiał ozdoby stojące na gzymsie.

Stał tam jeszcze w chwili, gdy lord Mayfield wszedł przez oszklone drzwi.

- T co? - spytał.

- Myślę, że wszystko w porządku. Wypadki postępują tak, jak się tego spodziewałem.

Lord Mayfield spojrzał na niego z uwagą.

- Jest pan usatysfakcjonowany? - spytał.

- Nie, nie jestem usatysfakcjonowany. Jestem tylko zadowolony.

- Doprawdy, panie Poirot, ja tego nie mogę powiedzieć.

- Nie jestem takim szarlatanem, za jakiego mnie pan uważa.

- Nigdy nie powiedziałem, że...

- Ale pan tak myśli! Nieważne. Nie obrażani się tak łatwo. Czasami konieczne jest przybranie pewnej pozy.

Lord Mayfield spojrział na niego powątpiewająco i z pewną dozą nieufności. Herkules Poirot należał do ludzi, których nie rozumiał. Chciał nim gardzić, ale coś ostrzegало go, że ten śmieszny mały Belg nie jest taki powierzchowny, na jakiego wygląda. Charles McLaughin zawsze potrafił poznać się na czyichś zdolnościach.

- No, dobrze - powiedział - jesteśmy w pańskich rękach. Co pan teraz, zamierza?

- Czy może się pan pozbyć swoich gości?

- Sądzę, że mógłbym to zaaranżować... Powiedzmy, oświadczę im, że po tej aferze muszę wyjechać do Londynu, a wtedy zapewne zechcą nas pożegnać.

- Doskonale. Proszę spróbować to tak załatwić. Lord Mayfield zawahał się.

- Nie sądzi pan, że...?

- Jestem zupełnie pewny, że to będzie najlepsze posunięcie.

Lord Mayfield wzruszył ramionami.

- No, jeżeli pan tak uważa.

I wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Goście wyjechali po lunchu. Panie Vanderlyn i Macatta zabrały się pociągiem. Carringtonowie - swoim samochodem.

Poirot stał w holu i obserwował serdeczne pożegnanie pani Vanderlyn z gospodarzem.

- Tak bardzo mi przykro z powodu pańskich kłopotów. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się dla pana skończy. Brak mi słów...

Uścisnęła podaną rękę i wsiadła do czekającego rollsa, który miał ją odwieźć na stację. W samochodzie czekała już na nią pani Macatta. Jej pożegnanie było oschłe i zdawkowe.

Nagle Leonie, która dotąd rozmawiała z szoferem, szybko wbiegła z powrotem do holu.

- W samochodzie nie ma nesesera mojej pani! -wykrzyknęła.

Rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania. W końcu lord Mayfield znalazł go koło starej dębowej skrzyni. Leonie wydała cichy okrzyk radości. Chwyciła elegancki neseser z zielonego marokinu i szybko wybiegła na zewnątrz.

Pani Vanderlyn wychyliła się z samochodu.

- Lordzie Mayfield! Lordzie Mayfield!,- Podała mu list. - Czy może pan wrzucić go do skrzynki? Jeżeli zabiorę go z sobą do miasta, jestem pewna, że zapomnę go wysłać. Nie wysłane listy leżą w mojej torebce całymi dniami.

Sir George Carrington spoglądał niespokojnie na kieszonkowy zegarek, otwierając go i zamykając. Był maniakiem na punkcie punktualności. - Powinni już jechać - mruzczał. - Jeżeli będą się tak grzebać, spóźnią się na pociąg...

- Po cóż się tak podniecasz, George - przerwała mu żona. - Przecież to nie nasz pociąg!

Spojrzał na nią z wyrzutem. Wreszcie rolls ruszył. Reggie podjechał do drzwi w morrisie Carringtonów.

- Wszystko gotowe, ojczy - powiedział.

Służba zaczęła wynosić bagaże Carringtonów. Reggie pilnował pakowania ich do samochodu.

Poirot wyszedł przez frontowe drzwi i obserwował te czynności.

Nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Nad uchem zabrzmiał cichy szept lady Julii:

- Panie Poirot. Muszę natychmiast z panem pomówić.

Odwrócił się, posłuszny przyciągającej go ręce. Poprowadziła go do niewielkiego pokoju, zamknęła drzwi i podeszła blisko.

- Czy to prawda, co pan powiedział...? Że odnalezienie tych dokumentów ma tak wielkie znaczenie dla lorda Mayfielda?

Poirot spojrzał na nią z uwagą.

- Tak, to prawda, proszę pani.

- A jeżeli... Jeżeli te dokumenty wrócą do pana, to może pan zagwarantować, że zostaną zwrócone lordowi Mayfieldowi bez jakichkolwiek pytań?

- Nie jestem pewien, czy panią rozumiem.

- Musi mnie pan zrozumieć! Jestem pewna, że pan zrozumie! Chcę powiedzieć, że... że złodziej może podrzucić te dokumenty anonimowo.

Poirot spytał:

- Kiedy to może nastąpić, proszę pani?

- Dokładnie w ciągu dwunastu godzin.

- Może to pani zagwarantować?

- Mogę.

Milczał, więc powtórzyła nagląco:

- Może pan zagwarantować, że nie będzie żadnego rozgłosu?
- Tak, mogę to zagwarantować - odrzekł bardzo poważnie Poirot.
- Zatem wszystko zostanie odpowiednio zaaranżowane.

Wyszła szybko z pokoju. W chwilę później Poirot usłyszał, jak samochód odjeżdża. Przeszedł przez hol i korytarzem dostał się do gabinetu. Znalazł tam lorda Mayfielda. Gospodarz spojrzał na wchodzącego Poirota.

- I cóż? - zapytał. Poirot rozłożył ręce.
- Sprawa skończona, lordzie Mayfield.
- Co?

Poirot powtórzył słowo w słowo rozmowę z lady Julią.

Lord Mayfield patrzył ogłuszony.

- Ale cóż to ma znaczyć? Nie rozumiem.
- Czy to nie jest zupełnie jasne? Lady Julia wie, kto zabrał dokumenty.
- Chyba pan nie myśli, że to ona je zabrała?
- Na pewno nie. Lady Julia może i jest hazardzistką. Ale nie jest złodziejką. Jeśli jednak oferuje nam zwrot tych dokumentów, to przypuszcza, że wziął je albo jej mąż, albo syn. Ponieważ sir George Carrington przebywał wtedy razem z panem na tarasie, to wskazuje na syna. Przypuszczam, że mogę odtworzyć wydarzenia minionej nocy dość precyzyjnie. Lady Julia udała się do pokoju syna i stwierdziła, że jest on pusty. Szukając Reggie'ego, zeszła na dół, ale nigdzie go nie było. Dziś rano usłyszała o kradzieży i usłyszała także, że jej syn oświadczył, iż wrócił prosto do swojego pokoju i że go nie opuszczał. Wiedziała, że to nie było zgodne z prawdą. Wiedziała też o nim coś jeszcze. Że jest słaby i że gwałtownie potrzebuje pieniędzy. Obserwowała jego fascynację panią Vanderlyn. Teraz wszystko stało się dla niej jasne. To pani Vanderlyn nakłoniła Reggie'ego do kradzieży planów. Zdecydowała się odegrać swoją rolę. Naciskając teraz na Reggie'ego, wydostanie od niego dokumenty i zwróci je nam.
- Tak, ale ta cała historia jest zupełnie niemożliwa! - wykrzyknął lord Mayfield.
- Istotnie, to jest niemożliwe, ale lady Julia o tym nie wie. Ona nie wie o tym, że ja, Herkules Poirot, wiem, iż młody Reggie nie ukradł minionej nocy dokumentów, a zamiast tego flirtował z młodą francuską służącą pani Vanderlyn.
- Ależ to wszystko jest skomplikowane!
- Istotnie.

- A sprawa nie jest zakończona!

- Owszem, jest zakończona. Ja, Herkules Poirot, znam prawdę. Nie wierzy mi pan? Wczoraj też nie wierzył, że powiedziałem, że wiem, gdzie są plany. Jednak ja wiedziałem. Były ukryte w zasięgu ręki.

- Gdzie?

- W pańskiej kieszeni, milordzie. Przez chwilę panowała cisza.

- Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan powiedział, Poirot? - spytał lord Mayfield.

- Tak zdaję sobie sprawę. I wiem, że powiedziałem to do bardzo bystrego człowieka. Od samego początku zastanawiało mnie, że pan, człowiek obdarzony krótkim wzrokiem, był pewien, że widział postać wychodzącą przez oszklone drzwi na taras. Chciał pan, aby to wyjaśnienie - wygodne dla pana rozwiązanie - zostało zaakceptowane. Dlaczego? Zacząłem więc po kolei eliminować. Pani Vanderlyn znajdowała się na piętrze, sir George był z panem na tarasie, Reggie Carrington był z francuską dziewczyną na schodach, pani Macatta leżała bogobojnie w łóżku (jest to pokój znajdujący się za pomieszczeniem gospodyni, a pani Macatta chrapała!), lady Julia istotnie znajdowała się w salonie; jednak lady Julia głęboko wierzy, że złodziejem był jej syn. Pozostały więc tylko dwie możliwości. Po pierwsze: albo Carlile nie położył dokumentów na biurku, tylko wetknął je do własnej kieszeni (ale jest to niemożliwe, ponieważ sam pan stwierdził, że mógł je bez trudu skopiować), albo dokumenty leżały na biurku w momencie, kiedy pan do niego podszedł, tylko że natychmiast zmieniły miejsce pobytu na pańską kieszeń. Teraz wszystko wydaje się jasne. Upierał się pan przy tym, że widział pan ową tajemniczą postać, jednocześnie twierdził pan stanowczo, że Carlile jest niewinny i niechętnie wezwał mnie na pomoc. Jedną rzecz była dla mnie zagadkowa - motyw. Byłem pewien, że jest pan człowiekiem prawym i uczciwym. Dlatego zaniepokoił się pan, że osoba niewinna może paść ofiarą podejrzeń. Było też zupełnie oczywiste, że kradzież dokumentów mogła łatwo zniszczyć pańską karierę. Dlaczego wobec tego miała miejsce ta bezsensowna niewiarygodna kradzież? Wreszcie otrzymałem odpowiedź i na to pytanie. Ten kryzys w pańskiej karierze kilka lat temu, zapewnienie premiera, że nie prowadził pan negocjacji z pewnym mocarstwem. Być może nie była to w pełni prawda, że pozostał pewien zapis - być może w postaci listu - ukazujący, że zrobił pan to, czego się pan wyparł. W zaistniałej sytuacji musiał pan publicznie zaprzeczyć

tym faktom. To zaprzeczenie było konieczne w interesie polityki. Jednak wątpliwe, czy uwierzyłby w to przeciętny obywatel. Mogło to znaczyć, że w momencie, gdy władza dostała się w pańskie ręce, jakieś głupie echo z przeszłości mogłoby zniszczyć wszystko.

Spodziewam się, że ten list pozostał w rękach rządu jakiegoś obcego państwa i że ten rząd miał wejść z panem w układy. Miał na przykład wymienić list na dokumenty zawierające projekt nowego bombowca. Są tacy, którzy odrzuciliby podobną propozycję. Ale pan - nie! Pan się zgodził. W tej sprawie pośredniczyła pani Vanderlyn. Przybyła tu po to, aby zorganizować wymianę. Wydał się pan, przyznając, że nie miał określonego planu zwabienia jej w pułapkę. To przyznanie się sprawiło, że przyczyna zaproszenia jej tutaj przez pana stała się zupełnie nieprawdopodobna. To pan zorganizował tę kradzież. Stwierdził pan, że widział złodzieja na tarasie, aby oczyścić od podejrzeń Carlile'a. Nawet gdyby nie wychodził z pokoju, biurko stało wystarczająco blisko drzwi, by złodziej mógł zabrać dokumenty, w czasie gdy Carlile był odwrócony i zajęty przy sejfie. Podszedł pan do biurka, wziął dokumenty i trzymał je przy sobie do chwili, gdy nadarzyła się okazja wsunięcia ich do neseseru pani Vanderlyn. W czasie odjazdu wręczyła panu jawnie ów fatalny list, sugerując, że jest to jej własna przesyłka, którą ma pan oddać na pocztę. Poirot przerwał.

- Pańskie wyjaśnienie jest bardzo wyczerpujące, Poirot - powiedział lord Mayfield. - Jednak chyba ma mnie pan za kompletnego głupca.

Poirot uczynił szybki ruch ręką.

- Nie, nie lordzie Mayfield. Powiedziałem przecież, że uważam pana za bystrego człowieka. Przyszło mi to do głowy w czasie naszej rozmowy minionej nocy. Jest pan doskonałym inżynierem. Istnieją, jak sądzę, pewne subtelne różnice w opisie budowy tego bombowca, różnice ukryte tak zręcznie, że nie sposób zorientować się, dlaczego maszyna nie działa tak, jak powinna. Pewne zagraniczne mocarstwo dostrzeże jednak przyczynę niepowodzenia... I jestem pewien, że nastąpi wielkie rozczarowanie...

Po chwili milczenia lord Mayfield powiedział:

- Pan też jest bardzo bystry, Poirot. Chciałbym pana tylko spytać, czy wierzy pan w jedno: że ja wierzę w siebie. Że ufam, iż jestem potrzebny Anglii w dniach kryzysu, który się zbliża. Gdybym szczerze nie wierzył, że jestem potrzebny mojemu krajowi,

jak ster statkowi, to nie zrobiłbym tego, co zrobiłem. I tego, co mam zrobić - dzięki przemyślnym interesom pogodzić sprzeczne interesy, wystrzegając się omyłek.

- Ależ, lordzie Mayfield - rzekł Poirot - gdyby pan nie potrafił pogodzić sprzecznych interesów, to nie mógłby pan być politykiem!

LUSTRO NIEBOSZCZYKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mieszkanie było nowoczesne. Umeblowanie pokoju również. Masywne fotele i kanciaste krzesła. Prostopadle do okna stało nowoczesne biurko, a przy nim siedział mały starszy mężczyzna. W pokoju praktycznie tylko jego głowa pozbawiona była kantów. Miała kształt jajka.

Herkules Poirot czytał list:

Poczta: Whimperly Hamborough Close

Telegraf: Hamborough St. Mary

Hamborough St. John Westshire

24 września 1936

Pan Herkules Poirot

Szanowny Panie,

Zaistniała sprawa, która wymaga załatwienia z wielką delikatnością i dyskrecją. Słyszałem o panu dużo dobrego i zdecydowałem się powierzyć panu ten problem. Mam podstawy, by sądzić, że padłem ofiarą oszusta, lecz z powodów rodzinnych nie mogę zwrócić się do policji. Podjąłem już pewne kroki, ale konieczny jest pański przyjazd natychmiast po odebraniu telegramu. Będę zobowiązany, jeśli nie będzie pan odpisywał na ten list.

Z poważaniem

Gervase Chevenix-Gore

Brwi Herkulesa Poirota uniosły się wolno, niemal do linii włosów.

- A któż to jest - rzucił w otaczającą go przestrzeń - ten Gervase Chevenix-Gore? Podszedł do półki z książkami i wyjął opasłe tomisko. Łatwo odnalazł to, czego szukał.

Chevenix-Gore, sir Gervase Francis Xavier, X baronet, tytuł od 1694; były kapitan XVII Pułku Lansjerów; urodzony 18 maja 1878; najstarszy syn sir Guya Chevenix-Gore'a, IX baroneta, i lady Claudii Bretherton, drugiej córki VIII hrabiego Wallingforda. Ożeniony w 1912 z Wandą Elżbietą, starszą córką pułkownika Fredericka Arbuthnota (patrz: Arbuthnot). Wykształcenie: Eton. Służył w Europie w czasie pierwszej wojny światowej 1914-1918. Rozrywki: podróże, polowania na grubą zwierzynę. Adres: Hamborough Sl. Mary, Westshire oraz Lowndes Square 218, S.W.I. Kluby: Calvary, Travellers.

Poirot potrząsnął głową z dezaprobatą. Przez chwilę pozostawał jakby nieobecny myślami, potem podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął z niej niewielki stosik kart z zaproszeniami.

Jego twarz rozjaśniła się.

- A la bonne heure!* O to mi właśnie chodzi! Tam właśnie powinien być.

Księżna powitała Herkulesa Poirota z radością:

- Jednak zdobył się pan na to, aby przyjść, panie Poirot! To wspaniale.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani - mruknął Poirot kłaniając się.

Uniknął spotkania z kilkoma ważnymi i znakomitymi osobami - ze znanym dyplomata, znanym sportowcem - aby wreszcie stanąć przed człowiekiem, z którym przyszedł tu się zobaczyć, przed panem Salterthwaite'em.

Pan Satterthwaite zaświergotał uprzejmie:

- Droga księżna... Zawsze dobrze bawię się na jej przyjęciach... To indywidualność, jeśli wie pan, co przez to chcę powiedzieć? Przed laty często widywałem ją na Korsyce.

Rozmowa z panem Satterthwaite'em zwykle dryfowała w kierunku jego utytułowanych znajomych. Możliwe, że czasami znajdował przyjemność przebywania w towarzystwie panów Jonesa, Browna lub Robinsona, jednak jeśli nawet tak było, nigdy o tym nie wspominał. Nazwanie pana Satterthwaite'a snobem byłoby dla niego

niesprawiedliwe. Był znawcą ludzkiej natury i dlatego właśnie należał do ludzi dobrze poinformowanych.

- Czy pan wie, drogi przyjacielu, że nie widzieliśmy się już całe wieki. Czułem się zaszczycony, że mogłem kiedyś obserwować, jak pracuje pan nad sprawą w Crow Nest. Od tego czasu mam wrażenie, jakbym znał się na tym, jak to się mówi. A przy okazji... W minionym tygodniu; widziałem się z lady Mary. Czarująca osoba - potpourri i lawenda!

Po wysłuchaniu relacji o aktualnych skandalach, dotyczących córki hrabiego i zachowania wicehrabiego, Poirot wprowadził do rozmowy nazwisko Gervase'a Chevenix-Gore'a.

Pan Satterthwaite natychmiast podchwycił temat.

- To dopiero dziwak! Ostatni Baronet - tak go przezywają.

- Pardon, niezupelnie rozumiem.

Pan Satterthwaite łaskawie wybaczył cudzoziemcowi brak orientacji.

- No, wie pan, to taki żart. W istocie nie jest ostatnim baronetem w Anglii, ale reprezentuje koniec pewnej epoki. Zuchwały Zły Baronet - taki postrzelony typ wyjęty z dziewiętnastowiecznych powieści, facet, który robi nieprawdopodobne zakłady i je wygrywa.

Przed chwilą podawał przykłady szaleństw baroneta. W młodości Gervase Chevenix-Gore odbył podróż dookoła świata na żaglowcu. Brał udział w ekspedycji na biegun. Założył się, że na ulubionej kłaczycy wjedzie po schodach do książęcej rezydencji. Kiedyś wyskoczył z łoża na scenę i porwał ze środka przedstawienia znaną aktorkę. Opowiadano o nim mnóstwo anegdot.

- To stara rodzina - kontynuował pan Satterthwaite - sir Guy de Chevenix brał udział w pierwszej wyprawie krzyżowej. Teraz, niestety, ród się chyli ku upadkowi. Stary Gervase jest ostatnim z rodu Chevenix-Gore.

- A majątek? Popadł w ruinę?

- Skądże. Gervase jest bajecznie bogaty. Posiada piękny dom, złoża węglowe, a na dodatek, kiedy był młody, nabył kopalnie złota w Peru albo gdzieś w Afryce Południowej, co przyniosło mu fortunę. Zdumiewający człowiek. We wszystkim, czego się tknie, ma szczęście.

- Teraz to już oczywiście starszy pan?

- Tak, biedny stary Gervase - pan Satterthwaite westchnął i potrząsnął głową. - Wielu uważa go za całkiem zbzikowanego. Co też jest prawdą. Rzeczywiście jest szalony - nie żeby był obłąkany albo żeby miał jakieś zwidy, lecz w sensie popełniania anormalnych czynów. To człowiek, który zawsze postępował oryginalnie.

- I tak oryginalność z wiekiem zmieniła się w ekscentryczność? - zauważył Poirot.

- Istotnie. To właśnie przytrafiło się biednemu staremu Gervase'owi.

- A może ma zbyt wysokie mniemanie o sobie.

- Tak, to absolutna racja. Wyobrażam sobie, że

w pojęciu Gervase'a świat dzieli się na dwie części - ród Chevenix-Gore'ów i resztę!

- Przesadne mniemanie o własnej rodzinie!

- Tak. Wszyscy Chevenix-Gore'owie są arogancy jak diabli - oni stanowią prawa. Gervase, będąc ostatnim z nich, pojmuje to najbardziej radykalnie. Wie pan, kiedy się go słucha, można sobie wyobrazić, że jest... Bogiem Wszechmogącym.

Poirot skinął głową w zamyśleniu.

- Tak, mogę to sobie wyobrazić. Widzi pan, otrzymałem od niego list. Dość niezwykły list. Nie prosił. Żądał!

- Rozkaz króla - rzekł pan Satterthwaite chichocząc.

- Zgadza się. Nie przyszło na myśl leniu sir Gervase'owi, że ja, Herkules Poirot, jestem też ważną osobą, człowiekiem od naprawdę wielkich spraw! To zupełnie nieprawdopodobne, żebym miał wszystko rzucić i przybiec do nogi jak posłuszny piesek, jak ktoś, kto jest zadowolony, że otrzymał rozkaz!

Pan Satterthwaite zacisnął wargi, z wysiłkiem tłumiąc uśmiech. Być może pomyślał, że tam, gdzie wchodził w grę egocentryzm, nie ma wielkich różnic pomiędzy Herkulesem Poirotem a Gervase'em Chevenix-Gore'em.

- Oczywiście - mruknął - ale jeśli powód wezwania jest nie cierpiący zwłoki...?

- Ależ nie! - Poirot uniósł ręce w wymownym geście. - Mam być na wezwanie, i to wszystko. Może mną dysponować! Enfin, je vous demande!*

I jego ręce uczyniły wymowny gest, podkreślając lepiej niż słowa zniewagę, która dotknęła Herkulesa Poirota.

- Rozumiem przez to - rzekł pan Satterthwaite - że odmówił pan?

- Nie miałem jeszcze sposobności - odparł wolno Poirot.

- Ale zamierza pan odmówić?

Na twarzy mężczyzny odmalowały się nowe emocje. Zmarszczył brwi i powiedział:

- Jak by to wyrazić? Odmowa, tak, to była moja pierwsza myśl. Ale nie wiem... Czasami coś czuję. Mam przeczucia...

Pan Satterthwaite przyjął tę ostatnią uwagę w skupieniu.

- Och? - rzekł. - To interesujące...

- Wydaje mi się - kontynuował Poirot - że człowiek, którego pan opisał, może mieć jakieś czułe miejsce...

- Czułe miejsce? - spytał z powątpiewaniem pan Satterthwaite. To określenie jakoś nie pasowało do Gervase'a Chevenix-Gore'a. Pan Satterthwaite był jednak człowiekiem domyślnym i bystrym obserwatorem, powiedział więc wolno:

- Myślę... że wiem, co pan ma na myśli.

- Tacy ludzie jak Gervase otaczają się pancerzem, zamykają się w nim! W porównaniu z tym zbroja krzyżowców była niczym - pancerz arogancji, dumy, bezkrytycznego samouwielbienia. Ten pancerz jest dla niego ochroną przed ciosami, jakie szykuje mu życie. Ale pojawia się inne niebezpieczeństwo: nie zawsze człowiek w takim pancerzu wie, że jest atakowany. Jest za powolny, aby coś zauważyć, coś usłyszeć, zbyt wolno odczuwa. - Przerwał, a następnie dodał zmienionym tonem: - Z kogo składa się rodzina sir Gervase'a?

- Wanda - jego żona, z domu Arbuthnot! - była bardzo piękną dziewczyną. I dziś jeszcze jest atrakcyjną kobietą. Oddana Gervasc'owi. Sądzę, że ma słabość do wiedzy tajemnej, do okultyzmu. Nosi amulety, skarabeusze i wierzy, że jest wcieleniem egipskiej królowej... Następnie Ruth - adoptowana córka. Własnych dzieci nie posiadają. Ruth to bardzo atrakcyjna i nowoczesna dziewczyna. Oto cała rodzina, oczywiście z wyjątkiem Hugona Trenla. To siostrzeniec Gervase'a. Pamela Chevenix-Gore poślubiła Reggie'ego Trenta i Hugo jest jedynym jej dzieckiem, sierotą. Oczywiście nie dziedziczy tytułu, ale sądzę, że może w końcu odziedziczyć majątek Gervase'a. Przystojny młodzieniec, szlachetnej krwi.

Poirot skinął w zamyśleniu głową. Potem zapytał:

- Sir Gervase'a martwi brak prawowitego dziedzica tytułu?

- Sądzę, że stanowi to dla niego wielki problem.

- Rodowe nazwisko to jego pasja?

- Tak.

Pan Satterthwaite milczał przez dłuższą chwilę. Był zaintrygowany. Wreszcie zaryzykował:

- Widzi pan jakiś istotny powód, aby udać się do Hamborough Close?

Poirot powoli potrząsnął głową.

- Nie - powiedział. - Na razie nie widzę takiego powodu. Ale równocześnie mam ochotę to uczynić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Herkules Poirot siedział w rogu przedziału pierwszej klasy. W zadumie wyjął z kieszeni starannie złożony telegram, otworzył go i odczytał raz jeszcze:

Proszę wsiąść do pociągu o czwartej trzydzieści z St. Pancras i polecić konduktorowi zatrzymać ekspres w Whimperley.

Chevenix-Gore

Złożył telegram i umieścił go z powrotem w kieszeni. Konduktor był do usług!

- Pan jedzie do Hamborough Close? O tak, dla gości sir Gervase'a Chevenix-Gore'a ekspres zawsze zatrzymuje się w Whimperley. Myślę, że to specjalny przywilej.

Konduktor złożył w wagonie jeszcze dwie wizyty: w czasie pierwszej zapewnił pasażera, że otrzyma do przedziału wszystko, czego zażąda, podczas drugiej oznajmił, że ekspres ma dziesięć minut opóźnienia.

Pociąg miał przybyć do celu o 7.50, ale Poirot wysiadł na peron dokładnie dwie minuty po ósmej. Była to mała stacyjka i przy wyjściu na peron Poirot wsunął półkoronówkę w wyciągniętą dłoń konduktora.

W chwili gdy parowóz zagwizdał i ekspres ruszył w dalszą drogę, do Poirota podszedł wysoki szofer w ciemnozielonym uniformie.

- Pan Poirot? Do Hamborough Close?

Podniósł elegancką walizkę detektywa i wyniósł ją przed budynek stacji, gdzie czekał duży rolls. Szofer otworzył drzwi, Poirot wsiadł, otulono mu kolana wspaniałym futrem i samochód ruszył.

Po około dziesięciu minutach szybkiej jazdy krętą wiejską drogą samochód stanął przed szeroką bramą, ozdobioną po obu stronach figurami masywnych kamiennych gryfonów.

Przejechali przez park i podjechali przed dom. Kiedy podjeżdżali, otworzyły się drzwi i na frontowych schodach pojawił się elegancki lokaj.

- Pan Poirot? Proszę za mną.

Poprowadził go przez hol i otworzył drzwi umieszczone w połowie jego długości po prawej stronie.

- Pan Herkules Poirot - zaanonsował.

W pokoju zebrane było liczne grono ludzi w wieczorowych strojach i pojawienie się Poirota zostało przyjęte z zaskoczeniem. Spoczęły na nim zdumione oczy wszystkich.

Wysoka kobieta o ciemnych włosach poprządkanych siwizną ruszyła niezdecydowanie w jego kierunku. Poirot skłonił się nad jej ręką.

- Proszę mi wybaczyć, madame - powiedział. - Obawiam się, że pociąg się spóźnił.

- Nie szkodzi - powiedziała niewyraźnie lady Chevenix-Gore. Wpatrywała się w niego z zaciekawieniem. - Nie szkodzi, panie... Nie dosłyszałam...

- Herkules Poirot. - Wypowiedział swoje nazwisko wyraźnie i dobitnie.

Gdzieś za sobą usłyszał głośne westchnienie. Równocześnie stwierdził, że w pokoju brakowało gospodarza. Powiedział uprzejmie:

- Czy pani wie, że miałem przybyć, madame?

- O tak... - Nie była zdecydowana. - Myślę... myślę, że wiedziałam, ale jestem strasznie roztargniona, panie Poirot. O wszystkim zapominam. - W jej głosie brzmiała melancholijna satysfakcja z tego powodu. - Rejestruję, lecz ucieka mi to z pamięci. Po prostu znika! Tak jakby nigdy nie istniało. - Następnie, stwierdziwszy, że zaniedbuje swoje obowiązki, rozejrzała się dookoła i mruknęła: - Sądzę, że zna pan wszystkich.

Był to wyświechtany frazes, za pomocą którego lady Chevenix-Gore chciała oszczędzić sobie trudu przedstawiania i przypominania sobie nazwisk prezentowanych gości. Z niebywałym wysiłkiem, wychodząc naprzeciw trudnościom w tej szczególnej sytuacji, dodała:

- To moja córka... Ruth.

Dziewczyna, która stała przed nim, była również wysoka i ciemna, lecz w zupełnie innym typie. W przeciwieństwie do lady Chevenix-Gore miała regularny, wyraźnie zarysowany nos, o lekko orlim kształcie, i ostro podkreślony podbródek. Czarne włosy, zebrane z twarzy, opadały na kark drobnymi, gęstymi loczkami. Rumieńce

były wyraźne i świeże, twarz pokrywał delikatny makijaż. Herkules Poirot pomyślał, że to jedna z piękniejszych dziewczyn, jakie widział.

Dostrzegł również, że jest tak bystra, jak ładna. Ponadto zgadywał, że posiada temperament i dumę. Gdy przemówiła, zauważył, że przeciąga słowa, jakby się nad nimi zastanawiała.

- To fascynujące - powiedziała - przyjmować Herkulesa Poirota! Staruszek chciał nam, jak sądzę, sprawić małą niespodziankę.

- A zatem nie wiedziała pani, że przyjadę, mademoiselle? - spytał szybko.

- Nie miałam o tym najmniejszego pojęcia. W tej sytuacji muszę po obiedzie przynieść moją książkę autografów.

Z holu dobiegł dźwięk gongu. Lokaj otworzył drzwi i oznajmił:

- Obiad podano.

Zanim wypowiedział słowo "podano", zdarzyło się coś dziwnego. Wyniosła i majestatyczna dotąd postać lokaja nagle zmieniła się, stała się inna; przybrał wygląd człowieka w najwyższym stopniu zaskoczonego...

Ta metamorfoza trwała bardzo krótko. Szybko powróciła maska dobrze wytresowanego służącego. Nikt zmiany nie zauważył. Jednak Poirot zwrócił na to uwagę.

Lokaj zawahał się, stojąc w drzwiach. Chociaż jego twarz znów była doskonale obojętna, wokół niego w powietrzu wisiło napięcie.

Lady Chevenix-Gore powiedziała niezdecydowanie:

- Och, jej... To nadzwyczajne. Doprawdy ja... Nie wiem, co robić.

Ruth zwróciła się do Poirota:

- Ta szczególna konsternacja, panie Poirot, spowodowana jest faktem, że mój ojciec po raz pierwszy od dwudziestu lat spóźnia się na obiad.

- Tak, to nadzwyczajne... - biadała lady Chevenix-Gore. - Gervase nigdy...

Starszy mężczyzna, wyprostowany po wojskowemu, stanął przy jej boku i zaśmiał się jowialnie.

- Dobry stary Gervase! Wreszcie się spóźnił! Szttywny pedant! Według mnie splątał nam figła. Czy nie mam racji? A może Gervase jednak nie jest wolny od zwykłych ludzkich słabości?

Lady Chevenix-Gore odparła przygnębiona:

- Ale Gervase nigdy się nie spóźniał.

Taka konsternacja z powodu tej niefortunnej okoliczności była po prostu bez sensu, a jednak dla Herkulesa Poirota nie było to niedorzeczne... Poza konsternacją wyczuł jeszcze coś niemiłego, może obawę. I sam również miał dziwne przeczucie; podejrzewał, że Gervase Chevenix-Gore nie pojawił się, by przywitać gości, z jakiegoś tajemniczego powodu.

Tymczasem stało się jasne, że nikt nie wiedział dokładnie, co robić. Niepewna sytuacja sprawiła, że nie potrafili podjąć decyzji.

Wreszcie lady Chevenix-Gore przejęła inicjatywę, jeżeli w ogóle można to było nazwać inicjatywą. Jej zachowanie wyraźnie uległo zmianie.

- Snell - powiedziała - czy pan...?

Nie dokończyła, patrząc na lokaja, jakby spodziewała się, że ten jej pomoże.

Snell, który świetnie rozumiał pytania swojej pani, odparł zdecydowanie na to nie sprecyzowane bliżej pytanie:

- Za pięć ósma sir Gervase zszedł na dół, proszę pani, i udał się prosto do gabinetu.

- Ach, rozumiem... - Usta miała nadal otwarte, oczy wydawały się patrzeć gdzieś w przestrzeń. - Myślisz, że on... nie słyszał gongu?

- Myślę, że to niemożliwe, proszę pani, ponieważ gong znajduje się niedaleko drzwi gabinetu. Nie wiem, oczywiście, czy sir Gervase jest jeszcze w gabinecie, inaczej powiadomiłbym go o tym, że podano już do stołu. Czy mam to zrobić teraz, proszę pani?

Lady Chevenix-Gore uchwyciła się tego pomysłu z prawdziwą ulgą.

- O, dziękuję, Snell. Tak, zrób to, proszę. Tak. Istotnie, zrób to. - Kiedy lokaj opuścił pokój, powiedziała: - Snell to prawdziwy skarb. Mogę na nim całkowicie polegać. Doprawdy, nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Ktoś wymamrotał wyrazy uznania, inni milczeli. Herkules Poirot zauważył, że w pokoju atmosfera jakby nagle zgęstniała. Jego oczy wędrowały badawczo dookoła; przyglądał się szacująco każdemu z osobna. Dwóch starszych mężczyzn, jeden o wojskowej postawie, który właśnie teraz coś mówił, i drugi - szczupły, skromny siwowłosy mężczyzna z cienkimi, zaciśniętymi, wyraźnie zarysowanymi ustami. Dwóch młodszych mężczyzn - bardzo różniących się od innych. Jeden z wąsami, nieco arogancki (Poirot zgadywał, że jest to prawdopodobnie siostrzeniec Gervase'a, ten szlachetnej krwi). Drugi z przylizanymi włosami, o niewątpliwie układnych manierach, wyraźnie pochodził z niższych sfer. Była tam też drobna

kobieta w średnim wieku z pince-nez przesłaniającym inteligentne oczy, a ponadto dziewczyna o płomiennie czerwonych włosach.

W drzwiach znowu pojawił się Snell. Jego zachowanie było nienaganne, lecz znowu przez maskę obojętności przebił się wyraz zakłopotania.

- Proszę mi wybaczyć, pani, ale drzwi gabinetu są zamknięte na klucz.

- Zamknięte na klucz?

Słowa te wypowiedziane były młodym głosem, z przestraczem i wyraźnym podnieceniem. To młodzieniec z przylizanymi włosami wystąpił szybko do przodu i spytał:

- Czy mogę pójść i zobaczyć...?

W tym momencie Herkules Poirot przejął inicjatywę. Zrobił to w sposób tak naturalny, że wszyscy bez zdziwienia zaakceptowali fakt wtrącenia się kogoś obcego. Sytuacja nagle uległa zmianie.

- Chodźmy - rzekł mały Belg. - Idziemy do gabinetu. - I dodał, zwracając się do Snella: - Bądź tak uprzejmy i prowadź.

Snell posłuchał. Poirot postępował tuż za nim, reszta w większej odległości, jak stado owiec. Snell prowadził przez wielki hol obok przestronnej klatki schodowej, obok gigantycznego staromodnego zegara. Minęli wnękę z gongiem i przeszli wzdłuż wąskiego korytarza, który kończył się drzwiami. Herkules Poirot minął Snella i ostrożnie chwycił klamkę. Nacisnął ją, ale drzwi pozostały zamknięte. Poirot delikatnie zapukał. Potem głośniej i głośniej. Następnie przykucnął i przytknął oko do dziurki od klucza. Wreszcie wyprostował się i rozejrzał dookoła. Jego twarz miała ponury wyraz.

- Panowie! - rzekł. - Te drzwi należy natychmiast wyważyć!

Dwóch wysokich dobrze zbudowanych młodych mężczyzn zaatakowało drzwi. Ich sforsowanie nie było łatwe, bo drzwi w Hamborough Close wykonano solidnie. Wreszcie zamek puścił i rozwarły się z trzaskiem. Poleciały drzazgi.

Przez chwilę wszyscy stali zbici w wejściu i patrzyli do środka. W gabinecie paliło się światło. Przy ścianie z lewej strony stało wielkie, solidne mahoniowe biurko. Bokiem do biurka siedział masywny mężczyzna ze zwieszoną głową. Cała jego postać przechylona była na prawą stronę fotela, a prawa ręka zwiisała bezwładnie. Tuż poniżej, na dywanie, leżał mały błyszczący pistolet...

Nie było żadnej wątpliwości. Obraz, jaki ujrzeli, był całkiem jasny. Sir Gervase Chevenix-Gore zastrzelił się.

ROZDZIAŁ TRZECI

Poirot wkroczył do środka.

W tym samym momencie Hugo Trent powiedział szorstko:

- Wielki Boże, stary się zastrzelił!

Rozległ się długi drżący jęk lady Chevenix-Gore.

- O, Gervase... Gervase! Poirot rzucił przez ramię:

- Zabierzcie stąd lady Chevenix-Gore. Lepiej, by tu nie przebywała.

Starszy mężczyzna o wojskowej postawie wypełnił to polecenie.

- Chodź, Wando - powiedział. - Chodź, moja droga. Tu nie możesz już nic pomóc.

Już po wszystkim. Ruth, zaopiekuj się matką.

Lecz Ruth Chevenix-Gore przecisnęła się do przodu i stanęła obok Poirota, gdy ten pochylił się nad bezwładną postacią w fotelu - człowiekiem herkulesowej budowy z brodą wikinga.

- Jest pan pewien, że on... nie żyje? - spytała zdławionym głosem.

Poirot spojrzał na nią. Na jej twarzy malowało się podniecenie - tłumione i hamowane uczucie - które niezupełnie rozumiał. Nie był to wyraz rozpacz, raczej wyraz podekscytowania wywołanego strachem.

Drobna kobietka w prince-nez mruknęła:

- Twoja matka, moja droga... Czy nie sądzisz, że...? Przerwał jej wysoki histeryczny głos dziewczyny z rudymi włosami:

- A więc to nie był samochód ani korek od szampana! To, co słyszeliśmy, było wystrzałem z...

Poirot odwrócił się.

- Ktoś musi zawiadomić policję - powiedział.

Ruth Chevenix-Gore krzyknęła dziko:

- Nie!

Starszy mężczyzna o poważnej twarzy zauważył:

- Obawiam się, że to nieuniknione. Możesz to załatwić, Burrows? Hugo...

Poirot przerwał:

- Pan się nazywa Hugo Trent? - zwrócił się do wysokiego młodzieńca z wąsem. - Myślę, że będzie dobrze, jeżeli wszyscy z wyjątkiem pana i mnie opuszczą ten pokój. I znów jego autorytet nie został zakwestionowany. Wszyscy posłusznie jak owieczki wyszli i Poirot z Hugonem Trentem pozostali sami.

Ten ostatni powiedział, patrząc uważnie na Poirota:

- Kim pan właściwie jest? I co pan tu robi? Poirot wyjął z kieszeni wizytówkę.

Hugo Trent powiedział, patrząc na nią badawczo:

- Detektyw prywatny? Oczywiście, słyszałem o panu... Ale wciąż nie wiem, co pan tu robi?

- Nie wie pan, że pański wuj... On był pańskim wujem...?

Oczy Hugona na chwilę zatrzymały się na nieżyjącym mężczyźnie.

- Stary? Tak, był rzeczywiście moim wujem.

- Nie wiedział pan, że mnie wezwał?

Hugo pokręcił głową.

- Nie miałem o tym pojęcia - powiedział wolno. W jego głosie pojawiło się wzruszenie. Ale twarz pozostała tępą i bez wyrazu. Maską użyteczną w momencie stresu - pomyślał Poirot.

- To jest hrabstwo Westshire, prawda? Znam dobrze waszego szefa policji, majora Riddle'a - rzekł spokojnie Poirot.

- Riddle mieszka około pół mili stąd - odparł Hugo. - Prawdopodobnie będzie mógł przyjechać tu osobiście.

- Byłoby to - rzekł Poirot - bardzo wskazane. Ostrożnie zaczął myszkować po pokoju. Rozsunął kotary przy oknie i zbadał oszklone drzwi. Były zamknięte. Na ścianie powyżej biurka wisiało okrągłe lustro. Było rozbite. Poirot pochylił się i podniósł jakiś mały przedmiot.

- Co to jest? - spytał Hugo Trent.

- Kula.

- Przebiła jego głowę i stłukła lustro?

- Na to wygląda.

Poirot w zamyśleniu położył kulę z powrotem, dokładnie w tym samym miejscu, w którym ja. znalazł. Podeszedł do biurka. Niektóre papiery były porządnie poukładane w stosy. Na bibularzu leżał kawałek kartki z napisem "Przepraszam", wypisanym ręcznie dużymi krzywymi literami.

- Pewnie napisał, zanim... to zrobił - rzekł Hugo. Poirot przytaknął w zamyśleniu.

Ponownie spojrzął na rozbite lustro, a potem na nieżyjącego mężczyznę. Lekko zmarszczył czoło, jakby był zakłopotany. Podeszedł do rozłupanych drzwi z wyrwanym zamkiem. Klucz nie tkwił w nich, wiedział o tym, gdyż inaczej nie mógłby zajrzeć przez dziurkę. Na podłodze też nie było żadnego po nim śladu. Poirot podeszedł do ciała, pochylił się nad nim i powiódł palcami wzdłuż ubrania.

- Tak - stwierdził. - Klucz znajduje się w jego kieszeni.

Hugo wyjął papierośnicę, zapalił papierosa i powiedział ochryplym głosem:

- Wszystko wydaje się zupełnie jasne. Wuj zamknął się, napisał przeprosiny na kawałku papieru, a potem wypalił do siebie.

Poirot zgodził się w milczeniu. Hugo kontynuował:

- Jednak nie rozumiem, dlaczego wezwał pana. O co mu chodziło?

- To raczej trudne do wyjaśnienia. Ponieważ i tak czekamy na przybycie policji panie Trent, może mógłby mi pan powiedzieć, kim są ludzie, których zastałem po przybyciu do tego domu?

- Kim oni są? - powtórzył trochę bezmyślnie Hugo. - Ach tak, przepraszam... Możemy usiąść? - I usiadł w najbardziej oddalonym od zwłok kącie pokoju.

- Wanda to, jak pan wie, moja ciotka. I Ruth -kuzynka. Ale obie pan już zna. Ta druga dziewczyna to Susan Cardwell. Przyjechała tu w gości. Następnie pułkownik Bury. To stary przyjaciel rodziny. I Forbes. Też stary przyjaciel, a poza tym rodzinny prawnik. Obaj zalecali się do Wandy, gdy była jeszcze młodą dziewczyną, i nadal, w pewnym sensie, są jej oddani. Śmieszne, ale trochę wzruszające. Teraz Godfrey Burrows, sekretarz starego - mam na myśli mojego wuja - i panna Lingard, która pomagała mu w pisaniu historii rodu Chevenix-Gore'ów. To ona ubiera ten historyczny pasztet w formę literacką. To chyba wszyscy.

Poirot skinął głową i powiedział:

- Jeżeli dobrze zrozumiałem, słyszeliście odgłos strzału, który spowodował śmierć pańskiego wuja?

- Tak, słyszeliśmy. Myśleliśmy, że to korek od szampana - przynajmniej ja tak myślałem. Susan i panna Lingard twierdziły, że to gdzieś blisko strzeliło z rury wydechowej samochodu.

- Kiedy to było?

- Około dziesięć minut po ósmej. Snell właśnie uderzył pierwszy raz w gong.

- Gdzie się pan wtedy znajdował?

- W holu. Śmialiśmy się z tego, zastanawiając się, skąd doszedł odgłos. Ja powiedziałem, że z jadalni, Susan twierdziła, że z salonu, panna Lingard - że od strony schodów, a Snell - że z zewnątrz, od drogi, że odgłos ten doszedł do nas przez okno przy schodach. Na to Susan: "Czy są jeszcze jakieś domysły?" Zaśmiałem się i stwierdziłem, że zawsze zostaje jeszcze morderstwo. Teraz wydaje się to marnym żartem. Po jego twarzy przebiegł nerwowy skurcz.

- Nie przyszło wam do głowy, że sir Gervase strzelił do siebie?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Domyśla się pan, dlaczego to zrobił? Hugo odparł wolno:

- O tak, mógłbym powiedzieć, że...

- Coś pan wie...?

- Tak... Ale trudno to wyjaśnić. Naturalnie, nie podejrzewałem, że popełni samobójstwo, ale nie jestem tym zanadto zaskoczony. Prawdą jest, że mój wuj był kompletnie zwariowany, panie Poirot. Wszyscy o tym wiedzieli.

- I takie wyjaśnienie panu wystarczy?

- Ludzie, którzy do siebie strzelają, zwykle mają lekkiego bzika.

- Podziwu godna naiwność.

Hugo z niedowierzaniem spojrzał na Poirota.

Poirot zaczął znów krążyć bez celu po pokoju. Gabinet komfortowo umeblowany w ciężkawym stylu wiktoriańskim. Masywne szafy z książkami, potężne fotele i kilka prostych chippendale'owskich krzeseł. Nie było tu wielu ozdób, ale kilka figurek z brązu na gzymsie kominka zwróciło uwagę Poirota i wyraźnie pobudziło jego ciekawość. Podnosił je po kolei, ostrożnie oglądał i z pietyzmem odstawiał na miejsce. Z jednej, stojącej po lewej stronie, ściągał coś paznokciem.

- Co to jest? - spytał Hugo bez większego zainteresowania.

- Nic wielkiego. Drobnny odprysk lustra.

- Dziwne, jak to lustro rozleciało się pod wpływem strzału - zauważył Hugo. - Zbite lustro oznacza nieszczęście. Biedny stary Gervase... Myślę, że szczęście dopisywało mu zbyt długo.

- Pański wuj miał szczęście? Hugo zaśmiał się krótko.

- Jego szczęście było przysłowiowe! Wszystko, czego się dotknął, zmieniało się w złoto! Nawet jeśli postawił na niewłaściwego konia, i tak właśnie ten pierwszy dochodził do mety! Kiedy zainteresował się wątpliwą kopalnią, natychmiast dokopywano się bogatych złóż! W zdumiewający sposób unikał niebezpieczeństw. Wiele razy w cudowny sposób uszedł z życiem. Poza tym był to na swój sposób fajny facet. Obijał się po świecie więcej niż inni z jego pokolenia.

Poirot mruknął konwencjonalnie: - Był pan przywiązany do wuja, panie Trent? Hugo Trent sprawiał wrażenie zaskoczonego tym pytaniem.

- O tak, hmm... oczywiście - odparł trochę niepewnie. - Widzi pan, on bywał czasem trudny. Żyło się przy nim w nieustannym napięciu. Na szczęście nie spotykałem ,-się / nim zbyt często.

- A on pana lubił?

- Nie dostrzegało się tego! Raczej powiedziałbym, że ledwie tolerował moje istnienie.

- Z jakiego powodu, panie Trent?

- Widzi pan, nie miał syna - to był jego kompleks. Miał fioła na punkcie swojej rodziny i wszystkiego, co jej dotyczyło. Męczyło go, że z jego śmiercią skończy się ród Chevenix-Gore'ów. Oni wywodzą się od Wilhelma Zdobywcy. Stary był ostatnim z rodu. Z jego punktu widzenia było to trudne do zaakceptowania.

- Pan nie popiera tego rodzaju sentymentów?

Hugo wzruszył ramionami.

- Te wszystkie banialuki wydają mi się raczej staroświeckie.

- Co się stanie z majątkiem?

- Nie wiem. Może ja go dostanę? A może zapisał go Ruth? Ale najprawdopodobniej odziedziczy go Wanda.

- Pański wuj nie deklarował swoich intencji?

- Owszem, miał swoją wypieszczoną ideę.

- Jaką?

- Planował, że Ruth i ja pobierzemy się.

- Niewątpliwie byłoby to bardzo stosowne.

- Tak, zdecydowanie. Ale Ruth... No tak, Ruth ma dość odmienny pogląd na życie. To, widzi pan, bardzo atrakcyjna dziewczyna, i wie o tym. Nie spieszy się jej do małżeństwa.

Poirot pochylił się do przodu.

- Pan jednak życzyłby sobie tego, panie Trent?

Hugo odparł znudzonym głosem:

- W dzisiejszych czasach nie ma różnicy, kogo się poślubi. Tak łatwo się rozwieść. A jeżeli trafi się źle, nic prostszego, jak przeciąć więzy i zacząć od początku.

Otworzyły się drzwi i wszedł Forbes wraz z wysokim, eleganckim mężczyzną.

Ten ostatni skinął głową w kierunku Trenta.

- Cześć, Hugo. Strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało. To wielki cios dla ciebie.

Herkules Poirot postąpił do przodu.

- Witam pana, majorze Riddle. Pamięta mnie pan?

- Tak, naturalnie. - Szef policji potrząsnął wyciągniętą ręką, - Co pan tu robi? - W jego głosie zabrzmiała nutka zdziwienia. Patrzył z uwagą na Herkulesa Poirota.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- A więc...? - spytał major Riddle.

Działo się to dwadzieścia minut później. Szef policji skierował pytanie pod adresem lekarza policyjnego, starszego, chudego mężczyzny o siwych włosach.

Ten ostatni wzruszył ramionami.

- Nie żyje co najmniej od pół godziny, lecz nie dłużej niż od godziny. Wiem, że nie życzy pan sobie szczegółów technicznych, zatem oszczędzę ich panu. Ten człowiek zginął od kuli, która przeszła przez jego głowę. Lufa pistoletu znajdowała się o kilka cali od prawej skroni. Kula przebiła mózg i wyszła z drugiej strony czaszki.

- Czy dokładnie odpowiada to wersji samobójstwa?

- Oczywiście. Następnie ciało osunęło się w fotelu i pistolet wypadł z ręki.

- Znalazł pan kulę?

- Tak. - Lekarz pokazał ją.

- W porządku - rzekł major Riddle. - Weźmiemy ją, aby porównać z pistoletem. Na szczęście, sprawa wydaje się prosta i niekłopotliwa.

Herkules Poirot spytał uprzejmie:

- Czy pan też jest pewien, że nie będzie kłopotów, doktorze?

Lekarz odparł wolno:

- Jest coś, co wydaje mi się trochę dziwne. Otóż, kiedy strzelał do siebie, musiał być pochylony nieznacznie w prawo. Inaczej kula musiałaby trafić w ścianę poniżej lustra, a nie w jego środek.

- Dosyć niewygodna pozycja, aby popełnić samobójstwo - zauważył Poirot. Lekarz wzruszył ramionami.

- Kto myśli o komforcie, kiedy chce wszystko skończyć...

- Czy można już poruszyć ciało? - spytał major Riddle.

- Tak. Resztę zrobię potem.

- Co pan na to, inspektorze? - Major zwrócił się do wysokiego mężczyzny o beznamiętnej twarzy, ubranego po cywilnemu.

- W porządku. Marny już wszystko, czego potrzebowaliśmy. Musimy jeszcze zdjąć odciski palców z pistoletu.

- Więc niech się pan tym zajmie.

Zwłoki Gervase'a Chevenix-Gore'a zostały zabrane. Szef policji i Poirot pozostali sami.

- Wszystko wydaje się zupełnie proste i jasne - rzekł Riddle. - Drzwi zamknięte na klucz, okna zaryglowane, klucz od drzwi w kieszeni zmarłego. Wszystko zgadza się idealnie, z jednym wszakże wyjątkiem.

- Jakim, drogi przyjacielu? - zapytał Poirot.

- Pana! - rzekł wprost Riddle. - Co pan tu robi?

Poirot bez słowa wręczył majorowi list, który otrzymał przed tygodniem od nieboszczyka, oraz telegram, jaki ostatecznie sprowadził go tutaj.

- Mhm... - mruknął szef policji. - Interesujące. Musimy to zbadać. Może mieć wpływ na naszą teorię samobójstwa.

- Zgadzam się.

- Musimy sprawdzić wszystkich, którzy przebywali w domu.

- Mogę panu podać ich nazwiska. Właśnie odbyłem rozmówkę z Trentem.

I wymienił nazwiska.

- Może pan, majorze Riddle, wie coś o tych ludziach?

- Oczywiście, że wiem. Lady Chevenix~Gorc jest zupełnie tak samo zwariowana jak stary sir Gervase. Byli sobie oddani i oboje mieli bzika. Ona jest najbardziej oderwaną od rzeczywistości osobą, jaką znam -a jednak bywa niesamowicie przenikliwa, ma zaskakującą zdolność trafiania w sedno. Niektórzy śmieją się z niej. Myślę, że ona dobrze o tym wie, ale nie zwraca na to uwagi. Sama absolutnie nie ma poczucia humoru.

- Miss Chevenix-Gore jest, jak wiem, jej adoptowaną córką?

- Tak.

- To bardzo piękna młoda dziewczyna.

- Piekielnie atrakcyjna. Sieje spustoszenie w sercach otaczających ją młodzieńców. Owija ich wokół palca i natrzęsa się z nich. Doskonale jeździ konno i ma piękne ręce.

- Nie interesuje nas to obecnie.

- No tak... Być może nie... Zatem o innych. Znam oczywiście starego Bury'ego. Bywa tu często. Gra rolę jakby adiutanta lady Chevenix-Gore. Stary przyjaciel. Znają się od urodzenia. Sądzę, że on i sir Gervase mieli wspólne interesy w jakiejś spółce, której Bury był dyrektorem.

- Co pan wie o Oswaldzie Forbesie?

- Spotkałem go chyba tylko raz.

- A panna Lingard?

- Nic o niej nie wiem.

- Panna Susan Cardwell?

- Ta niebrzydka dziewczyna z rudymi włosami? Widziałem ją w ostatnich dniach razem z Ruth.

- Pan Burrows?

- Tak, znam go. Sekretarz Chevenix-Gore'a. Mówiąc między nami - nic ciekawego. Niezbyt błyskotliwy, chociaż przystojniak, i on wie o tym.

- Długo pracuje u sir Gervase'a? - Myślę, że mniej więcej dwa lata.

- To już wszyscy? - zapytał Poirot.

Do pokoju wpadł gładko uczesany, wysoki młody człowiek. Był zadyszany i - wydawało się - wyprowadzony z równowagi.

- Dobry wieczór, majorze Riddle. Usłyszałem pogłoskę, że sir Gervase zastrzelił się i natychmiast tu przybyłem. Snell potwierdził to. Niewiarygodne! Nie mogę uwierzyć!

- Jednak to prawda, panie Lake. Pozwoli pan, że go przedstawię. To kapitan Lake, administrator majątku sir Gervase'a.

Na twarzy Lake'a pojawiło się coś na kształt niedowierzania.

- Herkules Poirot? Bardzo mi miło spotkać pana. Przynajmniej... - przerwał. Krótki uprzejmy uśmiech zniknął, a pojawił się wyraz zaniepokojenia i zdziwienia. - Chyba nie ma w tym nic... podejrzanego... to znaczy w samobójstwie?

- Dlaczego miałyby być w tym coś podejrzanego, jak pan to powiedział? - spytał szybko szef policji.

- Powiedziałem tak, ponieważ jest tutaj pan Poirot. No i... Ponieważ cała ta historia wydaje się taka niewiarygodna!

- Nie, nie - wtrącił szybko Poirot. - Nie przyjechałem tu w związku ze śmiercią sir Gervase'a, ale jako gość.

- Och, rozumiem. Niewiarygodne, że nie wspomniał mi nic o tym po południu, gdy przyszedłem w sprawie rachunków.

- Już dwa razy użył pan słowa "niewiarygodne", kapitanie Lake. Zatem aż do tego stopnia zaskoczyła pana wiadomość o tym, że sir Gervase popełnił samobójstwo?

- Istotnie, jestem, zaskoczony. Wiadomo, oczywiście, że miał bzika: wszyscy o tym wiedzieli. Z drugiej strony podejrzewam, że nie wyobrażał sobie, aby świat mógł istnieć bez niego.

- Tak - zgodził się Poirot. - Ma pan rację. - Spojrzał z uznaniem na szczerą i opanowaną twarz młodego człowieka.

Major Riddle chrząknął.

- Jeżeli już pan jest, kapitanie Lake, może spocznie pan i odpowie na kilka pytań?

- Naturalnie, panie majorze.

Lake opadł na fotel naprzeciwko nich.

- Kiedy po raz ostatni widział pan sir Gervase'a?

- Dzisiaj po południu, tuż przed trzecią. Miałem do podpisania kilka rachunków i chciałem uzgodnić kwestię nowego dzierżawcy jednej z ferm.

- Jak długo pan z nim przebywał?

- Około pół godziny.

- Proszę się dobrze zastanowić i powiedzieć, czy zauważył pan coś niezwykłego w jego zachowaniu?

Młody człowiek namyślił się.

- Nie, mogę to stwierdzić z całą pewnością. Był, być może, trochę podniecony... Ale często tak się zachowywał.

- Nie był przygnębiony?

- O nie, wydawało mi się, że jest w doskonałym nastroju. Entuzjazmował się pisaniem historii swojego rodu.

- Od kiedy ją pisał?

- Zaczął mniej więcej sześć miesięcy temu.

- Czy to wtedy przybyła tu panna Lingard?

- Nie. Ona przyjechała mniej więcej miesiąc temu, kiedy stwierdził, że sam nie da rady.

- Zatem uważa pan, że był w dobrym nastroju?

- O, w jak najlepszym! Uważał, że nic nie jest ważne, za wyjątkiem spraw dotyczących jego rodziny. Na moment w tonie młodego człowieka pojawiła się gorycz.

- Wobec tego, według pana, sir Gervase nie miał absolutnie żadnych zmartwień?

Nastąpiła krótka, króciutka przerwa.

- Nie - odparł w końcu kapitan Lake.

Nagle Poirot wtrącił pytanie:

- Czy sir Gervase nie miał jakichś kłopotów z córką?

- Z córką...?

- Tak, właśnie z córką.

- Nic o tym nie wiem - odparł kapitan sztywno.

Poirot milczał.

- Dziękuję panu, Lake - rzekł major Riddle. - Być może później będę miał do pana jeszcze jakieś pytania, więc proszę się nie oddalać.

- Oczywiście. - Lake wstał. - Co mogę jeszcze zrobić?

- Proszę tu przysłać lokaja. Proszę też zajrzeć do lady Chevenix-Gore i jeżeli, będzie mogła tu przyjść, chciałbym zamienić z nią kilka słów.

Młody człowiek skinął głową i opuścił pokój szybko i zdecydowanie.

- Ciekawa osobowość - zauważył Herkules Poirot.

- Tak, to miły facet i dobrze wykonuje swoją pracę. Wszyscy go lubią.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Siadajcie, Snell - rzekł major Riddle przyjaznym tonem. - Mam do was kilka pytań. Sądzę, że to był dla was szok.

- O tak, panie majorze. Dziękuję. - Snell usiadł tak sztywno, że wydawało się, że ciągle jeszcze stoi.

- Służycie tu od dłuższego czasu, prawda?

- Od szesnastu lat. Od czasu, jak sir Gervase... hmm, jak to się mówi, osiadł tu na stałe.

- Tak, oczywiście, wasz pan swego czasu dużo podróżował.

- Tak, panie majorze. Brał udział w ekspedycji na biegun i do wielu innych interesujących miejsc.

- Powiedzcie nam teraz, Snell, kiedy ostatni raz widzieliście swego pana?

- Byłem w jadalni sprawdzić, czy stół jest dobrze przygotowany. Drzwi w holu były otwarte i zobaczyłem sir Gervase'a schodzącego po schodach. Przeszedł przez hol i udał się korytarzem do gabinetu.

- O której to było godzinie?

- Krótko przed ósmą. Mogła być za pięć ósma.

- I wtedy po raz ostatni widzieliście swojego pana żywego?

- Tak, panie majorze.

- Czy słyszeliście strzał?

- O tak, słyszałem. Ale oczywiście wtedy nie miałem pojęcia, co to za hałas... Skąd miałbym wiedzieć?

- Co wówczas pomyśleliście?

- Myślałem, że to samochód. Bardzo blisko muru parkowego biegnie droga. Mógł też strzelać kłusownik w lesie. Nie śniłem nawet, że...

Major Riddle uciął krótko:

- O której to było godzinie?

- Dokładnie osiem po ósmej. Szef policji wtrącił żywo:

- Skąd wiecie to z taką dokładnością?

- To proste, miałem właśnie uderzyć pierwszy raz w gong.

- Jak to pierwszy raz w gong?

- Tak, sir Gervase zarządził, żeby zawsze uderzać w gong siedem minut przed zasadniczym wezwaniem na obiad. Wymagał, by momencie, kiedy zabrzmiał drugi

gong, wszyscy byli w salonie. Zaraz po drugim gongu wchodziłem do salonu, oznajmiałem, że podano obiad i wszyscy wychodzili.

- Zaczynam rozumieć - rzekł Herkules Poirot - dlaczego byliście tak zaskoczeni, anonsując obiad dziś wieczorem. Przecież sir Gervase powinien już wtedy znajdować się w salonie, prawda?

- Nigdy nie zdarzyło się nic podobnego. Byłem zupełnie zszokowany. Pomyślałem, że...

Major Riddle znowu zręcznie przerwał:

- Inni również byli zwykle na miejscu?

Snell chrząknął.

- Kto chociaż raz spóźnił się na obiad, nigdy więcej nie został zaproszony do tego domu.

- Mhm, to bardzo drastyczne.

- Sir Gervase zatrudniał kucharza, który przedtem pracował u cesarza Morawii. Zwykle mawiał, że obiad jest tak ważny jak rytuał religijny.

- A inni członkowie rodziny?

- Lady Chevenix-Gore bardzo starała się go nie denerwować, nawet panna Ruth nie odważyła się spóźnić na obiad.

- Interesujące - zamruczał Poirot.

- Rozumiem - rzekł Riddle. - Zatem obiad miał być piętnaście po ósmej, a wy jak zwykle uderzyliście pierwszy raz w gong osiem minut po ósmej?

- Tak jest. Ale nie jak zwykle. Obiad zwykle podawano o ósmej. Jednak dziś sir Gervase wydał polecenie, aby obiad podać później, ponieważ spodziewał się gościa, który miał przybyć wieczornym pociągiem.

Snell skłonił się w kierunku Poirota.

- Czy idąc do gabinetu, wasz pan był czymś zdenerwowany lub zaniepokojony?

- Nie wiem, proszę pana. Był zbyt daleko ode mnie i nie mogłem ocenić jego nastroju. Zaledwie go zauważyłem, i to wszystko.

- Czy idąc do gabinetu, był sam?

- Tak, proszę pana.

- A potem do gabinetu nikt nie wchodził...?

- Tego nie wiem. Udałem się do pokoju kredensowego i przebywałem tam do czasu, gdy miałem uderzyć pierwszy raz w gong osiem minut po ósmej.

- I wtedy usłyszeliście wystrzał?

- Tak, proszę pana.

Poirot wtrącił łagodnie:

- Inni, jak sędzę, też usłyszeli ten wystrzał?

- Tak. Pan Hugo i panna Cardwell. A także panna Lingard.

- Te osoby też były w holu?

- Panna Lingard wyszła właśnie z salonu, a panna Cardwell i pan Hugo schodzili schodami z góry.

- Czy rozmawiali o tym? - spytał Poirot.

- Tak. Pan Hugo spytał, czy do obiadu będzie szampan. Odparłem, że zostanie podane sherry, białe wino reńskie i burgund.

- Pomyślał, że to był korek od szampana?

- Tak, proszę pana. - Jednak nikt tego nie wziął poważnie?

- O nie. Wszyscy poszli do salonu rozmawiając i śmiejąc się.

- Gdzie znajdowali się inni domownicy?

- Tego nie wiem, proszę pana.

- Wiecie coś o tym pistolecie? - zapytał major Riddle. Pytając pokazał broń.

- O tak. Należał do sir Gervase'a. Trzymał go zawsze tutaj, w szufladzie biurka.

- Był zwykle naładowany?

- Nie wiem, proszę pana.

Major odłożył pistolet i chrząknął,

- A teraz, Snell, chciałbym wam zadać szczególnie ważne pytanie. Namyślcie się dobrze nad odpowiedzią. Czy znacie jakiś powód, który mógł doprowadzić waszego pana do samobójstwa?

- Nie. Nie znam.

- Czy ostatnio sir Gervase zachowywał się dziwnie? Czy okazywał depresję? Może był czymś zaniepokojony?

- Proszę mi wybaczyć, że to powiem, ale sir Gervase zawsze zachowywał się dziwnie. To był bardzo oryginalny człowiek.

- Tak, tak, jestem o tym poinformowany.

- Postronni nie zawsze rozumieli sir Gervase'a.

Snell podkreślił słowo "rozumieli".

- Wiem, wiem. Mnie chodzi o to, czy było coś takiego, co wy moglibyście określić jako niezwykle?

Lokaj zawahał się.

- Sądzę, że coś niepokoiło sir Gervase'a - odparł wreszcie.

- Niepokoiło i gnębiło?

- Nie mogę powiedzieć, żeby go coś gnębiło. Mogę natomiast stwierdzić, że był zaniepokojony.

Domyślcie się, jaki mógł być powód tego zaniepokojenia?

- Nie, proszę pana.

- Może było to, na przykład, związane z jakąś konkretną osobą?

- Nie mogę tego powiedzieć. Odniosłem tylko takie wrażenie.

- Byliście zaskoczeni jego samobójstwem? - spytał Poirot.

- Byłem zaskoczony. To dla mnie straszny szok. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że może nastąpić coś podobnego.

Poirot skinął głową w zamyśleniu. Riddle spojrzął na niego i spytał:

- No, dobrze, Snell. Myślę, że to już wszystko, czego chcieliśmy się od was dowiedzieć. Jesteście zupełnie pewni, że nic więcej nie macie nam do powiedzenia; może w ostatnich dniach miał miejsce jakiś niezwykle incydent?

Lokaj wstał i potrząsnął głową.

- Nic takiego się nie wydarzyło. Nic szczególnego.

- A zatem możecie odejść.

- Dziękuję, proszę pana.

Podchodząc do drzwi, Snell cofnął się i stanął z boku. Do pokoju wkroczyła lady Chevenix-Gore.

Miała na sobie orientalny strój z pomarańczowego jedwabiu, ściśle przylegającego do ciała. Jej pogodna twarz harmonizowała z zachowaniem, pełnym spokoju i opanowania.

- Lady Chevenix-Gore... - Major Riddle zerwał się z miejsca.

- Powiedziano mi, że pan chce ze mną rozmawiać - powiedziała. - No, więc jestem.

- Może przejdziemy do innego pokoju? Przebywanie tu może być dla pani zbyt bolesne.

Lady Chevenix-Gore pokręciła głową przecząco i usiadła na jednym z chippendale'owskich krzesel.

- Och nie, jakie to ma znaczenie? - mruknęła.

- Bardzo dobrze, lady Chevenix-Gore, że tak to pani przyjmuje. Z takim stoickim spokojem. Wiem, że musiała pani przeżyć przerażający wstrząs i...

Przerwała mu:

- W pierwszej chwili istotnie doznałam wstrząsu - przyznała. Jej głos brzmiał spokojnie. - Ale w rzeczywistości nie istnieje coś takiego jak śmierć. Wie pan, w istocie istnieje tylko przemiana. - I dodała: - Gervase znajduje się teraz właśnie za pańskim lewym ramieniem. Widzę go wyraźnie.

Lewe ramię majora Riddle'a lekko drgnęło. Popatrzył na lady Chevenix-Gore z powątpiewaniem.

Spojrzała na niego z dziwnym, szczęśliwym uśmiechem.

- Oczywiście, pan nie wierzy! Tak niewielu wierzy. Dla mnie świat ducha jest tak samo realny jak ten tu. Lecz proszę pytać o wszystko, o co pan chce, nie martwiąc się o to, że będę przygnębiona. Wcale nie jestem przygnębiona. Widzi pan, wszystko jest w rękach losu. Nie można ująć przed karą. Wszystko do siebie pasuje... to lustro... Wszystko.

- Lustro, madame? - spytał Poirot. Kiwnęła głową w kierunku lustra.

- Tak. Widzi pan, jest rozbite. Symbol! Zna pan poemat Tennysona? Czytałam go w dzieciństwie, chociaż oczywiście wtedy nie byłam jeszcze wtajemniczona. "Lustro pękło od brzegu do brzegu. Dosięgła mnie klątwa - wykrzyknęła lady Shalott". Oto, co przydarzyło się Gervase'owi. Nagle spadła na niego klątwa. Myślę, że większość starych rodów obciążona jest jakąś klątwą... Lustro pękło. On wiedział, że to jest przeznaczenie! Dosięgła go klątwa!

- Ależ to nie była klątwa, lustro rozbiła kula z pistoletu!

Lady Chevenix-Gore mówiła ciągle spokojnym, łagodnym głosem:

- To naprawdę wszystko jedno... To przeznaczenie.

- Jednak pani mąż popełnił samobójstwo.

Lady Chevenix-Gore uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Nie powinien był tego robić, oczywiście. Ale Gervase był zawsze niecierpliwy. Nigdy nie chciał czekać. Kiedy poczuł, że nadchodzi jego godzina, pospieszył na jej spotkanie. To wszystko naprawdę jest takie proste.

Major Riddle chrząknął poirytowany i powiedział szorstko:

- A zatem nie była pani zaskoczona faktem, że pani mąż odebrał sobie życie? Pani spodziewała się, że może wydarzyć się coś podobnego?

- O nie. - Otworzyła szeroko oczy. - Nie zawsze można przewidzieć przyszłość. Gervase, ma się rozumieć, był bardzo dziwnym człowiekiem, bardzo niezwykłym człowiekiem. Był zupełnie niepodobny do innych. Był jednym z Wielkich, którzy powtórnie się narodzili. Wiedziałałam o tym od pewnego czasu. Myślę, że i on o tym wiedział. Było mu ciężko przystosować się do głupich wzorów banalnego pospolitego świata - dodała, patrząc ponad ramieniem majora Riddle'a. - A teraz się śmieje. Śmieje się z własnej głupoty. Z naszej przyziemności. Z naszej dziecinady. Udajemy, że życie to poważna sprawa... A tymczasem życie jest tylko wielką iluzją.

Major Riddle, czując, że walczy z wiatrakami, zapytał zdesperowany:

- Więc nie chce pani nam pomóc i powiedzieć, dlaczego mąż popełnił samobójstwo?

Wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Są siły, które nami kierują... Pan tego nie może zrozumieć. Pan porusza się tylko w wymiarach świata materialnego.

Poirot zakaszłał.

- A mówiąc o świecie materialnym, czy ma pani, madame, jakieś informacje o tym, jak mąż zadysponował swoimi pieniędzmi?

- Pieniądze? - Spojrzała na niego badawczo. - Ja nigdy nie myślę o pieniądzach. - W jej głosie brzmiała pogarda.

Poirot poruszył inny temat:

- O której zeszła pani dzisiaj wieczorem na obiad?

- O której? Jakie znaczenie ma czas. Nieskończoność, oto odpowiedź. Czas jest nieskończony.

Poirot zamruczał:

- Ależ pani mąż, madame, należał raczej do ludzi ceniących czas... Zwłaszcza kiedy chodziło o godzinę obiadu.

- Drogi Gervase... - Uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Miał na tym punkcie bzika. Ale skoro było to dla niego takie ważne, to nigdy nie spóźnialiśmy się.

- Pani była w salonie, madame, kiedy zabrzmiał pierwszy gong?

- Nie, byłam wtedy w moim pokoju.

- Pamięta pani, kto był w salonie, kiedy pani tam weszła?

- Sądzę, że prawie wszyscy - powiedziała lady Chevenix-Gore. - Czy to ważne?

- Może nie - przyznał Poirot. - Coś jeszcze. Czy pani mąż mówił, że obawia się, iż zostanie obrabowany?

Lady Chevenix-Gore nie wydawała się zainteresowana tym pytaniem.

- Obrabowany? Nie, nie sędzę.

- Obrabowany, oszukany... no, jednym słowem, że stanie się w jakimś sensie czyjąś ofiara...?

- Nie... nie. Nie sędzę... Gervase byłby wściekły, gdyby ktoś odważył się na coś podobnego.

- I nigdy z panią o tym nie mówił?

- Nie... Nie! - Lady Chevenix-Gore potrząsnęła głową, ciągle nie zainteresowana tym problemem. - Niczego takiego sobie nie przypominam...

- Kiedy po raz ostatni widziała pani męża żywego?

- Schodząc na obiad, po drodze jak zwykle zajrzał do mnie. Była przy tym moja służąca. Powiedział, że właśnie schodzi na dół.

- O czym przeważnie rozmawiał w ciągu ostatnich kilku tygodni?

- O historii rodu. Był tym całkowicie zaabsorbowany. Ta śmieszna panna Lingard najwyraźniej okazała się bezcenna. Wyszukiwała dla niego informacje w British Museum. Współpracowała z lordem Mulcasterem przy opracowywaniu jego książki. Jest osobą bardzo taktowną; myślę, że nie wyskakiwała z niewłaściwymi informacjami. No, wie pan, niektórych przodków lepiej byłoby nie wygrzebywać. Gervase był na tym punkcie bardzo wrażliwy. Ona mi też pomogła. Dostarczyła mi wiele informacji o Hatszepsut. Chyba pan wie, że jestem wcieleniem Hatszepsut? - lady Chevenix-Gore oznajmiła tę nowinę spokojnym głosem. - Przedtem - kontynuowała - była kapłanką na Atlantydzie.

Major Riddle poruszył się na krześle.

- Mhm, to... To bardzo interesujące - powiedział.

- Bardzo pani dziękuję, lady Chevenix-Gore, myślę, że to wszystko. Jestem pani bardzo wdzięczny.

Lady Chevenix-Gore wstała.

- Dobranoc - powiedziała. Oczy jej powędrowały gdzieś za majora Riddle'a. - Dobranoc, drogi Gervase. Chciałabym, abyś przyszedł, ale wiem, że musisz tu zostać. - I dodała wyjaśniając: - Przez dwadzieścia cztery godziny nie wolno oddalić

się z miejsca, w którym się zmarło. Dopiero potem można się przemieszczać i komunikować.

Wyszła z pokoju.

Major Riddle otarł pot z czoła.

- Jaka ulga - wymamrotał. - Ona jest bardziej stuknięta, niż myślałem. Czy naprawdę wierzy w te bzdury?

Poirot potrząsnął głową w zamyśleniu.

- Może odnajduje w tym pocieszenie - rzekł. - A teraz potrzebuje stworzyć sobie świat iluzji, aby uciec od świadomości, że jej mąż nie żyje.

- Moim zdaniem, to kompletna wariatka - oświadczył major Riddle. - Mieszanina bzdur bez jednego sensownego słowa.

- Nie, nie, mój przyjacielu. To interesujące. Jak Hugo Trent zdawkowo zauważył w rozmowie ze mną, wśród tych wszystkich bzdur chwilami kryje się coś sensownego. Zwróć uwagę na uwagę dotyczącą panny Lingard. Chodzi o to, że była taktowna i nie dotykała spraw niewygodnych przodków. Proszę mi wierzyć, lady Chevenix-Gore nie jest głupia.

Poirot wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- W tej sprawie jest coś, co mi się nie podoba. Tak, bardzo mi się nie podoba.

Riddle spojrzał na niego z uwagą.

- Ma pan na myśli motyw samobójstwa?

- Samobójstwo! Samobójstwo! Z nim jest coś nie tak, zapewniam pana. Jest fałszywe psychologicznie. Jakie mniemanie miał o sobie Chevenix-Gore? Ważna osobistość, centrum wszechświata! I taki człowiek miałby sam siebie zniszczyć? Nieprawdopodobne. Daleko bardziej możliwe, że zniszczyłby kogoś innego - jakąś pełzającą ludzką mrówkę, która odważyła się mu dokuczać... Taki akt mógłby uznać za usprawiedliwiony. Ale sam się zabić? Zniszczyć taką Osobę?

- Wszystko to piękne, Poirot. Jednak fakty mówią wyraźnie co innego. Drzwi zamknięte, klucz w jego własnej kieszeni. Okna zamknięte i zabezpieczone. Wiem, że takie rzeczy zdarzają się w książkach, ale nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym w rzeczywistości. Coś jeszcze?

- Tak, jest coś jeszcze. - Poirot usiadł w fotelu. - Oto ja, Chevenix-Gore. Siedzę przy biurku. Jestem zdecydowany zabić się, ponieważ, przypuśćmy, wykryłem w rodzinie jakąś potworną hańbę. Nie jest to przekonujące, ale musi wystarczyć. Eh bien, co

robię? Gryzmołę na skrawku papieru słowo "przepraszam". Tak, to zupełnie możliwe. Następnie otwieram szufladę biurka i wyciągam pistolet, który tam trzymam. Ładuję, jeśli nie jest naładowany, a potem... Potem kieruję lufę w swoją skroń? Nie, najpierw obracam fotel, opieram się trochę na prawym boku... Tak... I teraz... teraz dopiero przykładam lufę do skroni i strzelam.

Poirot zerwał się z fotela.

- Pytam pana, widzi pan w tym jakiś sens? Dlaczego obrócił fotel? Gdyby, na przykład, na tamtej ścianie wisiał obraz - wówczas byłoby to uzasadnione. Powiedzmy, że byłby to jakiś portret, na który umierający chciał przed śmiercią rzucić ostatnie spojrzenie. Ale zasłony na oszklonych drzwiach? Ah non, to nie na sensu.

- Może chciał spojrzeć przez okno? Ostatnie spojrzenie na swoje włości.

- Drogi przyjacielu, chyba nie mówi pan tego z przekonaniem. Teraz widzi pan, jaki to nonsens. Osiem minut po ósmej jest ciemno, a poza tym zasłony były zaciągnięte. Nie, musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie. - Według mnie jest tylko jedno. Gervase Chevenix-Gore był szalony.

Poirot potrząsnął głową z niezadowoleniem. Major Riddle wstał.

- Chodźmy - rzekł. - Musimy pójść porozmawiać z resztą towarzystwa. Może w ten sposób dowiemy się czegoś więcej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po trudnościach przesłuchiwania lady Chevenix-Gore major Riddle znalazł ulgę w rozmowie z przenikliwym prawnikiem, jakim okazał się Forbes.

Pan Forbes był niezwykle ostrożny w swoich sformułowaniach, ale odpowiadał precyzyjnie i na temat.

Przyznał, że samobójstwo sir Gervase'a było dla niego wielkim wstrząsem. Nie wyobrażał sobie, aby taki człowiek jak sir Gervase mógł odebrać sobie życie. Nie widział żadnego powodu.

- Sir Gervase był nie tylko moim klientem, ale też moim starym przyjacielem. Zналиśmy się od dzieciństwa. Mogę powiedzieć, że zawsze żył pełnią życia.

- W tych okolicznościach, panie Forbes, muszę pana prosić, aby mówił pan zupełnie szczerze. Czy wie pan o czymś niepokojącym lub przykrym, co wydarzyło się w życiu sir Gervase'a?

- Nie. Miał, oczywiście, drobne zmartwienia, jak wielu ludzi, ale nie było to nic poważnego.

- Nie chorował? Żadnych nieporozumień z żoną?

- Nie, sir Gervase i lady Chevenix-Gore byli sobie oddani.

Major Riddle powiedział ostrożnie:

- Lady Chevenix-Gore ma dosyć oryginalne poglądy. Pan Forbes uśmiechnął się z pobyżaniem.

- Kobietom - rzekł - należy wybaczać urojenia.

- Pan prowadził interesy sir Gervase'a? - kontynuował szef policji.

- Tak, moja firma - Forbes, Ogilvie i Spence - reprezentuje rodzinę Chevenix-Gore ponad sto lat.

- Czy w tej rodzinie były jakieś... skandale? Pan Forbes uniósł brwi.

- Doprawdy, nie rozumiem pana?

- Poirot, czy może pan pokazać panu Forbesowi list, który czytałem?

Poirot wstał, skłonił się i w milczeniu podał list panu Forbesowi.

Pan Forbes przeczytał go i jego brwi uniosły się jeszcze wyżej.

- Bardzo interesujący list - rzekł. - Teraz rozumiem sens pańskiego pytania. Nie. Nie wiem, co mogłoby usprawiedliwić napisanie takiego listu.

- Sir Gervase nie rozmawiał z panem na ten temat?

- Nic podobnego. I muszę stwierdzić, że to bardzo ciekawe, iż tego nie zrobił.

- Miał zwyczaj zwierzać się panu?

- Sądzę, że polegał na moim zdaniu.

- I nie ma pan pojęcia, co może oznaczać ten list?

- Nie chciałbym na ten temat wydawać zbyt pochopnych opinii.

Major Riddle docenił subtelną aluzję ukrytą w tej odpowiedzi.

- A teraz, panie Forbes, może nam pan powie, w jaki sposób sir Gervase zadysponował swoim majątkiem?

- Oczywiście. Nie widzę trudności. Żonie sir Gervase zostawił roczny dochód w wysokości sześciu tysięcy funtów, mogących obciążyć majątek, oraz do wyboru - albo Dover House, albo dom w mieście przy Lowndes Square. Oczywiście jest też jeszcze kilka innych niewielkich zapisów i legatów. Resztę majątku pozostawił adoptowanej córce, Ruth, pod warunkiem, że jeśli wyjdzie za mąż, jej małżonek przejmie nazwisko Chevenix-Gore.

- Nic nie zapisał swojemu siostrzeńcowi, Hugonowi Trentowi?
 - Tak. Zapisał mu pięć tysięcy funtów.
 - Wnoszę z tego, że sir Gervase był bogaty?
 - Był bardzo bogaty. Poza nieruchomościami miał również ogromny majątek osobisty. Oczywiście, nie był w tak dobrej sytuacji jak w przeszłości. Praktycznie prawie wszystkie dochody ulokowane w różnych przedsięwzięciach nie przynosiły zbytnich dochodów. Stracił też dużą gotówkę na fabryce syntetycznej gumy. Pułkownik Bury namówił go na tę inwestycję..
 - Niezbyt mądra rada, prawda? Pan Forbes westchnął.
 - Wojskowi w stanie spoczynku są najgorszymi doradcami w sprawach finansowych. Przekonałem się, że są bardziej łatwowierni niż wdowy. I to ma swoją wymowę.
 - Jednak ta niefortunna inwestycja nie miała poważnego wpływu na dochody sir Gervase'a?
 - Och nie, istotnego nie miała. Był bardzo bogatym człowiekiem.
 - Kiedy spisał testament?
 - Przed dworna laty.
 - Ten zapis - mruknął Poirot - był trochę niekorzystny dla siostrzeńca sir Gervase'a, pana Hugona Trenta. A przecież jest on najbliższym krewnym sir Gervase'a.
- Pan Forbes wzruszył ramionami.
- Trzeba wziąć pod uwagę historię rodziny...
 - Mianowicie?

Wydawało się, że pan Forbes nie jest zbyt chętny, by to wyjaśnić.

Major Riddle powiedział:

- Proszę się nie obawiać, my nie chcemy grzebać w jakichś starych skandalach. Musimy wyjaśnić treść listu sir Gervase'a do Poirota. - Nie ma nic skandalicznego w postawie sir Gervase'a wobec siostrzeńca - odparł krótko pan Forbes. - To naturalne, że sir Gervase zawsze poważnie traktował swoją rolę głowy rodziny. Miał młodszego brata i siostrę. Brat, Anthony Chevenix-Gore, zginął na wojnie. Siostra Pamela, wyszła za mąż, ale sir Gervase nie akceptował tego małżeństwa. Uważał, że przed wyjściem za mąż powinna była uzyskać jego zgodę. Był przekonany, że rodzina kapitana Trenta nie zasługuje na to, aby związać się z rodem Chevenix-Gore'ów. Siostrę po prostu rozbawiło takie stanowisko. W rezultacie sir Garvase nie przepadał

za siostrzeńcem. Myślę, że właśnie ta niechęć sprawiła, że zdecydował się na adoptowanie dziecka.

- Nie było nadziei, że będzie miał własne?

- Nie. Mniej więcej rok po ślubie urodziło się martwe dziecko. Lekarze powiedzieli lady Chevenix-Gore, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Dwa lata później adoptowano Ruth.

Poirot spytał:

- A kim była mademoiselle Ruth? Dlaczego wybór padł właśnie na nią?

- Sądzę, że jest dzieckiem jakiegoś krewniaka.

- Tak przypuszczałem - rzekł Poirot. Patrzył w zamyśleniu na ścianę obwieszoną rodowymi portretami. - Każdy może dostrzec, że w jej żyłach płynie ta sama krew. Nos, linia podbródka, powtarzająca się wiele razy na tych podobiznach.

- Odziedziczyła też temperament - rzekł sucho pan Forbes.

- Mogę to sobie wyobrazić. Jak układały się jej stosunki z ojczymem?

- Lepiej niż pan myśli. Nieraz gwałtownie się ścięli. Wierzę jednak, że pomimo tych wszystkich kłótni u podstaw ich współżycia leżała harmonia.

- Mimo wszystko Ruth w dużej mierze przyczyniała się do jego trosk?

- Nieprzerwanego ciągu trosk. Zapewniam pana jednak, że nie był to powód, dla którego mógłby odebrać sobie życie.

- Ach, ma się rozumieć, że nie - zgodził się Poirot.

- Nikt nie zastrzelił się z tego powodu, że ma upartą córkę. A zatem panna otrzymała spadek! Sir Gervase nigdy nie wspominał, że chce zmienić testament?

- Mhm - pan Forbes chrząknął, ukrywając zakłopotanie. - Prawdę mówiąc, podczas mojej wizyty przed dwoma dniami otrzymałem instrukcje od sir Gervase'a, abym przygotował nowy testament.

- Co to ma znaczyć! - Major Riddle podskoczył na krześle i przysunął się bliżej. - Nie mówił pan o tym.

Pan Forbes odparł szybko:

- Pan pytał mnie tylko o to, co było w testamencie sir Gervase'a. I odpowiedziałem na pytanie. Nowy testament nie był jeszcze odpowiednio przygotowany... A ponadto brakowało podpisu.

- Co zostało w nim zmienione? Może to pomoże nam zrozumieć sir Gervase'a.

- Nie było istotnych zmian, jedynie zastrzeżenie, że panna Chevenix-Gore zostanie dziedziczką pod warunkiem poślubienia Hugona Trenta.
 - Rozumiem - rzekł Poirot. - Jednak to byłaby bardzo poważna zmiana.
 - Ja nie pochwalam tej klauzuli - oświadczył pan Forbes. - Poza tym ten punkt testamentu mógł zostać z powodzeniem zakwestionowany. Tego rodzaju zapisów sąd nie rozpatruje przychylnie. Sir Gervase był jednak zdecydowany.
 - A jeżeli panna Chevenix-Gore (albo - powiedzmy - pan Trent) odmówi spełnienia tego warunku?
 - Jeżeli pan Trent nie zechciałby ożenić się z panną Chevenix-Gore, wówczas pieniądze bezwarunkowo jej by przypadły. Lecz jeżeli on wyraziłby zgodę, natomiast ona - nie, wówczas pieniądze przypadłyby jemu.
 - Obrzydliwa sprawa - zauważył major Riddle. Poirot pochylił się do przodu. Stuknął prawnika w kolano.
 - Co się za tym kryje? Co sir Gervase chciał osiągnąć, stawiając taki warunek? W tym musi kryć się coś bardzo konkretnego... Sądzę, że miał na myśli jakiegoś innego mężczyznę... Którego nie aprobował. I myślę, panie Forbes, że pan wie, kto to jest.
 - W istocie, panie Poirot, nie mam na ten temat informacji.
 - Jednak może pan zgadywać.
 - Ja nigdy nie zgaduję - odparł pan Forbes zgorzony. - Zdjął pince-nez, przeczyścił je jedwabną chusteczką i zapytał: - Czy pragnie pan wiedzieć coś jeszcze?
 - W tej chwili nie - rzekł Poirot. - Przynajmniej jeśli o mnie chodzi.
- Pan Forbes spojrzał niepewnie na szefa policji.
- Dziękuję, Forbes. Myślę, że to wszystko. Chciałbym, jeśli można, porozmawiać z panną Chevenix-Gore.
 - Oczywiście. Wydaje mi się, że jest na górze razem z lady Chevenix-Gore.
 - No cóż, może wobec tego wpierw będę mógł zamienić słówko z tym... Jak mu tam? Burrowsem. A potem z tą kobietą od rodzinnej kroniki.
 - Oboje są w bibliotece. Mogę ich poprosić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- To niewdzięczne zadanie - rzekł major Riddle, gdy prawnik opuścił pokój. - Wydobyć informacji z tych staroświeckich prawników jest nie lada sztuką. Wszystko wydaje się prowadzić ku tej dziewczynie.

- Istotnie, robi to takie wrażenie... Tak.

- Ach, idzie Burrows.

Godfrey Burrows wszedł z widoczną chęcią, aby być pomocnym. Jego uśmiech, tylko odrobinę zbyt szeroki, tłumiony był powagą i sprawiał wrażenie bardziej mechanicznego niż spontanicznego.

- Panie Burrows, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Oczywiście, majorze Riddle. Proszę pytać, o co tylko pan zechce.

- No to pierwsze i najważniejsze pytanie - niech nam pan po prostu powie, czy domyśla się pan, dlaczego sir Gervase popełnił samobójstwo?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. To dla mnie ogromny szok.

- Słyszał pan strzał?

- Nie. Musiałem być wtedy w bibliotece. Zszedłem z góry wcześniej i udałem się do biblioteki, aby poszukać pewnych informacji. Biblioteka leży w innej części budynku niż gabinet i będąc tam, nie mogłem nic słyszeć.

- Czy w bibliotece był ktoś z panem? - zapytał Poirot.

- Nie.

- Czy wie pan, gdzie w tym czasie byli inni domownicy? - Wydaje mi się, że większość była na górze i przebierała się do obiadu.

- Kiedy wszedł pan do salonu?

- Tuż przed przybyciem pana Poirota. Wszyscy już tam byli, z wyjątkiem sir Gervase'a, oczywiście.

- Czy nie wydało się panu dziwne, że jeszcze go tam nie ma?

- Tak, rzeczywiście, zdziwiłem się. Z reguły zawsze przychodził do salonu przed pierwszym gongiem.

- Zauważył pan ostatnio jakąś zmianę w zachowaniu sir Gervase'a? Może widoczne zaniepokojenie, zmartwienie? Może depresję?

Godfrey Burrows zastanawiał się.

- Nie... nie sędzę. Może był trochę... no, powiedzmy, czymś zaabsorbowany.

- Ale nie okazywał, że martwi się z jakiegoś konkretnego powodu?

- Och nie.

- A może miał jakieś kłopoty finansowe?

- Istotnie, były kłopoty z pewną firmą, dokładnie z fabryką sztucznej gumy.

- Co pan może powiedzieć na ten temat? Godfrey Burrows znów uśmiechnął się nieco mechanicznie i znów wydawał się trochę nierealny.

- Rzeczywiście, powiedział tak: "Stary Bury jest albo głupi, albo łajdak. Sądzę jednak, że jest głupi. Ale muszę mieć dla niego wyrozumiałość przez wzgląd na Wandę".

- Dlaczego powiedział "przez wzgląd na Wandę"? - spytał Poirot.

- Widzi pan, lady Chevenix-Gore bardzo lubi pułkownika Bury'ego, a on ją uwielbia. Towarzyszy jej jak wierny pies.

- Sir Gervase nie był zazdrosny?

- Zazdrosny? - Burrows zaczął się śmiać. - Sir Gervase zazdrosny? On w ogóle nie znał takiego uczucia. Nie przyszłoby mu do głowy, że ktoś mógłby woleć kogoś innego! To po prostu byłoby niemożliwe, rozumie pan?

Poirot powiedział uprzejmie:

- Jak sądzę, nie lubił pan zbytnio sir Gervase'a ChevenixGore' a?

Burrows zaczerwienił się.

- Tak, nie lubiłem. Choć obecnie wydaje się to wszystko raczej śmieszne.

- A cóż takiego wydaje się panu teraz śmieszne? - zapytał Poirot.

- No, ten cały motyw feudalny, jeśli chce pan wiedzieć. Kult przodków i zarozumiałość. Sir Gervase był wszechstronnie uzdolniony, prowadził interesujący tryb życia, ale byłby jeszcze ciekawszym człowiekiem, gdyby nie ten jego egocentryzm i egoizm.

- Czy jego córka podziela pański pogląd?

Burrows znowu poczerwieniał, tym razem znacznie silniej.

- Panna Chevenix-Gore - powiedział - należy do nowoczesnych dziewcząt! Oczywiście, że nie mogłem z nią dyskutować o jej ojcu.

- . Ale właśnie dyskutowanie o własnych rodzicach jest obecnie bardzo popularne! - rzekł Poirot. - To wyjątkowo nowoczesne - krytykować rodziców!

Burrows wzruszył ramionami.

- I nic więcej? - spytał Major Riddle. - Może jakieś problemy związane ze sprawami finansowymi? Sir Gervase nigdy nie wspominał, że padł ofiarą czyichś machinacji?

- Ofiarą? - Burrows był zaskoczony. - O, nie.

- A pan sam był z nim w dobrych stosunkach? - Naturalnie, że byłem. Dlaczego nie?

- To ja pana o to pytam, panie Burrows.

Młody człowiek zasępił się.

- Byliśmy w najlepszych stosunkach.

- Wiedział pan o tym, że sir Gervase napisał do pana Poirota prosząc go, aby tu przyjechał?

- Nie.

- Czy sir Gervase zwykle sam pisał listy?

- Nie, prawie zawsze dyktował mnie.

- Ale tym razem nie uczynił tego?

- Nie.

- Jak pan myśli - dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Nie może pan podać powodu, dla którego ten szczególny list napisał sam?

- Nie, nie mogę.

- Mhm... - mruknął major Riddle i dodał spokojnie: - To ciekawe. Kiedy ostatni raz widział pan sir Gervase'a?

- Zanim poszedłem przebrać się do obiadu. Zaniósłem mu kilka listów do podpisania.

- W jakim był nastroju?

- W zupełnie normalnym. Mogę stwierdzić, że był chyba z jakiegoś powodu zadowolony z siebie.

Poirot poruszył się na krześle.

- Ach tak? - rzekł. - Pan odniósł takie wrażenie? Był z czegoś zadowolony? A wkrótce potem się zastrzelił. To bardzo dziwne!

Godfrey Burrows wzruszył ramionami.

- Ja tylko przekazałem panu swoje wrażenia.

- Tak, tak, to bardzo cenne. Poza tym pan jest prawdopodobnie ostatnim człowiekiem, który widział sir Gervase'a żywego.

- Ostatnim, który go widział żywego, był Snell.

- Widział, ale nie rozmawiał z nim.

Burrows milczał.

- O której godzinie poszedł pan przebrać się do obiadu? - spytał major Riddle.

- Około pięć minut po siódmej.

- Co robił sir Gervase?

- Był w gabinecie.
- Jak długo zwykle się przebierał?
- Zwykle trwało to pełne trzy kwadranse.
- Zatem jeżeli obiad zaczynał się piętnaście po ósmej, musiał prawdopodobnie pójść przebrać się najpóźniej o wpół do ósmej?

- Prawdopodobnie.

- Pan poszedł przebrać się wcześniej?

- Tak, chciałem potem jeszcze zejść do biblioteki, aby poszukać pewnych informacji.

Poirot skinął głową w zamyśleniu.

- No, dobrze - rzekł major Riddle. - Sądzę, że na razie to wszystko. Może pan przysłać tę pannę, jak jej tam?

Mała panna Lingard przydreptała prawie natychmiast. Kiedy usiadła, lekko zabrzęczały liczne łańcuszki, które miała zawieszona na szyi. Spojrzała pytająco kolejno na obu mężczyzn.

- To bardzo, bardzo smutne, panno Lingard - rozpoczął major Riddle.

- Istotnie, bardzo smutne - odpowiedziała stosownie panna Lingard.

- Kiedy przybyła pani do tego domu?

- Przed dwoma miesiącami. Sir Gervase napisał do swojego przyjaciela z muzeum - pułkownika Fotheringaya - i pułkownik Fotheringay polecił mnie. Mam duże doświadczenia w prowadzeniu badań historycznych.

- Czy z sir Gervase'em trudno się pani pracowało?

- Nie bardzo. Miał, oczywiście, zmienne nastroje, ale ja potrafię postępować z takimi ludźmi.

Z poczuciem, że panna Lingard jest do niego nastawiona przychylnie, major Riddle kontynuował:

- Pani praca polegała na pomaganiu sir Gervase'owi w pisaniu tej książki?

- Tak.

- Co to oznaczało?

Panna Lingard ożywiła się.

- W gruncie rzeczy - odparła z błyskiem w oku - pisanie książki! Szukałam informacji, robiłam notatki, układałam w odpowiedniej kolejności, a potem poprawiałam to, co sir Gervase napisał.

- Wymagało to dużej dozy taktu, proszę pani - wtrącił Poirot.

- Taktu i upor. Potrzebne było jedno i drugie - odrzekła panna Lingard.
 - A sir Gervase'a nie denerwował pani upór?
 - Och, nie, bynajmniej. Ja, oczywiście, mówiłam mu, że nie musi sam zajmować się drobiazgami.
 - No tak, rozumiem.
 - Było to doprawdy bardzo proste - powiedziała panna Lingard. - Łatwo było kierować sir Gervase'em, jeżeli tylko wytyczyło mu się prawidłową drogę.
 - A teraz panno Lingard, zastanawiam się, czy wie pani coś, co może nam rzucić nieco światła na zaistniałą tragedię?
- Panna Lingard pokręciła głową przecząco.
- Obawiam się, że nie. Widzi pan, to zupełnie oczywiste, że nie zwierzał mi się ze wszystkiego. Praktycznie byłam przecież dla niego zupełnie obca. Poza tym był zbyt dumny, aby rozmawiać z kimkolwiek o swoich rodzinnych kłopotach.
 - Sądzi pani, że to samobójstwo ma związek z rodzinnymi kłopotami?
- Panna Lingard była zaskoczona.
- Ależ oczywiście! A cóż by to mogło być innego?
 - Jest pani pewna, że miał jakieś rodzinne kłopoty?
 - Wiem, że jego umysł zaprzętało jakieś wielkie zmartwienie.
 - O, wie pani o tym?
 - Naturalnie.
 - Czy rozmawiał o tym z panią?
 - Dość ogólnie.
 - Co mówił?
 - Muszę się zastanowić. Zorientowałam się, że nie uważa, kiedy do niego mówię...
 - Chwileczkę. Pardon. Kiedy to było?
 - Dzisiaj po południu. Zwykle pracowaliśmy od trzeciej do piątej.
 - Proszę dalej.
 - Jak już wspominałam, sir Gervase miał trudności z koncentracją. Oczywiście mówił dużo, jak zwykle, ale dodał też, że jego umysł zajmuje kilka poważnych spraw. Wreszcie powiedział... Chwileczkę, muszę sobie przypomnieć... Powiedział coś w tym sensie: "To straszne, panno Lingard, kiedy w najdumniejszym rodzie w kraju jest ktoś, kto może okryć go hańbą".
 - A co pani na to odpowiedziała?

- Och, coś uspokajającego. Powiedziałam mniej więcej coś takiego, że w każdym pokoleniu zdarzają się słabe jednostki... I że jest kara za wielkość... Ale że ich wady rzadko są pamiętane przez potomnych.

- Wywołało to spodziewany przez panią efekt uspokajający?

- Mniej więcej. Wróciliśmy do sir Rogera Chevenix-Gore'a. Znalazłam o nim bardzo interesującą wzmiankę we współczesnym mu manuskrypcie. Lecz myśli sir Gervase'a znowu powędrowały gdzie indziej. Wreszcie powiedział, że nie może dzisiaj dłużej pracować. I oświadczył, że doznał szoku.

- Szoku?

- Tak właśnie to określił. Ja, oczywiście, o nic go nie pytałam. Powiedziałam tylko: "przykro mi to słyszeć, sir Gervase". Potem poprosił mnie, abym zawiadomiła Snella, że przyjedzie pan Poirot, żeby podał obiad dopiero o ósmej trzydzieści i żeby wysłał po niego na dworzec samochód. Na pociąg, który przyjeżdża o siódmej piętnaście.

- Czy tego rodzaju polecenia zwykle wydawał pani?

- No... nie. To należało do obowiązków pana Burrowsa. Ja nie robiłam nic, poza pracą literacką. Nie byłam sekretarką w dosłownym tego słowa znaczeniu.

- Jaki, według pani, sir Gervase mógł mieć powód, aby panią o to prosić, zamiast po prostu wezwać Burrowsa? - spytał Poirot.

Panna Lingard zastanawiała się przez chwilę.

- Może chciał... Nie, nie wiem. Wtedy nie zastanawiałam się nad tym. Teraz, jak o tym myślę, dochodzę do wniosku, że może - prosząc mnie o to - nie chciał, aby inni wiedzieli, że przyjedzie pan Poirot. Powiedział, że to ma być niespodzianka.

- Ach? Tak pani powiedział? To bardzo ciekawe, bardzo interesujące. Wspomniała pani o tym komuś?

- Oczywiście, że nie. Tylko Snellowi o obiedzie i o tym, żeby posłał samochód na dworzec po kogoś, kto ma przyjechać pociągiem o siódmej piętnaście.

- Czy sir Gervase powiedział jeszcze coś, co może mieć jakieś znaczenie?

Panna Lingard zamyśliła się.

- Nie... Myślę, że nie. Pamiętam, że kiedy wychodziłam z pokoju, powiedział do mnie: "Choć teraz jego przyjazd i tak na nic się nie zda".

- I pani nie wie, co chciał przez to powiedzieć?

- N... nie.

W tym zwykłym zaprzeczeniu zabrzmiało lekkie niezdecydowanie.

- Za późno. Dokładnie tak powiedział? Za późno - powtórzył Poirot, lekko marszcząc brwi.

- Może mogłaby pani, panno Lingard - wtrącił major Riddle - określić dokładniej to zmartwienie sir Gervase'a?

Panna Lingard odparła wolno:

- Myślę, że mogło mieć jakiś związek z Hugonem Trentem.

- Z Hugonem Trentem? Dlaczego pani tak myśli?

- No, nie jest to nic konkretnego, jednak wczoraj po południu zajmowaliśmy się sir Hugonem de Chevenix (który, obawiam się, nie zapisał się zbyt dobrze w czasie Wojny Dwóch Róż) i sir Gervase powiedział: "Moja siostra chciała, żeby jej syn nosił imię Hugo. Tymczasem nie przyniosło ono chwały naszemu rodowi, o czym nie mogła nie wiedzieć".

- To, co mi pani mówi, jest nie bez znaczenia - rzekł Poirot. - Tak, to podsuwa mi nową myśl.

- Czy sir Gervase nie mówił nic bardziej konkretnego na ten temat? - spytał major Riddle.

Panna Lingard zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. A ja nie mogłam zapytać. Wtedy sir Gervase wcale nie mówił tego do mnie, on jakby mówił do siebie.

- Zupełnie zrozumiałe.

- Mademoiselle - powiedział Poirot - pani, jako osoba obca, przebywała w tym domu przez dwa miesiące. Sądzę, że może to dla nas być ważne, jeżeli powie nam pani zupełnie szczerze, co pani sądzi o rodzinie i domownikach. Panna Lingard zdjęła pince-nez i zamknęła oczy, głęboko się namyślając.

- Szczerze mówiąc, najpierw myślałam, że trafiłam prosto do domu wariatów! Lady Chevenix-Gore, która ciągle widziała coś, czego nie ma, i sir Gervase, zachowujący się jak... jak król... I grający jakąś szczególnie ważną rolę. Tak, naprawdę sądzę, że to najdziwaczniejsi ludzie, jakich spotkałam. Oczywiście, panna Chevenix-Gore to osoba całkiem normalna. Po pewnym czasie doszłam do wniosku, że i lady Chevenix-Gore jest zupełnie sympatyczna. Nikt nie był dla mnie miłszy niż ona. Sir Gervase... No tak, on według mnie naprawdę był szalony. Jego egomania... tak to się nazywa? potęgowała się z dnia na dzień.

- A inni?

- Pan Burrows miał, jak sądzę, ciężkie życie z sir Gervase'em. Myślę, że zwolnienie go z pracy nad książką sir Gervase'a dało mu trochę wytchnienia. Pułkownik Bury był zawsze uprzejmy. Adorował lady Chevenix-Gore i doskonale dawał sobie radę z sir Gervase'em. Pan Trent, pan Forbes i panna Cardwell przebywali tu zaledwie od kilku dni i oczywiście niewiele mogę o nich powiedzieć.

- Dziękuję pani. A co może pani powiedzieć o jego administratorze, kapitanie Lake'u?

- Bardzo miły. Wszyscy go lubili.

- Sir Gervase też go lubił?

- Tak. Słyszałam, jak mówił, że to najlepszy administrator, jakiego miał. Naturalnie kapitan Lake również miał trudności z sir Gervase'em, ale w końcu zawsze dochodzili do porozumienia, chociaż nie było to łatwe. Poirot skinął głową w zamyśleniu.

- Było jeszcze coś... - zamruczał - ...o co ...o co chciałem panią zapytać... Coś nieistotnego... Co to było?

Panna Lingard zwróciła się ku niemu z wyrazem cierpliwego oczekiwania.

Poirot potrząsnął głową bezradnie.

- No...! Mam to na końcu języka!

Major Riddle czekał przez chwilę, a następnie, widząc ciągle zakłopotanie Poirota, zapytał:

- Kiedy po raz ostatni widziała pani sir Gervase'a?

- W tym pokoju, podczas herbaty.

- Jak się zachowywał? Normalnie?

- Tak, normalnie, jak zwykle.

- Czy wśród zebranych dało się wyczuć jakieś napięcie?

- Nie, wydawało mi się, że wszyscy zachowywali się całkiem zwyczajnie.

- Dokąd poszedł sir Gervase po herbacie?

- Wziął z sobą pana Burrowsa i poszli jak zwykle do gabinetu.

- I wówczas widziała go pani po raz ostatni?

- Tak. Udałam się do małego saloniku i do siódmej przepisywałam na maszynie z notatnika rozdział książki, nad którym pracowałam z sir Gervase'em. Potem poszłam na górę, aby odpocząć i przebrać się do obiadu.

- Podobno pani usłyszała ten strzał?

- Tak, właśnie byłam w tym pokoju. Usłyszałam coś, co zabrzmiało jak wystrzał, i wyszłam z holu. Był tam pan Trent i panna Cardwell. Pan Trent spytał Snella, czy to

był korek od szampana przygotowanego na obiad, i potraktowano to jak dowcip. Nie przyszło nam do głowy, że to coś poważnego. Potem nabraliśmy pewności, że strzeliła rura wydechowa samochodu.

- Słyszała pani, jak pan Trent powiedział, że zawsze zostaje jeszcze morderstwo?

- Zdaje mi się, że właśnie coś takiego powiedział... żartem oczywiście.

- Co się potem działo?

- Weszliśmy tutaj. - Pamięta pani, w jakiej kolejności pozostali schodzili się na obiad?

- Wydaje mi się, że panna Chevenix-Gore była pierwsza, a po niej pan Forbes. Pułkownik Bury i lady Chevenix-Gore przyszli razem, zaraz po nich pan Burrows.... Myślę, że taka była kolejność, ale nie jestem tego zupełnie pewna, ponieważ wszyscy przyszli mniej więcej jednocześnie.

- Zebrali się po pierwszym gongu?

- Tak. Wszyscy zawsze spieszyli się, kiedy usłyszeli gong. Sir Gervase był niezwykle wrażliwy, jeśli chodzi o punktualność przy obiedzie.

- O której on sam schodził na dół?

- On zawsze był na dole przed pierwszym gongiem.

- Zaskoczyło panią, że nie zszedł jeszcze na dół?

- O tak, bardzo.

- Ach, mam! - wykrzyknął Poirot.

Spojrzeli na niego pytająco, a on powiedział:

- Przypomniałem sobie, o co chciałem zapytać. Wieczorem, kiedy poinformowani przez Snella, że drzwi są zamknięte na klucz, udaliśmy się do gabinetu, pani zatrzymała się i coś podniosła.

- Naprawdę? - Panna Lingard wydawała się bardzo zaskoczona.

- Tak, wtedy gdy skręciliśmy korytarzem do gabinetu. Coś małego i błyszczącego.

- Dziwne, ale nie pamiętam... Chwileczkę, tak, istotnie podniosłam. Nie pomyślałam o tym. Zaraz, zaraz... To gdzieś tu musi być.

Otworzyła czarną atlasową torebkę i wysypała jej zawartość na stół.

Poirot i major Riddle pochylili się z zainteresowaniem. Były tam dwie chusteczki, puderniczka, mały pęk kluczy, futerał na okulary i mały przedmiot, który Poirot natychmiast pochwycił.

- Na Boga, to kula! - wykrzyknął major Riddle. Przedmiot ten istotnie miał kształt kuli, ale okazało się, że jest to mały ołówek.

- To właśnie podniosłam - powiedziała panna Lingard. - Zupełnie o tym zapomniałam.

- Wie pani, czyja to własność, panno Lingard?

- Tak, pułkownika Bury'ego. Kazał go wykonać z kuli, która go trafiła, albo raczej tej, która go nie trafiła - no, wie pan, co mam na myśli - w Afryce Południowej.

- Czy wie pani, kiedy miał go ostatni raz?

- Jeszcze wtedy, gdy grali w brydża. Kiedy przyszedłam na herbatę, zauważyłam, jak zapisuje nim punkty.

- Kto grał w brydża?

- Pułkownik Bury, lady Chevenix-Gore, pan Trent i panna Cardwell.

- Sądzę - rzekł Poirot - że sami zwrócimy to pułkownikowi.

- Och, bardzo proszę. Jestem zapominalska i mogłabym zapomnieć.

- Może byłaby pani tak uprzejma, mademoiselle, i poprosiła pułkownika Bury'ego?

- Oczywiście. Zaraz pójdę go poszukać.

Wyszła szybko. Poirot wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Musimy - powiedział - zrekonstruować wydarzenia tego popołudnia. To interesujące. Wpół do trzeciej sir Gervase udaje się z kapitanem Lake'em omawiać sprawy finansowe. "Jest czymś zaabsorbowany". O trzeciej omawia książkę z panną Lingard. "Jego umysł zaprzętało jakieś wielkie zmartwienie". Panna Lingard twierdzi, że to zmartwienie ma związek z Hugonem Trentem. Około piątej był "w doskonałym nastroju". Godfrey Burrows powiedział nam, że po herbacie "był chyba z jakiegoś powodu zadowolony z siebie". Za pięć ósma schodzi na dół, idzie do gabinetu, gryzmoli na skrawku papieru "przepraszam" i strzela do siebie!

- Wiem, o co panu chodzi - rzekł Riddle. - To nie jest logiczne.

- Jakaż przedziwna zmiana w nastrojach sir Gervase'a Chevenix-Gore'a! Jest czymś zaabsorbowany - jest wyprowadzony z równowagi - zachowuje się normalnie - jest w dobrym nastroju. Tkwi w tym coś intrygującego! A ponadto te wypowiedziane przez niego słowa: "Za późno". Istotnie, przybyłem tu za późno, aby zobaczyć go żywego.

- Rozumiem. Naprawdę pan myśli, że...

- Nigdy już nie dowiem się, dlaczego sir Gervase wezwał mnie do siebie! To jest pewne!

Poirot wciąż wędrował po pokoju. Poprawił kilka przedmiotów na kominku, obejrzał stoliczek do kart przy ścianie, otworzył w nim szufladę i wyjął bloczek zapisów

brydżowych. Następnie podszedł do biurka i zajrzał do kosza na śmieci. Był prawie pusty. Poirot znalazł tylko torebkę papierową, którą powąchał, mruknął: "pomarańcze" i odczytał napis: CARPENTER I SYNOWIE -HANDEL OWOCAMI - HAMBOROUGH ST. MARY. Właśnie składał torebkę w precyzyjny kwadrat, gdy do pokoju wszedł pułkownik Bury.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pułkownik opadł na fotel, potrząsnął głową, westchnął i rzekł:

- To paskudna sprawa, Riddle. Lady Chevenix-Gore jest cudowna... cudowna. Wspaniała kobieta! Co za odwaga!

Poirot podszedł cicho do oparcia fotela i rzekł:

- Zna ją pan od wielu lat, jak sądzę?

- Istotnie. Poznałem ją na jej pierwszym balu. Miała, o ile pamiętam, we włosach pęk róży i białą zwiewną sukienkę... Żadna jej nie dorównywała.

W jego głosie brzmiał szczerzy entuzjazm. Poirot podał mu ołówek.

- To chyba pana własność?

- Co takiego? To? O, dziękuję, miałem go jeszcze, gdy po południu graliśmy w brydża. To zdumiewające, wie pan, że dostałem trzy razy z rzędu sto punktów w pikach? Nigdy przedtem nie miałem takiego szczęścia.

- O ile wiem, pan grał w brydża przed podaniem herbaty? - spytał Poirot. - W jakim nastroju był sir Gervase, kiedy zszedł na herbatę?

- W normalnym... W zupełnie normalnym. Nigdy nie śniło mi się nawet, że planuje odejść w ten sposób. Teraz, jak się nad tym zastanawiam, to myślę, że być może był trochę bardziej niż zwykle podekscytowany.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Właśnie wtedy! Podczas herbaty. Później już nie widziałem biedaka żywego.

- Po herbacie nie poszedł pan do gabinetu?

- Nie, potem już go nie widziałem.

- O której zszedł pan na obiad? - Po pierwszym gongu.

- Czy lady Chevenix-Gore zeszła razem z panem?

- Nie, my... mhm... spotkaliśmy się w holu. Sądzę, że była w jadalni i doglądała kwiatów czy coś w tym rodzaju.

- Mam nadzieję, pułkowniku Bury - powiedział major Riddle - że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zadam panu osobiste, w pewnym sensie, pytanie. Czy istniały między panem i sir Gervase'em jakieś nieporozumienia na tle fabryki sztucznej gumy?

Twarz pułkownika Bury'ego nagle poczerwieniała.

- Niezupełnie. Niezupełnie. Stary Gervase był bardzo nierozsądnym facetem. Powinien pan o tym pamiętać. Myślał, że wszystko, czego się dotknie, zamieni się w złoto! Nie zdawał sobie sprawy, że cały świat przeżywa kryzys. Dotyczy to również kapitałów, akcji.

- I na tym tle pojawiło się między wami nieporozumienie?

- Nie było nieporozumienia. Gervase był po prostu cholernie nierozsądny!

- Winił pana za to, że poniósł straty?

- Gervase nie był normalny! Wanda wiedziała o tym, ale zawsze potrafiła nim pokierować. Wolałem pozostawić to w jej rękach.

Poirot chrząknął i major Riddle, rzuciwszy mu spojrzenie, zmienił temat.

- Wiem, pułkowniku Bury, że pan jest starym przyjacielem rodziny. Może więc ma pan jakieś pojęcie, komu sir Gervase zapisał swój majątek?

- Nie, mogę się tylko domyślać, że większość przypadnie Ruth. Wywnioskowałem to z aluzji Gervase'a.

- Nie sądzi pan, że to krzywdzące wobec Hugona Trenta?

- Gervase nie lubił Trenta. Nigdy się z nim nie liczył.

- Ale rodzina zawsze była dla niego najważniejsza. A panna Chevenix-Gore jest przecież tylko adoptowaną córką.

Pułkownik Bury zawahał się, zamruczał coś i powiedział:

- Niech pan posłucha, myślę, że lepiej będzie, jak coś panu powiem w najgłębszej tajemnicy.

- Oczywiście, oczywiście.

- Ruth jest z nieprawego łoża, jednak całkowicie należy do rodu Chevenix-Gore'ów. Jest córką brata Gervase'a - Antoniego, który poległ na wojnie. Miał chyba jakiś romans z maszynistką. Kiedy poległ, ta dziewczyna napisała do Wandy. Wanda spotkała się z nią: dziewczyna była w ciąży. Wówczas Wanda oświadczyła Gervase'owi, że ona sama nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. W rezultacie wzięli to dziecko i legalnie zaadoptowali. Matka zrzekła się wszelkich praw. Przyjęli Ruth jak

własną córkę, z wszystkimi konsekwencjami i tym sposobem ona istotnie jest ich własną córką. Dzięki temu możemy ją traktować tylko jak prawdziwą Chevenix-Gore!

- No tak, rozumiem - powiedział Poirot. - Wobec tego decyzja sir Gervase'a jest zupełnie zrozumiała. Ale jeżeli nie lubił Hugona Trenta, dlaczego tak pragnął, by ożenił się z Ruth?

- To porządkowało sytuację rodzinną.

- Nawet jeśli nie lubił go i nie ufał temu młodemu człowiekowi?

Pułkownik Bury parsknął.

- Pan nie rozumie starego Gervase'a. On nie traktował ludzi jak zwykłe istoty. Aranżował ten związek, jakby to było małżeństwo członków rodziny królewskiej! Uważał, że Hugo i Ruth powinni zawrzeć małżeństwo ze względów rodzinnych i Hugo powinien przyjąć nazwisko Chevenix-Gore. Nie obchodziło go, co o tym myślą Hugo i Ruth.

- Ruth zgadzała się na te plany?

Pułkownik Bury chrząknął.

- Ona? Skądże!

- Wie pan o tym, że krótko przed śmiercią sir Gervase napisał nowy testament, w którym panna Chevenix-Gore dziedziczy tylko pod warunkiem, że poślubi pana Trenta?

Pułkownik Bury zagwizdał.

- A więc zorientował się w końcu, że coś jest pomiędzy nią a Burrowsem...

Przerwał nagle, zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo, ale było już za późno. Poirot natychmiast rzucił się na ten smakowity kąsek.

- A było coś pomiędzy Ruth a młodym Burrowsem?

- Prawdopodobnie nic takiego... Nic szczególnego. Major zakaszłał i powiedział:

- Myślę, pułkowniku Bury, że musi nam pan powiedzieć wszystko, co pan wie. Ta sprawa z pewnością miała bezpośredni wpływ na sir Gervase'a.

- Bardzo możliwe - odparł pułkownik Bury z powątpiewaniem. - No, prawdą jest, że Burrows nie jest złym chłopcem... Przynajmniej wydaje się, że tak sądzą kobiety. On i Ruth ostatnio byli nierozłączni, a Gervase'owi się to nie podobało... Tak, wcale mu się nie podobało. Nie chciał zwolnić Burrowsa, bo bał się, że to jeszcze pogorszy sprawy. Znał przecież Ruth. Wiedział, że nie pozwoli, by ktoś narzucał jej swoją wolę.

Sądzę, że właśnie dlatego wpadł na ten pomysł. Ruth nie należy tłu dziewcząt, które poświęcają wszystko dla miłości. Lubi zbytek i pieniądze.

- Czy pan stoi po stronie pana Burrowsa? Pułkownik powiedział, że Godfreyowi Burrowsowi wystaje słoma z butów.

Oświadczenie to wprawiło Poirota w zdumienie, lecz major Riddle uśmiechnął się tylko pod wąsem.

Po kilku dodatkowych pytaniach pułkownik Bury wyszedł.

Riddle spojrzął na Poirota, który siedział pogrążony w myślach.

- Co pan zamierza z tym wszystkim zrobić, Poirot? Mały mężczyzna uniósł ręce.

- Chyba widzę pewien wzór...

- To brzmi zawile - rzekł Riddle.

- Tak, bo to jest zawile... Ale coraz bardziej zastanawia mnie jedno zdanie, wypowiedziane w żartach.

- Co ma pan na myśli?

- Ten żart Hugona Trenta, że zawsze zostaje jeszcze morderstwo...

Riddle szybko przerwał:

- Tak, widzę, że ciągnie pana ta droga.

- Czyżby nie zgadzał się pan, drogi przyjacielu, że im więcej wiemy, tym mniej jest motywów uzasadniających popełnienie samobójstwa? Natomiast gdy idzie o morderstwo, stoimy wobec wręcz zaskakującej kolekcji motywów!

- Musi pan jednak ciągle pamiętać o faktach - drzwi zamknięte na klucz, a klucz w kieszeni zmarłego. O, wiem, że istnieją różne sposoby otwierania... Zgiętą szpilką, sznurkiem itd. Przyjmijmy więc, że jest to możliwe... Choć osobiście mam wielkie wątpliwości.

- Na wszelki wypadek przyjrzyjmy się tej sprawie, jakby chodziło o morderstwo, a nie o samobójstwo.

- No, dobrze. Skoro pan pojawił się na scenie, to prawdopodobnie mamy do czynienia z morderstwem.

Poirot uśmiechnął się.

- Trudno, żeby podobało się tego rodzaju stwierdzenie. - Potem znowu spoważniał. - Tak, rozpatrzmy więc sprawę, jakby szło o morderstwo. Słyszano strzał. Były cztery osoby w holu, panna Lingard, Hugo Trent, panna Cardwell i Snell. Gdzie byli pozostali?

- Burrows, według jego własnego zeznania, w bibliotece. Nikt tego nie może potwierdzić. Inni przypuszczalnie byli w swoich pokojach, ale kto wie, jak było naprawdę? Wydaje się, że każde z nich zeszło na dół oddzielnie. Nawet lady Chevenix-Gore i Bury spotkali się dopiero w holu. Lady Chevenix-Gore wyszła z jadalni. Skąd przyszedł Bury? A może on nie zszedł z góry, tylko przyszedł z gabinetu? Świadczy o tym ten ołówek.

- Tak, ten ołówek jest bardzo interesujący. Pułkownik Bury nie okazał żadnego podniecenia, kiedy mu go pokazałem, ale być może dlatego, że nie wiedział, gdzie go znaleziono, a sam nie wie, gdzie go zgubił. Kto jeszcze grał w brydża, gdy używano tego ołówka? Hugo Trent i panna Cardwell. Oni są poza podejrzeniem. Panna Lingard i lokaj mogą potwierdzić ich alibi. Czwartą była lady Chevenix-Gore.

- Chyba poważnie nie może jej pan podejrzewać?

- Dlaczego nie, przyjacielu? Mówię panu, ja mogę podejrzewać każdego! Przypuśćmy, że wbrew wyraźnemu oddaniu swojemu mężowi, naprawdę zakochana była w Buryem?

- Mhm - rzekł Riddle. - Byłby to rodzaj menage a trois* znanego od lat.

- A ponadto pomiędzy sir Gervase'em a pułkownikiem Buryem istniał jakiś konflikt związany z fabryką sztucznej gumy.

- Tak, to prawda, że sir Gervase mógł stać się przykry. Nie znamy szczegółów. Może to właśnie kryło się za wezwaniem pana. Powiedzmy, że sir Gervase podejrzewa, iż Bury rozmyślnie go oskubuje, jednak nie chce tego ujawnić, ponieważ sądzi, że zamieszana jest w to żona. Tak, to daje motyw jednemu z tych dwojga. W końcu to trochę dziwne, że lady Chevenix-Gore przyjęła śmierć męża tak spokojnie. Wszystkie te numery ze spirytyzmem mogły być tylko grą!

- Istnieje jeszcze inna komplikacja - powiedział Poirot. - Panna Chevenix-Gore i Burrows. Z punktu widzenia ich interesów ważny jest fakt, że sir Gervase nie zdążył podpisać nowego testamentu. Teraz ona otrzyma wszystko, pod warunkiem, że jej mąż przyjmie nazwisko rodziny Chevenix-Gore...

- Tak. I dlatego relacja Burrowsa dotycząca zachowania sir Gervase'a jest podejrzana. Powiedział, że był z jakiegoś powodu bardzo zadowolony! Nie pasuje do innych relacji.

- Jest też Forbes. Bardzo układny, bardzo przyjazny starszy pan, właściciel dobrze prosperującej firmy. Ale zdarzało się, że prawnicy, nawet najszacowniejsi,

sprzeniewierzali pieniądze, swoich klientów, kiedy sami znaleźli się w tarapatkach finansowych.

- Myślę, że bierze pan to trochę zbyt sensacyjnie, Poirot.

- Sądzi pan, że to, co sugeruję, zbyt przypomina film? Życie jednak, majorze Riddle, często przypomina film.

- Przynajmniej ostatnio u nas, w Westshire - rzekł szef policji. - Lepiej będzie, jeśli zakończymy przesłuchania, prawda? Jest już późno. Jeszcze nie rozmawialiśmy z Ruth Chevenix-Gore, chociaż jest to prawdopodobnie najważniejsza osoba.

- Zgadza się. Została jeszcze pani Cardwell. Lepiej wezwać ją pierwszą, z nią nie potrwa długo, a z panną Chevenix-Gore porozmawiamy na ostatku.

- Całkiem dobry pomysł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tego wieczoru Poirot widział Susan Cardwell tylko przelotnie. Teraz przyjrzał jej się uważniej. "Inteligentna twarz - pomyślał - niezbyt piękna, ale wiele dziewcząt mogłoby jej pozazdrościć. Ma wspaniałe włosy i zręczny makijaż. Jej oczy - dodał w myślach - są czujne"

Po kilku wstępnych pytaniach major Riddle powiedział:

- Nie wiem, czy jest pani blisko związana z tą rodziną, panno Cardwell?

- Nie znam ich dobrze. Zaproszenie zawdzięczam Hugonowi Trentowi.

- A zatem przyjaźni się pani z Hugonem Trentem?

- Tak, jestem przyjaciółką Hugona Trenta. - Susan Cardwell uśmiechnęła się przy ostatnich słowach.

- Długo go pani zna?

- O nie, od miesiąca. - Przerwała, a potem dodała: - Poza tym jestem z nim zaręczona.

- I on wziął panią z sobą, aby przedstawić rodzinie?

- Och, drogi panie, nic z tych rzeczy. Trzymaliśmy to w wielkiej tajemnicy. Przyjechałam tu zorientować się w sytuacji i z ciekawości. Hugo mówił, że to dom wariatów. Pomyślałam, że dobrze byłoby zobaczyć. Biedny Hugo to słodki pieścuch, ale całkowicie pozbawiony rozsądku. Sytuacja, pan rozumie, była raczej krytyczna. Ani ja, ani Hugo nie mamy pieniędzy, a stary, który był jego ostatnią

nadzieją, zamierzał wydać go za Ruth. Hugo jest trochę słaby, no, wie pan... Mógł zgodzić się na to małżeństwo, licząc na to, że później je zerwie.

- I tak koncepcja nie odpowiadała pani, mademoiselle? - spytał Poirot uprzejmie.

- Zdecydowanie nie. Nie można przewidzieć reakcji Ruth, mogłaby przecież potem odmówić udzielenia rozwodu czy coś w tym rodzaju. Zaprotestowałam. Nie pozwolę mu pójść do kościoła inaczej aniżeli ze mną pod rękę.

- Więc to, co się stało w gabinecie, stworzyło dla pani nową sytuację?

- Tak.

- Eh bien! - rzekł Poirot.

- No, oczywiście Hugo miał rację! Ta cała rodzinka to prawdziwy dom wariatów! Z wyjątkiem Ruth, która wydaje się zupełnie normalna. Ona ma swojego chłopca i na temat małżeństwa z Hugonem miała takie zdanie jak ja.

- Mówi pani o Burrowsie?

- O Burrowsie? Oczywiście, że nie. Ruth nie wiązałaby się z tak fałszywym człowiekiem jak on.

- A zatem kto jest obiektem jej uczuć?

Susan Cardwell w milczeniu wyjęła papierosa i zapaliła.

- Lepiej niech się pan do niej zwróci z tym pytaniem - zauważyła. - To nie mój interes.

- Kiedy po raz ostatni widziała pani sir Gervase'a? - zapytał major Riddle.

- Na herbacie.

- Czy zwróciła pani uwagę na coś szczególnego w jego zachowaniu?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Zachowywał się jak zwykle.

- Co pani robiła po herbacie?

- Grałam w bilard z Hugonem.

- Nie widziała pani już sir Gervase'a?

- Nie.

- A co może pani powiedzieć o strzale?

- To było trochę dziwne. Widzi pan, myślałam, że był już pierwszy gong, zaczęłam więc szybko się ubierać, potem wybiegłam ze swego pokoju i wydawało mi się, że słyszę drugi gong. Zbiegłam po schodach na złamanie karku. Bardzo się spieszyłam, ponieważ pierwszego wieczoru spóźniłam się minutę i Hugo powiedział, że to niemal zaprzepaściło nasze szanse u starego. Dlatego też teraz pomknęłam na dół jak

zając. Tuż przede mną zszedł Hugo. I wtedy usłyszałam to dziwne pafnięcie. Hugo twierdził, że to był korek od szampana, ale Snell zaprzeczył. Poza tym dźwięk nie doszedł chyba od strony jadalni. Pani Lingard uważała, że dobiegł nas z góry. W końcu, uznawszy, że to strzeliło z rury wydechowej, pomaszerowaliśmy do salonu i zapomnieliśmy o tym.

- Nie przyszło pani na myśl, choćby przez moment, że sir Gervase mógł się zastrzelić? - zapytał Poirot.

- A ja pytam pana, dlaczego miałabym tak pomyśleć? Staruszek sprawiał wrażenie wielce z siebie zadowolonego. Nigdy nie przyszłoby mi coś podobnego do głowy. Właśnie dlatego, że był taki zbzikowany.

- Niefortunny wypadek.

- Bardzo... Szczególnie dla Hugona i dla mnie. Sądzę, że nie pozostawił Hugonowi nic lub prawie nic.

- Kto pani to powiedział?

- Hugo dowiedział się od starego Forbesa.

- No tak, panno Cardwell... - przerwał major Riddle - sądzą, że to wszystko. Czy myśli pani, że panna Chevenix-Gore czuje się na tyle dobrze, aby zejść i porozmawiać z nami?

- Myślę, że tak. Powiem jej.

- Chwileczkę, mademoiselle - wtrącił Poirot. - Widziała pani to kiedyś?

Podał jej ołówek w kształcie kuli.

- Tak. Używaliśmy go dzisiaj po południu przy brydżu. Zdaje się, że należy do starego pułkownika Bury'ego.

- Zabrał go z sobą po zakończeniu robra?

- Nie mam pojęcia.

- Dziękuję, mademoiselle. To wszystko.

- Dobrze, poproszę Ruth.

Ruth Chevenix-Gore weszła do pokoju jak królowa, z wysoko uniesioną głową i rumieńcami na policzkach. Lecz jej oczy, tak jak oczy Susan Cardwell, były czujne. Miała na sobie tę samą suknię, w jakiej przywitała Poirota, w kolorze bladomorelowym. Na ramieniu miała przypiętą łososiową różę, która dawno już zwiędła i teraz zwisała smętnie.

- Słucham? - spytała.

- Jest mi niezmiernie przykro, że muszę panią niepokoić... - zaczął major Riddle, ale przerwała mu:

- Oczywiście, że musi pan to robić. Musi pan niepokoić każdego. Jednak mogę oszczędzić panu czas. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego stary się zastrzelił. Mogę tylko stwierdzić, że to niepodobne do niego.

- Może w jego dzisiejszym zachowaniu zauważyła pani coś niezwykłego? Może depresję albo nienormalne podniecenie...? Może w ogóle zdarzyło się coś nienormalnego?

- Myślę, że nie. Nic nie zauważyłam...

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- W czasie herbaty.

- Nie wchodziła pani później do gabinetu? - wtrącił Poirot.

- Nie. Ostatni raz widziałam go w tym pokoju. Siedział tam. - Wskazała krzesło.

- Rozumiem. Zna pani ten ołówek, mademoiselle?

- To własność pułkownika Bury'ego.

- Widziała pani może niedawno ten przedmiot?

- Doprawdy nie pamiętam.

- Wie pani coś o nieporozumieniach pomiędzy sir Gervase'em a pułkownikiem Buryem?

- Ma pan na myśli fabrykę gumy?

- Tak.

- Tak myślałam. Stary był o to wściekły!

- Być może uważał, że go oszukują?

Ruth wzruszyła ramionami.

- Nie był mocny w sprawach finansowych.

- Mogę panią o coś zapytać, mademoiselle... O coś nieprzyjemnego? - spytał Poirot.

- Oczywiście, jeśli pan musi.

- Czy to... Czy jest pani przykro z powodu śmierci ojca?

Patrzyła na niego uważnie.

- Naturalnie, że jest mi przykro. Nie poddaję się, nie płaczę, ale brak mi go... Lubiłam staruszkę. Ja i Hugo tak go nazwaliśmy. Stary - no, wie pan - coś na kształt oryginalnego patriarchy. To brzmi obraźliwie, ale jest w tym.-prawdziwy wyraz sympatii do niego. Był oczywiście trudny we współżyciu.

- Pani mnie zainteresowała, mademoiselle.

- Stary nie należał do najtęższych umysłów. Przykro tak mówić, ale to prawda. W żadnym wypadku nie był zdolny do wytężonej pracy umysłowej. Miał charakter! Ponadto był fantastycznie odważny... i w ogóle! Był w stanie pognać na biegun albo stoczyć pojedynek. Prawdopodobnie dlatego to robił, że zdawał sobie sprawę, iż nie potrafi najlepiej myśleć. Każdy by! w tym lepszy od niego.

Poirot wyciągnął z kieszeni list.

- Proszę to przeczytać, mademoiselle. Przeczytała i zwróciła list. - Więc dlatego pan tu przyjechał!

- Czy ten list coś pani sugeruje? Pokręciła przecząco głową.

- Nie. To prawdopodobnie jest zupełna prawda. Praktycznie każdy mógłby ograbić starego. John mówił, że administrator, który pracował przed nim, nabierał go na prawo i lewo. Widzi pan, stary był tak wielki i tak nadęty, że nigdy nie zniżał się do tego, aby zwracać uwagę na detale! On wprost prowokował, aby go nabierać.

- Pani odmalowała nam obraz sir Gervase'a zupełnie odmienny niż ten ogólnie akceptowany.

- O tak, świetnie się kamuflował. Wanda, moja matka, popierała go, ile tylko się dało. Był szczęśliwy odgrywając rolę Wszechmogącego Boga. I, nawiasem mówiąc, dlatego w pewnym sensie jestem zadowolona, że nie żyje. Tak jest dla niego najlepiej.

- Niezupełnie nadążam za panią, mademoiselle. Ruth powiedziała w zadumie:

- To w nim narastało... Pewnego dnia trzeba by go było zamknąć... Wiemy, jak to bywa.

- Czy pani wie, że rozważał, by w testamencie możliwość dziedziczenia przez panią związać z warunkiem, że wyjdzie pani za pana Trenta?

- Co za absurd! - wykrzyknęła. - W każdym razie jestem pewna, że sąd by to podważył... Przecież nie mógł ludziom dyktować, z kim się mają pobierać.

- Gdyby podpisał taki testament, pogodziłaby się pani z nim?

- Ja... ja...

Przerwała. Siedziała przez chwilę niezdecydowana, ze wzrokiem utkwionym we własny pantofel. Kawalek zeschniętej ziemi oderwał się od niego i spadł na dywan.

Nagle Ruth Chevenix-Gore powiedziała:

- Chwileczkę!

Zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju. Prawie natychmiast wróciła, prowadząc z sobą kapitana Lake'a. - I tak by się wydało - powiedziała zdyszana. - Teraz może się pan już dowiedzieć. Przed trzema tygodniami John i ja wzięliśmy w Londynie ślub.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wydawało się, że kapitan Lake jest daleko bardziej zakłopotany niż Ruth.

- Mogę stwierdzić, że to wielka niespodzianka, panno Chevenix-Gore... Pani Lake - rzekł major Riddle. - Czy ktoś wie o waszym małżeństwie?

- Nie, trzymaliśmy to w tajemnicy. John miał z tego powodu poczucie winy.

- Ja... Ja wiem, że to wydaje się wstrętne - wyjąkał Lake. - Powinienem pójść prosto do sir Gervase'a...

Ruth przerwała:

- I powiedz mu, że zamierzasz poślubić jego córkę, co szybko wybiłby ci z głowy, mnie by prawdopodobnie wydziedziczył, w całym domu zrobił piekło, a my moglibyśmy sobie pogratulować pięknego zachowania. Uwierz mi, mój sposób był lepszy. Byłaby, oczywiście, awantura, ale by się z tym pogodził.

Lake ciągle wyglądał na nieszczęśliwego.

- Kiedy zamierzała pani - spytał Poirot - powiedzieć o tym sir Gervase'owi?

- Przygotowywałam grunt - odparła Ruth. - Miał pewne dotyczące nas podejrzenia i dlatego udawałam, że interesuję się Godfreyem. Naturalnie, strasznie go to ugodziło. W takiej sytuacji wiadomość o małżeństwie z Johnem przyjąłby niemalże z ulgą!

- Czy ktoś wiedział o tym małżeństwie?

- Tak, w końcu powiedziałam o nim Wandzie. Chciałam ją mieć po swojej stronie.

- I osiągnęła to pani?

- Tak. Ona nie popierała mojego małżeństwa z Hugonem, jak sądzę, dlatego, że był moim kuzynem, co - szczególnie w zbikowanej rodzinie - mogło zaowocować jeszcze bardziej zbikowanym potomstwem, Zupełnie bez sensu, ponieważ, jak pan wie, zostałam adoptowana. Podobno jestem córką dalekiego kuzyna.

- Jest pani przekonana, że sir Gervase nie domyślał się niczego?

- Och, nie.

- Czy to prawda, kapitanie Lake? Jest pan tego całkowicie pewien, że tego popołudnia nie było o tym mowy z sir Gervase'em?

- Nie. Nie było.
- Pytam, dlatego że, widzi pan, z pewnych zeznań wynika, iż sir Gervase był podekscytowany po pańskim wyjściu i wspominał kilka razy o hańbie w rodzinie.
- Nie poruszaliśmy tej sprawy - powtórzył Lake. Jego twarz wyraźnie zbladła.
- Czy wówczas widział pan sir Gervase'a po raz ostatni?
- Tak, już to panu mówiłem.
- Gdzie pan1 był dzisiaj wieczorem osiem po ósmej?
- Gdzie? Ł siebie w domu. Stoi na skraju wioski, około pół mili stąd.
- Nie było pana w tym czasie w pobliżu Hamborough Close?
- Nie.

Poirot zwrócił się do dziewczyny:

- Gdzie pani była, kiedy zastrzelił się pani ojciec?
- W ogrodzie.
- W ogrodzie? Słyszała pani strzał?
- Tak. Ale nie myślałam, że to coś ważnego. Przypuszczałam, że ktoś strzelił do zająca, chociaż teraz przypominam sobie, że wtedy zdawałam sobie sprawę, że to zabrzmiało tak, jakby ktoś strzelił w zamkniętym pomieszczeniu.
- Którędy wróciła pani do domu?
- Przez oszklone drzwi.

Ruth wskazała głową drzwi za sobą.

- Czy ktoś tutaj wtedy był?.
- Nie. Ale Hugo i panna Lingard prawie natychmiast weszli tu z holu. Rozmawiali o strzale, morderstwach...
- Rozumiem - powiedział Poirot. - Tak, sądzę, że teraz...
- Mhm... Teraz raczej podziękujemy państwu - rzekł major. - Myślę, że na razie wystarczy.

Ruth i jej mąż wyszli z pokoju.

- Co, u diabła... - zaczął major Riddle i dokończył z rozpaczą: - Coraz trudniej zorientować się w tym wszystkim.

Poirot skinął głową. Podniósł z dywanu grudkę ziemi, która spadła z pantofla Ruth, i w zamyśleniu ją oglądał, trzymając na dłoni.

- To jest jak stłuczone lustro na ścianie - powiedział. - Lustro nieboszczyka. Każdy nowy fakt, jaki otrzymujemy, ukazuje nam nieżyjącego od innej strony. I wkrótce będziemy mieli pełny obraz.

Wstał i wrzucił do kosza grudkę ziemi podniesioną z dywanu.

- Muszę panu coś powiedzieć, drogi przyjacielu. Klucz do całej zagadki tkwi w lustrze. Jeżeli pan mi nie wierzy, proszę iść do gabinetu i dobrze się przyjrzeć. Major Riddle odparł stanowczo: - Jeśli to morderstwo, to musi pan to udowodnić! Jeżeli o mnie chodzi, twierdzą stanowczo, że samobójstwo. Zauważył pan, dziewczyna mówiła, że poprzedni administratorzy oszukiwali starego Gervase'a? Założę się, że w jakimś celu stary opowiedział o tym Lake'owi. On prawdopodobnie trochę go oszukiwał, a sir Gervase podejrzewał to i posłał po pana, ponieważ nie wiedział, jak przedstawiają się sprawy pomiędzy Lake'em i Ruth. Dzisiaj po południu, Lake oznajmił mu, że ożenił się z Ruth. To spowodowało, że Gervase załamał się. Teraz było już "za późno", aby coś zrobić. I podjął decyzję, że musi odejść. Jego i tak niezrównoważona psychika nie wytrzymała. Oto, co się według mnie stało. Co pan o tym myśli?

Poirot stał bez ruchu na środku pokoju,

- Co ja o tym myślę? Otóż nic nie myślę o pańskiej teorii. Może tylko tyle, że nie posuwa nas do przodu. Istnieją pewne fakty, których w ogóle nie wziął pan pod uwagę.

- Jakie?

- Sprzeczne nastroje sir Gervase'a, odnalezienie ołówka pułkownika Bury'ego, bardzo ważne zeznania panny Cardwell, zeznanie panny Lingard, dotyczące kolejności, w jakiej goście schodzili się na obiad, pozycja fotela sir Gervase'a po jego śmierci, papierowa torebka po pomarańczach, wreszcie niezwykle ważny ślad, jakim jest stłuczone lustro.

Major Riddle z niedowierzaniem przyglądał się Poirotowi.

- Chce mi pan powiedzieć, że te wszystkie koszałki-opałki mają jakiś sens? - spytał.

- Spodziewam się, że to udowodnię. Jutro - odparł cicho Poirot.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego dnia Herkules Poirot obudził się zaraz po świtaniu. Miał pokój we wschodnim skrzydle domu.

Wstał z łóżka, odsłonił okno i stwierdził z zadowoleniem, że jest piękny ranek i świeci słońce.

Ubrał się, jak zwykle, bardzo starannie. Po zakończeniu toalety owinął się w grube palto i otulił szyję ciepłym szalem.

Bezszereście opuścił pokój i poszedł przez śpiący i cichy dom do salonu. Ostrożnie otworzył oszklone drzwi i wyszedł do ogrodu.

Słońce wyszło zza chmur. W powietrzu unosiła się mgiełka. Herkules Poirot opuścił taras, okrążył dom i doszedł do okien gabinetu sir Gervase'a. Tam zatrzymał się i zaczął badać ziemię.

Tuż pod oknem rozpościerał się pas trawnika, biegnącego równolegle do domu i ograniczonego rabatą z bylin. Najefektowniej prezentowały się astry. Rabata dochodziła do wyłożonej kamieniami dróżki, na której stał Poirot. Skrawek trawnika za rabatą biegł aż do tarasu. Poirot obejrzał dokładnie trawnik i potrząsnął głową. Teraz zbadał rabatę po obu stronach.

Pokiwał potakująco głową. Po prawej stronie widniały w miękkiej ziemi dobrze odcisnięte ślady stóp.

Przyjrzał się im ze zmarszczonymi brwiami. Nagle usłyszał hałas i szybko podniósł głowę.

Zobaczył otwarte okno, a w nim otoczoną aureolą złotorudych włosów inteligentną twarz Susan Cardwell.

- Co, na Boga, robi pan tutaj o tej godzinie, panie Poirot? Prowadzi dochodzenie?

Poirot skłonił się szarmancko.

- Dzień dobry. Ma pani rację. Patrzy pani na detektywa - wielkiego detektywa, jakbym to określił -w czasie pracy.

- Muszę to zapisać w moim pamiętniku - rzekła. - Mogę zejść i pomóc?

- Będę zachwycony.

- W pierwszej chwili myślałam, że jest pan włamywaczem. Jak pan tam zszedł?

- Dostałem się tutaj przez drzwi prowadzące na taras.

- Będę na dole za minutę.

Okazała się słowna. Gdy się pojawiła, Poirot stał w tym samym miejscu, nieporuszony.

- Pani wstaje bardzo wcześnie.
 - Właściwie jeszcze nie zasnęłam. Akurat zaczęłam wpadać w desperację, jak to się dzieje o piątej rano.
 - Nie jest już tak wcześnie!
 - Ale ja tak się czułam! A teraz, mój superdetektywie, czego tutaj szukamy?
 - Odcisków stóp, mademoiselle.
 - Takie, jak te, które tutaj widać?
 - Tak, mamy tu cztery odciski - kontynuował Poirot. - Zaraz pani pokażę. Dwa kierują się w stronę oszklonych drzwi, dwa - z powrotem.
 - Kto je pozostawił? Ogrodnik?
 - Mademoiselle, to są odciski delikatnych damskich bucików na wysokim obcasie. Proszę się samej przekonać. Proszę umieścić stopę obok.
- Susan ostrożnie postawiła nogę w miejscu wskazanym przez Poirota. Miała na nogach małe klapki z ciemnobrązowej skórki, na wysokim obcasie.
- Widzi pani, prawie ten sam rozmiar, ale nie całkiem. To są ślady trochę dłuższej stopy. Może panny Chevenix-Gore albo panny Lingard, a może nawet lady Chevenix-Gore. - To nie są ślady lady Chevenix-Gore, ona ma mniejszą stopę. Dziś już nikt takich nie ma. A panna Lingard nosi buty na płaskim obcasie.
 - A zatem są to ślady panny Chevenix-Gore. Ach tak, teraz przypominam sobie, jak mówiła, że wczoraj wieczorem wychodziła do ogrodu.
- Znów zaczął wędrować dookoła domu.
- Ciągle czegoś szukamy? - spytała Susan.
 - Naturalnie. Teraz pójdziemy do gabinetu sir Gervase'a.
- Szedł przodem, a panna Cardwell podążała za nim.
- Drzwi do gabinetu ciągle jeszcze smętnie zwisały po ich wyłamaniu. W pokoju nic się nie zmieniło. Poirot odsunął zasłony i gabinet zalało światło słoneczne.
- Stanął przy oszklonych drzwiach, spojrzał w zamyśleniu na rabatę i wreszcie powiedział:
- Sądzę, że nie ma pani znajomości wśród włamywaczy?
- Susan z żalem potrząsnęła swoją rudą głową.
- Obawiam się, że nie, panie Poirot.
 - Szef policji również nie miał okazji zacieśnienia z nimi kontaktów. Jego związki z przestępcami zawsze są czysto oficjalne. Ze mną sprawa ma się inaczej. Kiedyś

miałem okazję odbycia przyjacielskiej pogawędki z pewnym włamywaczem. Opowiedział mi ciekawą rzecz na temat drzwi balkonowych. Można je otworzyć, jeżeli nie są zbyt ciasno dopasowane.

Mówiąc to, nacisnął klamkę lewego skrzydła drzwi, rygiel wyszedł z otworu w podłodze i Poirot mógł pociągnąć do siebie oba skrzydła. Szeroko otworzył drzwi i znów zamknął je, nie naciskając klamki. W ten sposób nie wprowadził rygla do gniazda. Puścił klamkę, odczekał chwilę, po czym uderzył silnie na wysokości środka rygla, co spowodowało, że rygiel opadł, wsuwając się do otworu w podłodze, a równocześnie samoczynnie obróciła się klamka.

- Rozumie pani, mademoiselle?

- Myślę, że tak. Susan zbladła.

- Drzwi znowu są zamknięte. Nie można wejść do pokoju, gdy drzwi są zamknięte. Lecz można wyjść z pokoju, zamykając za sobą drzwi tak, aby rygiel zapadł w otwór, obracając jednocześnie klamkę, jak to właśnie pokazałem. Wówczas drzwi znowu są zamknięte od środka.

- I tak właśnie - spytała trochę drżącym głosem Susan - stało się ostatniej nocy?

- Myślę, że tak, mademoiselle.

- Nie wierzę - zawołała gwałtownie Susan. Poirot milczał. Podeszedł do kominka i nagle obrócił się w jej stronę.

- Potrzebuję pani na świadka. Mam już jednego, pana Trenta. Wczoraj wieczorem widział, jak znalazłem okruch lustra. Mówiłem z nim o tym. Ten okruch lustra pozostawiłem na miejscu na użytek policji. Powiedziałem również, szefowi policji, że stłuczone lustro stanowi ważny ślad. Nie skorzystał jednak z mojej sugestii. Teraz pani będzie świadkiem, że ten okruch lustra (proszę pamiętać, że zwróciłem już na niego uwagę pana Trenta) biorę i wkładam do koperty... O tak. - Wykonał to, co zapowiedział. - Teraz piszę to na kopercie... Tak... I zabezpieczuję ją. Może pani to zaświadczyć?

- Tak, ale... Ale nie mam pojęcia, o co panu chodzi? Poirot przeszedł na drugą stronę pokoju. Stał przed biurkiem i spojrzał na wiszące przed nim rozbite lustro.

- Mogę pani powiedzieć, o co mi chodzi, mademoiselle. Gdyby pani minionej nocy stanęła tu i spojrzała w lustro, zobaczyłaby w nim... morderstwo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po raz pierwszy w życiu Ruth Chevenix-Gore - teraz Ruth Lake - zeszła punktualnie na śniadanie. Zanim weszła do jadalni, Herkules Poirot zatrzymał ją w holu i poprosił na stronę.

- Mam jedno pytanie, madame.

- Słucham?

- Wczoraj wieczorem wychodziła pani do ogrodu. Czy wchodziła pani na rabatę kwiatową przed oszklonymi drzwiami gabinetu sir Gevase'a?

Ruth patrzyła na niego badawczo.

- Tak. Dwa razy.

- Ach! Dwa razy. Jak to - dwa razy?

- Pierwszy raz poszłam po astry. Było około siódmej.

- Raczej dziwna pora na zrywanie kwiatów, prawda?

- Tak, ma pan rację. Ścięłam kwiaty wczoraj rano, ale po herbacie Wanda powiedziała, że kwiaty na stole w jadalni są nieco przywędnięte. Pomyślałam, że ma rację i warto zerwać świeże kwiaty.

- Matka poprosiła panią o to? Mam rację?

- Tak. Poszłam więc krótko przed siódmą. Ścięłam je z tej akurat części rabaty, ponieważ nikt tu nie chodzi, wygląd kwietnika więc nie ma wielkiego znaczenia.

- Tak, tak. A drugi raz? Powiedziała pani, że była pani tam dwa razy.

- Tuż przed obiadem. Poplamiałam sukienkę brylantyną - tu, na ramieniu. Nie chciałam się przebierać, a żaden z moich żółtych sztucznych kwiatów nie pasował do tej sukni. Pamiętam, że widziałam odpowiednią różę, gdy ścinałam astry, wyszłam więc szybko, ścięłam ją i przypięłam do sukni.

Poirot wolno skinął głową.

- Tak. Przypominam sobie, że wieczorem miała pani różę. O której ją pani ścięła?

- Naprawdę nie wiem.

- Ale to jest bardzo ważne, madame. Proszę się zastanowić... Przypomnieć sobie...

Ruth zmarszczyła brwi. Rzuciła na Poirota szybkie spojrzenie i zaraz uciekła wzrokiem na bok.

- Nie wiem dokładnie - odparła wreszcie. - To musiało być... Och, naturalnie... To musiało być mniej więcej pięć po ósmej. Byłam w ogrodzie, kiedy usłyszałam gong, a potem ten dziwny dźwięk. Spieszyłam się, ponieważ myślałam, że to drugi gong.

- Ach, tak pani myślała... I stojąc na rabacie kwiatowej, nie próbowała pani otworzyć drzwi do gabinetu?

- Prawdę mówiąc, próbowałam. Przypuszczałam, że będą otwarte i tą drogą uda mi się szybciej wrócić. Jednak były zamknięte.

- A zatem wszystko się wyjaśniło. Gratuluję pani, madame.

Spojrzała na niego uważnie.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To, że wszystko pani wyjaśniła. Ślady ziemi na pani pantoflach, odciski stóp na rabacie, odciski stóp przy drzwiach. Wszystko.

Zanim Ruth zdążyła odpowiedzieć, ze schodów szybko zbiegła panna Lingard. Na policzkach miała wypieki i była trochę zaskoczona, widząc Poirota i Ruth stojących razem.

- Przepraszam - powiedziała. - Czy coś się stało?

- Myślę, że pan Poirot zwariował! - wybuchnęła Ruth i wbiegła do jadalni. Panna Lingard zwróciła na Poirota zdumioną twarz.

Poirot potrząsnął głową. - Po śniadaniu - rzekł - wszystko wyjaśnię. Spotkamy się wszyscy w gabinecie sir Gervase'a o dziesiątej.

Powtórzył tę prośbę w jadalni. Susan Cardwell rzuciła na Poirota szybkie spojrzenie, a następnie przeniosła wzrok na Ruth.

- Cóż to za pomysł? - spytał Hugo. Ale zaraz posłusznie umilkł, trącony w bok łokciem Ruth.

Poirot skończył śniadanie, wstał i poszedł do drzwi. Odwrócił się i spojrzał na wielki staroświecki zegar.

- Jest za pięć dziesiąta. Za pięć minut - w gabinecie.

Poirot rozejrzał się dookoła. Byli w komplecie. Otaczał go krąg zaciekawionych twarzy. Stwierdził, że brakowało tylko jednej osoby, która właśnie wślizgnęła się do pokoju. Lady Chevenix-Gore wyglądała mizernie i była wyraźnie zmęczona.

Poirot podsunął jej wielki fotel, na którym zaraz usiadła.

Popatrzyła na stłuczone lustro, potem na okruszki szkła i trochę odwróciła fotel.

- Gervase wciąż jest tutaj - powiedziała stanowczo. -.Biedny Gervase... Wkrótce będzie wolny.

Poirot odchrząknął i oznajmił:

- Wezwałem tutaj państwa, abyście usłyszeli prawdę o śmierci sir Gervase'a.
- To było Przeznaczenie - oświadczyła lady Chevenix-Gore. - Gervase był silny, ale Przeznaczenie okazało się silniejsze.

Pułkownik Bury poruszył się.

- Wando, moja droga...

Uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła rękę.

- Jesteś dla mnie taki miły, Ned - powiedziała miękko.

Ruth przerwała ostro:

- Jeżeli dobrze zrozumieliśmy, panie Poirot, to właśnie ustalił pan definitywnie, że mój ojciec popełnił samobójstwo?

Poirot potrząsnął głową.

- Nie, madame.

- Zatem o co chodzi? Poirot odparł spokojnie:

- Nie mogłem określić śmierci sir Gervase'a Chevenix-Gore'a jako samobójstwa, ponieważ nie popełnił samobójstwa. Nie strzelił do siebie. On został zastrzelony...

- Zastrzelony? - powtórzyło jak echo kilka głosów. Wszystkie twarze obróciły się ku Poirotowi.

- Zastrzelony? - powtórzyła lady Chevenix-Gore. - O nie! - I łagodnie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Powiedział pan: zastrzelony? - teraz powtórzył Hugo. - Niemożliwe. Kiedy włamaliśmy się do pokoju, w środku nikogo nie było. Oszklone drzwi były zamknięte, a drzwi prowadzące do holu również zamknięte na klucz, a klucz znajdował się w kieszeni wuja. W jaki więc sposób został zastrzelony?

- Mimo wszystko został zastrzelony.

- I, jak sądzę, morderca wymknął się przez, dziurkę od klucza? - spytał sceptycznie pułkownik Bury. - Albo uciekł kominem?

- Morderca - rzeki Poirot - wszedł przez oszklone drzwi. Pokażę panu, w jaki sposób. I powtórzył poprzednie doświadczenie z oszklonymi drzwiami.

- Rozumie pan? - rzekł. - Oto, w jaki sposób zostało to zrobione! Od samego początku nie mogłem uznać za prawdopodobne, że sir Gervase popełnił samobójstwo. Był egocentrykiem, a taki człowiek się nie zabija. Ponadto istniały jeszcze inne fakty! Wydawałoby się, że tuż przed śmiercią sir Gervase usiadł przy biurku, nabazgrał na kawałku papieru słowo "przepraszam", a potem zastrzelił się.

Zanim jednak tego dokonał, z jakiejś przyczyny zmienił pozycję fotela, odwracając go bokiem do biurka. Dlaczego? Musiał istnieć jakiś powód. Zacząłem rozumieć, gdy natrafiłem na statuetkę z brązu i okruch stłuczonego lustra...

Zadałem sobie pytanie: w jaki sposób znalazł się tu okruch stłuczonego lustra? I znalazłem odpowiedź - lustra nie stłukła kula, ono zostało stłuczone masywną statuetką z brązu. Rozmyślnie.

Ale po co? Wróciłem do biurka i przyjrzałem się fotelowi. Tak, teraz już wiedziałem. Wszystko było fałszywe. To nie samobójca odwrócił fotel, pochylił się w bok i następnie strzelił do siebie. Wszystko to zostało zaaranżowane. Samobójstwo zostało upozorowane.

I teraz natrafiłem na coś bardzo ważnego. Zeznanie panny Cardwell, która powiedziała, że wczoraj wieczorem szybko zbiegła ze schodów, ponieważ myślała, że zabrzmiał już drugi gong. Inaczej mówiąc, sądziła, że przedtem słyszała pierwszy. Przyjąwszy założenie, że sir Gervase, w czasie gdy został zastrzelony, siedział jak zwykle w fotelu - zastanawiałem się, w co mogła trafić kula? Biegnąc po linii prostej w kierunku drzwi - jeżeli drzwi były otwarte - uderzyła w gong!

Czy widzicie teraz, jak ważne było zeznanie panny Cardwell? Jej pokój jest usytuowany bezpośrednio nad gongiem i ona znajdowała się w najlepszym miejscu, aby go usłyszeć.

Teraz nie wchodzi już w grę możliwość popełnienia samobójstwa przez sir Gervase'a. Nieżywy człowiek nie może wstać, zamknąć drzwi na klucz i ułożyć się w odpowiedniej pozycji! Ktoś jeszcze brał w tym udział i dlatego nie było to samobójstwo, tylko morderstwo. Był to ktoś, czyją obecność sir Gervase łatwo akceptował i kto z nim rozmawiał, stojąc obok. Być może sir Gervase zajęty był pisaniem. Morderca przyłożył lufę pistoletu do jego prawej skroni i wystrzelił. Stało się! A teraz szybko do roboty! Morderca wkłada rękawiczki. Drzwi zamyka na klucz, który wkłada do kieszeni sir Gervase'a. Ale być może ktoś usłyszał odgłos gongu? Jeżeli tak, ktoś może się zorientować, że w chwili strzału drzwi były otwarte, a nie zamknięte. Dlatego morderca odwraca krzesło, układa odpowiednio ciało, palce nieżyjącego zaciska na pistolecie, tłucze rozmyślnie lustro. Opuszcza pokój, wchodząc przez oszklone drzwi, które zatrzaskuje za sobą i odchodzi - nie przez trawnik, lecz przez grządkę z kwiatami, na której później można zatrzeć ślady stóp. Potem okrąży dom i wraca do salonu. Przerwał, a następnie podjął dalej:

- Tylko jedna osoba była w ogrodzie w czasie, gdy padł strzał. Ta sama osoba pozostawiła odciski stóp na grządce kwiatowej i odciski palców na ramie drzwi.

Zwrócił się do Ruth:

- Poza tym miała pani motyw! Pani ojciec dowiedział się o zawartym w tajemnicy małżeństwie i przygotowywał się do wydziedziczenia pani.

- To kłamstwo! - W głosie Ruth brzmiała wyraźnie pogarda. - Nie ma w tej historii ani słowa prawdy. To kłamstwo od początku do końca!

- Istnieją poważne dowody przeciwko pani, madame. Sąd może pani uwierzyć, ale może też nie uwierzyć!

- Ona nie stanie przed sądem.

Wszyscy odwrócili się. Panna Lingard zerwała się z krzesła. Twarz miała zmienioną. Cała się trzęsła.

- To ja go zastrzeliłam. Przyznaję się! Miałam swoje powody. Czekałam na to już od pewnego czasu. Pan Poirot ma rację. Poszłam do niego. Wcześniej zabrałam z szuflady pistolet. Stałam obok niego, mówiąc coś o książce, i zastrzeliłam go. Było chwilę po ósmej. Kula uderzyła w gong. Nigdy nie przypuszczałam, że przejdzie przez jego głowę na wylot. Nie było czasu, aby jej szukać. Zamknęłam drzwi na klucz i klucz wsunęłam mu do kieszeni. Potem obróciłam fotel, stłukłam lustro, nabazgrałam słowo "przepraszam" na skrawku papieru i wyszłam przez oszklone drzwi, zamykając je za sobą w sposób, jaki pokazał pan Poirot. Stałam na grządce kwiatowej, ale zaraz wyrównałam ją małymi grabkami, które tam uprzednio zostawiłam. Potem wróciłam do salonu drzwiami na taras, które specjalnie zostawiłam otwarte. Nie wiedziałam, że Ruth przez nie wyszła. Nie spotkałam jej, musiała okrążyć dom od frontu, podczas gdy ja wróciłam od tyłu. Chciałam najpierw pozbyć się grabek, rzucając je do szopy. W salonie czekałam, aż ktoś zejdzie na dół, Snell podejdzie do gongu, a potem...

Spojrzała na Poirota.

- Nie domyśla się pan, co potem zrobiłam?

- O tak, domyślałam się. W koszu na śmieci znalazłam torebkę. To było bardzo sprytne z pani strony. Zrobiła pani to, co lubią robić dzieci. Nadmuchała pani torebkę i strzeliła z niej. Dało to wystarczająco duży hałas. Potem wyrzuciła pani torebkę do kosza i wybiegła do holu. W ten sposób zasugerowała pani czas popełnienia samobójstwa, stwarzając zarazem dla siebie alibi. Było jednak coś, co panią

zaniepokoiło. Nie miała pani czasu odnaleźć kuli. Musiała leżeć gdzieś w pobliżu gongu. Ważne było, żeby tę kulę znaleziono w gabinecie, gdzieś nie opodal lustra... Nie wiem tylko, kiedy wpadła pani na pomysł, aby wziąć ołówek pułkownika Bury'ego.

- Właśnie wtedy - powiedziała panna Lingard - gdy wchodziliśmy z holu. Byłam zaskoczona, że Ruth jest w pokoju. Musiała wejść oszklonymi drzwiami od strony ogrodu. Potem zauważyłam, że na stoliku brydżowym leży ołówek pułkownika Bury'ego. Wrzuciłam go do torebki. Gdyby potem ktoś zauważył, że podnoszę kulę, mogłabym powiedzieć, że to ołówek. Prawdę mówiąc, byłam pewna, że nikt nie dostrzeże, jak podnosiłam kulę. Rzuciłam ją w pobliżu lustra, w czasie gdy pan oglądał ciało. A kiedy pan poruszył ten problem, byłam bardzo zadowolona, że pomyślałam o zabraniu ołówka.

- Tak, to było pomysłowe. Całkowicie zbiło mnie z tropu.

- Bałam się, że ktoś słyszał prawdziwy strzał, wiedziałam jednak, że wszyscy zajęci byli przebieraniem się do obiadu. Służba znajdowała się w swoich pokojach. Tylko panna Cardwell mogła go usłyszeć, ale liczyłam na to, że pomyśli, że to hałas z zewnątrz. Tak więc mogłam sądzić, że... że wszystko dobrze poszło.

Pan Forbes odezwał się wolno swoim rzeczowym tonem:

- To bardzo sensacyjna historia. Wydaje się jednak, że brak motywu...

Panna Lingard wyjaśniła:

- Miałam motyw... - I dodała gwałtownie: - Idźcie zatelefonować po policję! Na co czekacie?

Poirot powiedział uprzejmie:

- Proszę, aby wszyscy opuścili pokój. Pan Forbes zatelefonuje do majora Riddle'a, a ja poczekam tutaj na niego.

Wolno wychodzili, jeden po drugim. Byli zaszokowani, zdeorientowani i zaskoczeni. Rzucali zawstydzone spojrzenia na elegancką, nienagannie ubraną postać z gładko zaczesanymi siwymi włosami.

Ostatnia wyszła Ruth. W progu zatrzymała się z wahaniem.

- Nie rozumiem - powiedziała wyzywająco i z gniewem natarła na Poirota: - Przed chwilą uważał pan, że ja to zrobiłam?

- Ależ nie, nie. - Poirot potrząsnął głową. - Nigdy tak nie uważałem.

Ruth powoli wyszła.

Poirot pozostał sam z miłą, schludną kobietą w średnim wieku, która przed chwilą wyjaśniła mu perfidnie zaplanowaną i popełnioną z zimną krwią zbrodnię.

- Nie - rzekła panna Lingard. - Pan nie myślał, że ona to zrobiła. Oskarżył ją pan, aby zmusić mnie do mówienia. Mam rację?

Poirot skinął głową.

- Może pan powiedzieć, co spowodowało, że pan mnie podejrzewał? - spytała panna Lingard.

- Wiele szczegółów. Zacząłem od pani stosunków z sir Gervase'em. Taki dumny człowiek, jak sir Gervase, nigdy nie wyrażałby się źle przed kimś obcym o swoim siostrzeńcu, a szczególnie przed kimś, kto zajmował taką pozycję jak pani. Ale chciała pani wzmocnić w nas przekonanie, że to było samobójstwo związane z jakimś kłopotem, który sprawił mu Hugo Trent. A to znowu jest coś takiego, czego sir Gervase nigdy nie omawiałby z kimś obcym. Potem był ten przedmiot, który podniosła pani w holu, oraz bardzo znamieny fakt, że nie wspomniała pani, że Ruth wchodząc do salonu, zrobiła to od strony ogrodu. Potem znalazłem papierową torebkę w koszu na śmieci - przedziwne znalezisko jak na salon takiego domu jak Hamborough Close! Tylko pani znajdowała się w salonie w momencie, gdy zabrzmiał ten strzał. Trik z torebką wskazywał raczej na kobietę niż na mężczyznę - było bardzo pomysłowe i bardzo proste. Wszystko pasowało. Próba skierowania podejrzania na Hugona i próba osłonięcia Ruth - oto mechanizm zbrodni i jej motyw. Siwowłosa kobieta drgnęła.

- Pan zna motyw?

- Myślę, że tak. Szczęście Ruth - to jest motyw! Wyobrażam sobie, że pani wie, co było między Johnem Lake'em a Ruth. Miała pani łatwy dostęp do papierów sir Gervase'a i w ten sposób dotarła pani do projektu jego nowego testamentu, w którym jest zapis, że Ruth zostanie wydziedziczona, jeżeli nie poślubi Hugona Trenta. To zadecydowało, że wzięła pani prawo w swoje ręce, tym śmielej, że sir Gervase napisał przedtem do mnie list. Pani prawdopodobnie czytała kopię tego listu. Co wzbudziło jego podejrzania i strach oraz spowodowało, że do mnie napisał - tego nie wiem. Może podejrzewał, że Burrows lub Lake systematycznie go oszukują. Jakieś aluzje, dotyczące uczuć Ruth, mogły go skłonić do podjęcia prywatnego śledztwa. Wykorzystała pani ten fakt do podsunięcia powodu samobójstwa, sugerując, że był

załamany czymś, co miało związek z Hugonem Trentem. Wysłała pani do mnie telegram i powiedziała nam, że słyszała jak sir Gervase rzeki: "Za późno".

- Gervase Chevenix-Gore terroryzował otoczenie, był nadętym snobem! Nie mogłem dopuścić, aby zniszczył szczęście Ruth.

- Ruth jest pani córką? - spytał cicho Poirot.

- Tak, jest moją córką. Często myślałam o niej... Gdy usłyszałam, że Gervase Chevenix-Gore poszukuje kogoś, kto by mu pomógł napisać rodzinną kronikę, chwyciłam tę szansę. Chciałam być blisko mojego... mojego dziecka. Wiedziałam, że lady Chevenix-Gore nie rozpozna mnie. Widziała mnie wiele lat temu... byłam wtedy młodą i piękną dziewczyną. Od tamtej pory zmieniłam nazwisko. Ponadto lady Chevenix-Gore jest tak mało konkretna, że nigdy niczego nie jest pewna. Lubię ją, ale nienawidzę całej tej rodziny. Potraktowali mnie jak śmieć. A teraz Gervase przez swój snobizm chciał zrujnować życie Ruth. Postanowiłam, że ona musi być szczęśliwa, za wszelką cenę. I będzie - jeśli tylko nie dowie się o mnie!

To była prośba.

Poirot skłonił się uprzejmie.

- Ode mnie nikt niczego się nie dowie.

- Dziękuję - powiedziała cicho panna Lingard.

Po odjeździe policji Poirot odnalazł Ruth Lake z mężem w ogrodzie.

- Czy pan naprawdę myślał, że ja to zrobiłam, panie Poirot? - zwróciła się do niego zaczepnie.

- Wiedziałem, madame, że pani nie mogła tego zrobić, z powodu astrów.

- Jak to astrów? Nie rozumiem.

- Znalazłem cztery odciski stóp, tylko cztery ślady. Jeśli pani ścinała kwiaty, musiało ich być dużo więcej. To znaczyło, że pomiędzy pani pierwszą a drugą wizytą ktoś zataił te ślady. Mogła to zrobić tylko osoba, która była winna. A ponieważ pani ślady nie zostały usunięte, znaczyło to, że jest pani niewinna. Została pani automatycznie oczyszczona z zarzutów.

Twarz Ruth pojaśniała.

- Och, rozumiem. Widzi pan - może to okropne, ale żal mi tej biednej kobiety. Wolą wszystko wyznać, aniżeli dopuścić, aby mnie aresztowano. To bardzo szlachetne. Szkoda, że czeka ją proces o morderstwo.

- Proszę się nie martwić - odparł uprzejmie Poirot. -Może nie dojdzie do procesu. Lekarz powiedział mi, że jest poważnie chora na serce. Daje jej parę tygodni życia...
- Pocieszył mnie pan... - Ruth zerwała kwiat i z roztargnieniem przyłożyła go do policzka.
- Biedna kobieta. Zastanawiam się, dlaczego to zrobiła...

TRÓJKĄT NA RODOS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Herkules Poirot siedział na białym piasku i patrzył na skrzącą się błękitną wodę. Był starannie ubrany w biały flanelowy garnitur, jego głowę chronił wielki kapelusz typu panama. Należał do staromodnego pokolenia, które wierzyło, że należy chronić się przed słońcem. Panna Pamela Lyall, która siedziała przy nim i nieustannie mówiła, reprezentowała nowoczesną szkołę: strój miała ograniczony do minimum i wystawiała brązową skórę na słońce.

Potok słów przerywała co jakiś czas, by natrzeć skórę oliwką ze stojącej obok niej buteleczki.

Niedaleko Pameli Lyall, na jaskrawym pasiastym ręczniku, leżała wyciągnięta na brzuchu jej dobra przyjaciółka, panna Sarah Blake. Opalenizna panny Blake była tak doskonała, że przyjaciółka raz po raz rzucała na nią pełne zazdrości spojrzenia.

- Cała jestem cętkowana - mruknęła z żalem. - Panie Poirot, pomoże mi pan? Ty, poniżej prawej łopatki... Nie mogę się tam posmarować...

Pan Poirot wykonał polecenie, a następnie ostrożnie wytarł chusteczką naoliwioną dłoń. Panna Lyall, której głównym zajęciem w życiu było obserwowanie otaczających ją ludzi i słuchanie własnego głosu, kontynuowała:

- Miałam rację co do tej kobiety, tej w stroju od Chanel, to jest Valentine Dacres. To znaczy Chantry. Natychmiast ją poznałam. Czy nie jest cudowna? Mogę teraz zrozumieć, dlaczego ludzie tak absolutnie za nią szaleją. Ona najwyraźniej tego oczekuje! A to już połowa sukcesu. Ci drudzy, którzy przybyli wczoraj wieczorem, nazywają się Goldowie. On jest szalenie przystojny. - Nowożeńcy w podróży poślubnej? - mruknęła Sarah zduszonym głosem.

Panna Lyall pokręciła głową.

- O nie - jej stroje nie są wystarczająco nowe. Po tym zawsze można rozpoznać pannę młodą! Czy nie sądzi pan, Poirot, że obserwowanie ludzi i na tej podstawie dochodzenie do tego, jacy są, to najbardziej fascynujące zajęcie na świecie?

- Chyba nie tylko, na podstawie obserwacji, moja droga - wtrąciła słodko Sarah. - Ty zadajesz mnóstwo pytań.

- Nie zamieniłam jeszcze nawet jednego słowa z tym Goldem - odparła panna Lyall z godnością. - Dlaczego nie miałabym się interesować bliźniami? Ludzka natura jest po prostu fascynująca. Prawda, panie Poirot?

Tym razem przerwała na dużej, więc Poirot, nie odrywając oczu od błękitnej wody, odrzekł:

- Ça depend*. Pamela była zaskoczona.

- Och, panie Poirot! Nie sądzę, aby było coś bardziej interesującego, coś bardziej nieobliczalnego niż natura ludzka!

- Nieobliczalnego? Co to to nie.

- Ależ tak właśnie jest! Gdy myślisz, że już ich pięknie rozpracowałeś, nagle wywiną ci coś absolutnie zaskakującego.

Herkules Poirot zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, nie, to nieprawda. Bardzo rzadko ktoś robi coś, co nie jest dans son caractere.* I to właśnie w końcu staje się monotonne.

- Absolutnie nie zgadzam się z panem! - zawołała Pamela Lyall.

Zanim przypuściła nowy atak, milczała przez całe półtorej minuty.

- Jak tylko kogoś widzę, zaraz zaczynam się zastanawiać; jacy ci ludzie są, jakie są ich wzajemne stosunki, co myślą, co lubią... To jest... fascynujące.

- Raczej nie - zaprotestował Poirot. - Charaktery powtarzają się częściej, niż to sobie wyobrażamy. Morze - mówił w zadumie - bywa nieskończenie bardziej zaskakujące.

Sarah odwróciła głowę i spytała:

- Sądzi pan, że wśród ludzi powtarzają się pewne wzory? Pewne stereotypy?

- Precisement* - odparł Poirot i zaczął kreślić palcem figurę na piasku.

- Co pan tam rysuje? - spytała Pamela zaciekawiona.

- Trójkąt - rzekł Poirot.

Lecz uwaga Pameli zwróciła się już w innym kierunku.

- Idą Chantry'owie - oznajmiła.

Na plażę schodziła kobieta: wysoka, pewna siebie i świadoma swej urody. Lekko skinęła głową, uśmiechnęła się i usiadła w pewnej odległości. Szkarłatno-żółty jedwabny szal opadł z jej ramion. Miała na sobie biały kostium kąpielowy.

Pamela westchnęła.

- Ależ ma wspaniałą figurę?

Poirot patrzył na twarz trzydziestodwuletniej kobiety, od szesnastu lat uchodzącej za piękność.

Jak każdy, wiedział wszystko o Valentine Chantry. Była sławna z wielu powodów - ze swoich kaprysów, z bogactwa, z ogromnych szafirowobłękitnych oczu, z ryzykownych i awanturniczych małżeństw. Miała pięciu mężów i niezliczoną rzeszę kochanków. Była żoną włoskiego arystokraty, amerykańskiego króla stali, zawodowego tenisisty, rajdowca... Amerykanin zmarł, ale z pozostałymi rozstawała się na rozprawach rozwodowych. Przed sześcioma miesiącami wyszła za mąż po raz piąty: poślubiła kapitana marynarki wojennej.

I to on właśnie, wolno postępując za nią, również schodził na plażę. Milczący, ciemny, z wojowniczo wysuniętą szczęką, o sztywnych ruchach. Było w nim coś z prymitywnego zwierzęcia.

- Tony, kochanie - powiedziała ona - moja papierośnica...

Podał jej papierośnicę, zapalił papierosa, pomógł zsunąć z ramion ramiączka białego kostiumu. Położyła się, nastawiając ramiona ku słońcu. Usiadł obok niej, jak jakaś dzika bestia pilnująca zdobyczy.

- Wie pan, oni strasznie mnie interesują... - powiedziała ściszym głosem Pamela. - On jest taki nieokrzesany! Taki milczący i groźny! Myślę, że kobiety w jej typie lubią mężczyzn przypominających tresowane tygrysy! Zastanawiam się, jak długo to będzie trwało. Mężczyźni szybko się jej nudzą. To częste w dzisiejszych czasach. Ale próba uwolnienia się od niego może okazać się niebezpieczna.

Na plaży pojawiła się nowa para. Wyglądali na skrupowanych. To ci, którzy przybyli wczoraj wieczorem: państwo Goldowie, jak przeczytała panna Lyall w książce hotelowych gości. Poznała też ich imiona i wiek, co - zgodnie z włoskimi przepisami - zostało wynotowane z ich paszportów. Pan Douglas Cameron Gold miał trzydzieści jeden lat, pani Marjorie Emma Gold - trzydzieści pięć.

Życiowym hobby panny Lyall, jak sama przyznała, było studiowanie ludzkich charakterów. W przeciwieństwie do większości swych rodaków wdawała się

rozmowę z obcymi, zanim została im przedstawiona formalnie, jak to jest w zwyczaju Brytyjczyków. Dlatego właśnie, zauważywszy ich nieśmiałość, pierwsza zwróciła się do pani Gold:

- Dzień dobry, mamy wspaniały dzień, prawda? Pani Gold była niskiego wzrostu, niepozorna jak myszka. Nie była brzydka, miała regularne rysy, ładną cerę, jednak jej nieśmiałość sprawiała, że łatwo było jej nie zauważyć. Jej mąż natomiast wyglądał prawie jak gwiazdor. Miał piękne, kręcone jasne włosy, niebieskie oczy, szerokie ramiona, był wąski w biodrach. Wyglądał raczej jak młodzieniec z obrazu niż rzeczywisty. Jednak gdy tylko otwierał usta, wrażenie to zniknęło. Był bardzo naturalny i bezpretensjonalny, a nawet chyba trochę głupi.

Pani Gold spojrzała z wdzięcznością na Pamelę i usiadła blisko niej.

- Jaka wspaniała opalenizna. Czuję się przy pani strasznie blada!

- Bardzo trudno ładnie się opalić - westchnęła pani Lyall i dodała: - Państwo właśnie przyjechali, prawda?

Tak. Wczoraj wieczorem. Przyplłynęliśmy statkiem "Vapo d'Italia".

- Byliście już kiedyś przedtem na Rodos?

- Nie. Pięknie tu, prawda? Jej mąż wtrącił:

- Szkoda, że to tak daleko od Anglii.

- Tak, gdyby to było bliżej Anglii...

- Ale wtedy byłoby to straszne - zaproponowała Sarah. - Tłumy ludzi leżałyby tu jak śledzie na patelni.

Co krok jakieś ciało!

- Tak, oczywiście, to prawda - potwierdził Douglas Gold. - Szkoda tylko, że wymiana jest dla nas taka niekorzystna.

- A to nie jest bez znaczenia, prawda?

Rozmowa stała się całkiem konwencjonalna i trudno by ją było określić jako błyskotliwą.

Niedaleko nich Valentine Chantry poruszyła się i usiadła. Jedną ręką podtrzymywała kostium, zakrywając piersi.

Ziewnęła szeroko, ale wdzięcznie jak kotka. Rozejrzała się od niechcienia po plażę. Jej wzrok prześlizgnął się po Marjorie Gold i zatrzymał się na kędzierzawej złotowłosej głowie Douglasa Golda.

Wężowym ruchem poruszyła ramionami. Jej głos zabrzmiał nieco głośniejszy, niż wymagała tego potrzeba:

- Tony, kochanie, czy nie boskie to słońce? Musiałam kiedyś być czcicielką słońca.

Jej mąż bąknął coś w odpowiedzi, co nie dotarło do sąsiadów. Valentine Chantry kontynuowała podniesionym głosem, przeciągając słowa:

- Kochanie, czy możesz trochę wyrównać ten ręcznik? Z wielką starannością na nowo upozowała się na ręczniku. Douglas Gold patrzył teraz na nich ze szczerym zainteresowaniem.

- Jakaż to piękna kobieta! - zawołała z zachwytem pani Gold.

Pamela, szczęśliwa, że może podzielić się zebranych informacjami, odparła ściszym głosem:

- To Valentine Chantry, dawniej nazywała się Dacres. Jest cudowna, prawda? On szaleje za nią, nie spuszcza z niej wzroku!

Pani Gold rozejrzała się znów po plaży.

- Morze jest doprawdy wspaniałe - powiedziała. - Takie błękitne. Myślę, że powinniśmy się wykąpać. Co ty na to, Douglas?

Jej mąż obserwował wciąż Valentine Chantry i przez kilka minut nie odpowiadał.

- Wykąpać...? O tak, chyba tak... Za chwilę - rzekł w końcu z roztargnieniem.

Marjorie Gold wstała i ruszyła ku wodzie.

Valentine Chantry obróciła się na drugi bok. Patrzyła teraz na Douglasa Golda, a na jej wargi wypłynął omdlewający uśmiech.

Kark pana Douglasa Golda lekko poczerwieniał.

Valentine Chantry powiedziała:

- Tony, kochanie... Czy mnie słuchasz? Chciałabym trochę kremu do twarzy, wiesz, tego, który stoi na toalecie. Muszę go tutaj mieć. Przynies mi go. Zrób to dla mnie, aniołku.

Kapitan wstał posłusznie i skierował się w stronę hotelu.

Marjorie Gold wskoczyła do wody, wołając:

- Jest cudownie, Douglas. Całkiem ciepło! Chodź do mnie!

- Nie idzie pan? - spytała Pamela Lyall.

- Och, poczekam, aż bardziej się nagrzej - odparł wymijająco.

Valentine Chantry poruszyła się. Uniosła głowę i przez chwilę patrzyła w ślad za mężem, który wkrótce zniknął za murem hotelowego ogrodu.

- Najchętniej wchodzę do wody dopiero po południu - wyjaśnił pan Gold.

Pani Chantry znowu usiadła. Chwyliła buteleczkę z olejkim do opalania. Miała pewne trudności z oporną nakrętką.

- O, Boże!... Nie mogę otworzyć! - poskarżyła się, rzucając spojrzenie ku rozłożonemu nieopodal towarzystwu. - Zastanawiam się, czy...

Poirot, zawsze szarmancki, zerwał się na nogi, ale Douglas Gold miał nad nim przewagę młodości. Był szybszy. W jednej chwili znalazł się przy niej.

- Czy mogę pani pomóc?

- O, dziękuję panu... - powiedziała słodkim głosem.

- Jaki pan miły. Jestem taka niezdarna. Zawsze odkręcam w złą stronę. O, już pan odkręcił! Naprawdę, bardzo dziękuję...

Herkules Poirot uśmiechnął się do siebie.

Ruszył wolno plażą w przeciwnym kierunku. Kiedy wracał, pani Gold podплыnęła do brzegu, wyszła z wody i podeszła do niego. Jej twarz pod wyjątkowo niedobranym czepkiem kąpielowym promieniała.

Była zdyszana.

- Kocham morze. A ono tutaj jest tak ciepłe i cudowne.

Pomyślał, że z pewnością jest entuzjastką kąpeli.

- Ja i Douglas mamy fioła na punkcie pływania - powiedziała. - On może siedzieć w wodzie godzinami.

Wzrok Herkulesa Poirota powędrował ponad jej ramieniem ku miejscu, gdzie, rozmawiając z Valentine Chantry, przebywał entuzjasta kąpeli, pan Douglas Gold.

- Nie mam pojęcia, dlaczego nie przyszedł... - powiedziała jego żona. W jej głosie zabrzmiało dziecinne zakłopotanie.

Oczy Poirota spoczęły w zamyśleniu na Valentine Chantry. Pomyślał, że niejedna kobieta czyniła taką samą uwagę.

Usłyszał, jak obok niego pani Gold westchnęła.

- Ona, jak sądzę, jest bardzo atrakcyjna - powiedziała, a w jej głosie czuło się chłód. - Ale Douglas nie lubi tego typu kobiet.

Herkules Poirot nie odpowiedział. Pani Gold wskoczyła znowu do wody.

Płynęła wolno, powoli oddalając się od brzegu. Widać było, że lubi wodę.

Poirot skierował kroki ku grupie na plaży, do której dołączył teraz generał Barnes, stary weteran, lubiący towarzystwo młodzieży. Usiadł teraz pomiędzy Pamelą i

Sarah, a ta pierwsza natychmiast zaczęła z nim analizować różne, przyprawione odpowiednim sosem skandale.

Kapitan Chantry powrócił z kremem. Siedzieli z Douglasem Goldem po obu stronach Valentine.

Ona zaś wyprostowana, prowadziła z nimi ożywioną rozmowę. Mówiła lekko, perliście, słodkim głosem, zwracając się to do jednego, to do drugiego mężczyzny. Właśnie kończyła jakąś opowieść: - ...i jak sądzisz, co ten wariat odpowiedział? "Widzieliśmy się tylko przez chwilę, ale będę panią pamiętał, gdziekolwiek się znajdę, mamciu!" Prawda, Tony? Wiesz, myślę, że to było z jego strony słodkie. Świat jest taki piękny; wszyscy zawsze są dla mnie tacy mili. Nie wiem, dlaczego, ale właśnie tacy są. Powiedziałam więc wtedy do Tony'ego - pamiętasz, kochanie?: "Tony, jeśli chcesz być ciut-ciut zazdrosny, możesz być zazdrosny o tego portiera". On był taki cudowny...

Po chwili milczenia Douglas Gold wtrącił:

- Niektórzy z tych portierów... to porządni faceci.
- O tak... A przy tym wychodzą ze skóry, żeby mi się przysłużyć... Wydaje się, że znajdują w tym wielką przyjemność.
- Nic dziwnego - odparł Douglas Gold. - Jestem pewny, że każdy chciałby to robić.

Roześmiała się rozkosznie.

- Jaki pan miły! Tony, słyszysz? Kapitan Chantry coś mruknął.

Jego żona westchnęła.

- Tony nigdy nie mówi zbyt wiele... Prawda, moje jagniątko?

Jej białe dłonie z długimi czerwonymi paznokciami zagłębiły się w jego czarnej czuprynie. Rzucił jej z ukosa spojrzenie.

- Doprawdy, nie wiem, jak on ze mną wytrzymuje - mruknęła. - Jest taki mądry... Ma taką głowę! Ja przez cały czas plotę nonsensy, a on tego nie dostrzega. Nikt nie ma mi za złe tego, co robię albo co mówię; wszyscy mnie rozpieszczają. Psują mnie okropnie.

- To pańska żona pływa tam w morzu? - spytał Golda kapitan Chantry.

- Tak. Chyba już czas, żebym się do niej przyłączył.

- Tak przyjemnie jest tutaj na słońcu - zamruczała Valentine. - Niech pan nie idzie jeszcze do wody. Tony, kochanie, nie sądzę, abym mogła się dzisiaj kąpać... Nie pierwszego dnia. Mogłabym dostać dreszczy czy czegoś takiego. Ty jednak możesz

iść, Tony, kochanie, prawda? Tymczasem pan Gold zostanie i dotrzyma mi towarzystwa.

- Nie, dziękuję - odparł trochę ponuro Chantry.

- Jeszcze nie pójdę. Zdaje mi się, że żona pana wzywa, panie Gold.

- Pana żona dobrze pływa - zauważyła Valentine.

- Jestem pewna, że jest jedną z tych bardzo sprawnych kobiet, które wszystko robią doskonale. Zawsze się takich kobiet bałam, ponieważ czuję, że mną gardzą. Jestem we wszystkim strasznie niezręczna, jestem zupełną niezdara, prawda, Tony, kochanie?

Kapitan Chantry znowu coś mruknął.

- Jesteś zbyt słodki, aby to potwierdzić - szepnęła czule jego żona. - Mężczyźni są cudownie lojalni, to najbardziej w nich lubię. Bardziej lojalni niżeli kobiety. I nigdy nie mówią nieprzyjemnych rzeczy. Zawsze twierdzą, że kobiety są trochę małostkowe.

Sarah Blake przysunęła się do Poirota i syknęła przez zęby:

- To rzeczywiście małostkowe sugerować, że nasza droga pani Chantry nie jest chodzącą doskonałością! To kompletna idiotka. Chyba największa, jaką kiedykolwiek spotkałam. Nie potrafi nic zrobić, umie tylko mówić "Tony, kochanie" i wywracać oczami. Wyobrażam sobie, że zamiast mózgu ma watę.

Poirot uniósł brwi. - Un peu severe!*

- O tak. Złośliwa jak jędra. Z pewnością ma swoje metody! Czy nie może przepuścić żadnemu mężczyźnie? Jej mąż wygląda jak chmura gradowa. - Spojrzała na morze.

Poirot zauważył:

- Pani Gold dobrze pływa.

- Tak, jej nie przeszkadza to, że się pomoczy. Zastanawiam się, czy pani Chantry w ogóle wejdzie do wody w czasie swojego pobytu tutaj.

- Nie wejdzie - wtrącił generał Barends. - Woli nie ryzykować utraty makijażu. Nie jest brzydka, chociaż już nie jest taka młoda.

- Akurat patrzy na pana, generale - zauważyła Sarah ze złośliwą satysfakcją. - Ale myli się pan co do makijażu, w dzisiejszych czasach mamy już makijaż wodoodporny, a także pocałunkoodporny.

- Pani Gold wychodzi z wody - oznajmiła Pamela.

- Ty sobie tu siedzisz spokojnie jak trusia - zanuciła Sarah - a już idzie żoneczka zabrać mężusia... zabrać mężusia... zabrać mężusia...

Pani Gold szła plażą. Miała całkiem ładną figurę, lecz jej czepek kąpielowy był zbyt pospolity i zbyt praktyczny, aby mógł być atrakcyjny.

- Nie idziesz, Douglas? - dopytywała się niecierpliwie. - Morze jest cudownie ciepłe.
- Już idę, już idę.

Douglas Gold zerwał się na nogi. Valentine Chantry posłała mu słodki uśmiech.

- Au revoir* - powiedziała. Gold z żoną odeszli.

Gdy oddalili się poza zasięg głosu, Pamela zauważyła krytycznie:

- Wie pan, nie powiem, żeby to było mądre. Odciąganie męża od innej kobiety jest zawsze złą polityką. Żona wydaje się wtedy taka zaborcza, a mężowie tego nie cierpią.

- Wydaje mi się, że pani dużo wie o mężach, panno Pamelo - rzekł generał Barnes.

- O mężach innych kobiet, nie o własnym!

- No, tak. A to wielka różnica.

- Tak, generale, ale obserwuję i uczę się, czego nie należy robić.

- No, moja droga - wtrąciła Sarah - ja w każdym razie nie włożyłabym czegoś takiego na głowę, jak ten czepek.

- Według mnie wygląda na bardzo rozsądną - powiedział generał. - Miła, rozsądna kobietka.

- Dobrze pan to określił, generale - zgodziła się Sarah. - Istnieją jednak zawsze granice rozsądku. A wydaje mi się, że gdy idzie o Valentine Chantry, pani Gold nie będzie nazbyt rozsądna. - Odwróciła głowę i szepnęła podekscytowana: - Spójrzcie na niego teraz. Jak chmura gradowa. Ten mężczyzna sprawia wrażenie, jakby był piekielnie wściekły...

Istotnie, kapitan Chantry patrzył pełnym złości wzrokiem za odchodzącą parą. Susan spojrzała na Poirota.

- I co? - zapytała. - Co pan o tym wszystkim myśli?

Herkules Poirot milczał, tylko jeszcze raz nakreślił palcem figurę na piasku. Była to ta sama figura - trójkąt.

- Odwieczny trójkąt - powiedziała w zadumie Susan. - Może ma pan rację. Jeżeli tak jest, następne tygodnie zapowiadają się ciekawie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Herkules Poirot był rozczarowany Rodos. Przyjechał tu na urlop, aby wypocząć, szczególnie od zbrodni. W końcu października jak mu powiedziano, Rodos jest prawie pusty. Spokojne miejsce. Była to nieomal prawda. Chantry'owie, Goldowie, Pamela i Susan, generał i dwóch Włochów - to jedyni goście. Lecz w tym ograniczonym kręgu ludzi inteligentny umysł Poirota dostrzegał nieuniknione konflikty.

- Stale myślę o zbrodni - rzekł do siebie z wyrzutem. - To pewnie wynik niestrawności! I nadmiernej wyobraźni.

Jednak niepokój pozostał.

Pewnego poranka po zejściu na dół zastał na tarasie panią Gold, siedzącą z robótką w ręce.

Podchodząc do niej, miał wrażenie, że mignęła mu szybko ukryta batystowa chusteczka.

Oczy pani Gold były suche, ale podejrzanie błyszcząły. Uderzyło go też, że smutek ukrywa pod maską przesadnej wesołości.

- Dzień dobry, panie Poirot - powiedziała z takim entuzjazmem, że wzbudziło to jego podejrzenia.

To niemożliwe, aby aż tak bardzo ucieszyła się z powodu jego obecności na tarasie. Przecież mimo wszystko nie znała go zbyt dobrze. I chociaż Herkules Poirot był próżny na punkcie swoich zdolności, całkowicie zdawał sobie sprawę, że nie jest atrakcyjny jako mężczyzna.

- Dzień dobry, madame - odpowiedział. - Mamy następny piękny dzień.

- Tak. Czy to nie wspaniałe? Jednak ja i Douglas zawsze mamy szczęście jeśli chodzi o pogodę.

- Naprawdę?

- Tak. Jesteśmy z sobą bardzo szczęśliwi. Widzi pan, panie Poirot, jeżeli ktoś widzi wokół tyle nieszczęść i zmartwień, tyle rozwodów i innych tego rodzaju rzeczy, wówczas bardziej docenia własne szczęście.

- Miło mi to słyszeć od pani, madame.

- Tak. Douglas i ja jesteśmy cudownie z sobą szczęśliwi. Nasze małżeństwo trwa już pięć lat, a pięć lat w dzisiejszych czasach to długi okres.

- Nie mam wątpliwości, że niekiedy może wydawać się wiecznością, madame - powiedział sucho Poirot.

- Ale ja naprawdę wierzę, że teraz jesteśmy szczęśliwsi, aniżeli zaraz po ślubie. Widzi pan, my absolutnie we wszystkim pasujemy do siebie.

- Tak, to oczywiście jest najważniejsze.

- I dlatego tak żal ludzi, którzy nie są szczęśliwi.

- Ma pani na myśli...

- Och, mówię ogólnie, panie Poirot.

- Rozumiem, rozumiem.

Pani Gold chwyciła jedwabną nitkę, podniosła do światła, sprawdziła kolor i mówiła dalej:

- Na przykład pani Chantry...

- Co - ;pani Chantry?

- Nie sądzę, żeby to była w sumie miła kobieta.

- Tak. Być może nie jest miła.

- Prawdę mówiąc, jestem zupełnie pewna, że nie jest. Z drugiej strony jednak czuję, że mi jej żal. Pomimo że ma pieniądze, urodę i tak dalej... - Ręce pani Gold trzęsły się, nie pozwalając na kontynuowanie robótki. - Jednak mężczyźni nie trzymają się długo kobiet tego typu. Myślę, że bardzo łatwo mogą znudzić się takim towarzystwem. Pan tak nie sądzi?

- Sądzę, że po pewnym okresie rozmowa z nią mogłaby stać się męcząca - odparł ostrożnie Poirot.

- Ja też tak myślę. Ona, oczywiście, w pewnym sensie może się podobać... Pani Gold zawahała się, jej wargi drżały, ręce chaotycznie obracały robótkę. Nawet mniej uważny obserwator, niż Poirot nie mógłby nie zauważyć jej rozpaczki. Kontynuowała bez związku:

- Mężczyźni są jak dzieci! Wierzą we wszystko... Pochyliła się nad robótką. Znowu mignęła batystowa chusteczka.

Herkules Poirot uznał, że należy zmienić temat.

- Nie kąpie się dziś pani? - zapytał. - A czy małżonek zszedł na plażę?

Pani Gold podniosła głowę i rzuciła mu szybkie, prawie wyzywające spojrzenie.

- Nie, nie dziś rano. Zaplanowaliśmy przechadzkę wzdłuż murów starego miasta. Ale jakoś... zgubiliśmy się. I oni wyruszyli beze mnie.

Zaimek dużo wyjaśniał. Lecz zanim Herkules Poirot zdołał coś powiedzieć, od strony plaży wynurzył się generał Barnes i opadł na pobliski fotel.

- Dzień dobry, pani Gold. Dzień dobry, Poirot. Cóż to, państwo zdezerterowali? Dzisiaj w ogóle większość nieobecna... również tamtych dwoje - pani mąż, pani Gold, i pani Chantry.

- A kapitan Chantry? - spytał mimochodem Poirot.

- O nie, on jest na dole. Panna Pamela wzięła go w obroty. - Generał zachichotał. - Ma z nim małe trudności. To twardy, milczący facet. O takich czyta się w książkach. Marjorie Gold powiedziała drżącym głosem:

- Ten człowiek trochę mnie przeraża. On... On czasami wydaje się taki ponury. Jakby zdolny był do... wszystkiego! - Zadrżała.

- To tylko niestrawność, jak sądzę - rzekł wesoło generał. - Niestrawność powoduje u wielu ludzi romantyczną melancholię albo nieposkromione szaleństwo.

Marjorie Gold skwitowała to słabym, uprzejmym uśmiechem.

- A gdzie podziewa się pani wspaniały małżonek? - zapytał generał.

Odpowiedziała bez namysłu naturalnym, wesołym tonem:

- Douglas? Och, razem z panią Chantry poszedł do miasta. Przypuszczam, że chcieli obejrzeć mury starego miasta.

- Mhm, tak... To bardzo interesujące. Średniowiecze i tak dalej. Pani też to powinna zobaczyć, moja mała.

Pani Gold odpowiedziała:

- Obawiam się, że na razie nie. Może trochę później. Nagle wstała i mrużąc słowa przeprosin, weszła do hotelu.

Generał Barnes, potrząsając głową, patrzył w ślad za nią, zaniepokojony.

- Bardzo miła kobietka. Warta więcej niż tuzin malowanych fląder, takich jak ta, której nazwiska nie będziemy wymieniać. Mhm! Jej mąż jest głupi! Sam nie wie, jak ma dobrze.

Znowu potrząsnął głową. Potem wstał i podszedł do drzwi.

Właśnie wróciła z plaży Sarah Blake i usłyszała ostatnie słowa generała.

Po odejściu generała poprawiła makijaż i zauważyła, opadając na fotel:

- Miła kobietka... Miła kobietka! Mężczyźni zawsze tak mówią o zaniedbanych kobietach. Ale jak przyjdzie co do czego, to zawsze wygra malowana flądra. Smutne, ale prawdziwe.

- Mademoiselle - powiedział szorstko Poirot. - To wszystko mi się nie podoba!

- Nie podoba się panu? Mnie też. Chociaż nie, będę ucziwa. Mnie się podoba. Jest w nas ta odrażająca cecha, że cieszymy się z wypadków, a także szeregu innych nieprzyjemnych rzeczy, jakie zdarzają się naszym przyjaciółom.

- Gdzie jest kapitan Chantry? - spytał Poirot.

- Pamela robi jego sekcję na plaży, świetnie przy tym się bawiąc, co wcale nie poprawia mu humoru. Kiedy odchodziłam, wyglądał jak gradowa chmura. Proszę mi wierzyć, że zanosí się na burzę.

- Jest coś, czego nie rozumiem... mruknął Poirot.

- Niełatwo to zrozumieć - przyznała Sarah. - Pytanie, co się teraz wydarzy?

Poirot potrząsnął głową i zamruczał: - Krótko mówiąc, mademoiselle, niepokoi się pani o nadchodzącą przyszłość?

- Trafne spostrzeżenie - stwierdziła Sarah i weszła do hotelu.

W drzwiach zderzyła się niemal z Douglasem Goldem. Młody człowiek sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, ale jednocześnie jakby trochę winnego.

- Dzień dobry, panie Poirot - powiedział i dodał trochę usprawiedliwiająco: - Pokazywałem pani Chantry mury krzyżowców. Marjorie nie czuła się dobrze i nie poszła z nami.

Brwi Poirota uniosły się nieznacznie, lecz jeśli nawet chciał coś powiedzieć, nie zdążył, gdyż pojawiła się Valentine Chantry i zawołała:

- Douglas! Dla mnie dzin z tonikiem - bezwzględnie muszę zaraz dostać dzinu z tonikiem.

Douglas Gold wrócił zamówić dzin. Valentine opadła na fotel obok Poirota. Promieniowała.

Ujrawszy męża i Pamelę, pomachała ręką i zawołała:

- Miałaś dobrą kąpiel, Tony, kochanie? Czy nie wspaniały ranek?!

Kapitan Chantry nie odpowiedział. Minął żonę bez słowa i, nie patrząc na nią, zniknął w barze. Dłonie zaciśnięte miał w pięści.

Piękne usta Valentine Chantry pozostały trochę głupio otwarte. Zaskoczona, powiedziała tylko:

- Och!

Twarz Pameli Lyall wyrażała szczerą radość z powstałej sytuacji. Maskując się, na ile tylko to było możliwe, usiadła przy Valentine Chantry i spytała:

- Przyjemnie pani spędziła ranek? Kiedy Valentine zaczęła:

- Wprost cudownie. Poszliśmy...

Poirot wstał i wolno skierował się do baru. Zastał tu zaczerwienionego Golda, czekającego na dżin z tonikiem. Sprawiał wrażenie, że jest wściekły.

- Ten facet to nieokrzeseane bydlę! - Wskazał w kierunku kapitana Chantry.

- To możliwe - rzekł Poirot. - Tak, co całkiem możliwe. Ale trzeba pamiętać, że les femmes lubią takich nieokrzesańców!

- Nie byłbym zaskoczony, gdyby ją źle traktował! - zagrmiał Douglas.

- Ona prawdopodobnie to lubi.

Douglas Gold spojrzał na niego z zakłopotaniem, wziął swój dżin i wyszedł.

Herkules Poirot usadowił się za barem i zamówił syrop z czarnej porzeczki. Kiedy pił z prawdziwą przyjemnością, wszedł Chantry i szybko wychylił kilka dżinów z tonikiem.

Nagle wyrzucił z siebie, mówiąc raczej w przestrzeń niż do Poirota:

- Jeżeli Valentine myśli, że może mnie nabierać jak tych wszystkich cholernych głupców, to się myli! Jest moja i zatrzymam ją. Nikt jej nie dostanie, chyba, że po moim trupie.

Rzucił kilka monet, odwrócił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Trzy dni później Poirot wybrał się na Górę Proroka. Przyjemnie jest iść przez chłodne, złoto-zielone jodłowe lasy, pnące się wyżej i wyżej, daleko ponad mało ważne ludzkie nieporozumienia i kłótnie. Samochód został przy restauracji. Poirot wysiadł i poszedł przez las. Wreszcie osiągnął wierzchołek i wydawało mu się, że jest prawie na szczycie świata. W dole rozpościerał się głęboki, oślepiający błękit morza. Tu nareszcie miał spokój. Z dala od trosk, ponad całym światem. Złożywszy ostrożnie palto na pniu, Poirot usiadł.

"Niewątpliwie le bon Dieu wiedział, co robi. Lecz dziwne, że pozwolił sobie na stworzenie takiej istoty jak człowiek. Eh bien, tu przynajmniej wreszcie jestem poza tymi irytującymi problemami" - rozmyślał.

Nagle spojrzał zaskoczony. W jego kierunku biegła Marjorie Gold w brązowej spódnicy i w płaszczu. Twarz miała mokrą od łez.

Poirot nie mógł uciec. Już go dopadła.

- Panie Poirot, musi mi pan pomóc. Jestem taka nieszczęśliwa, że nie wiem, co robić!
Och, co ja mam zrobić? Co robić?

Patrzyła na niego błagalnie, kurczowo trzymając go za rękaw płaszcza. Potem, jakby przestraszyło ją coś w jego twarzy, cofnęła się nieco:

- Co... Co to ma znaczyć? - wymamrotała.

- Chce pani mojej rady, madame? O to pani chodzi?

- Tak... tak... - wyjąkała.

- Eh bien, oto moja rada - powiedział krótko - proszę natychmiast stąd wyjechać.
Zanim będzie za późno.

- Jak to?

- Niech mnie pani posłucha i opuści tę wyspę.

- Mam wyjechać z wyspy?

Patrzyła na niego w osłupieniu.

- Tak właśnie powiedziałem.

- Ale dlaczego... Dlaczego?

- Taka jest moja rada... Jeżeli ceni pani swoje życie.

Wzdrygnęła się.

- Och! Co pan chce przez to powiedzieć? Pan mnie przeraża... Pan mnie przeraża...

- Tak, odrzekł poważnie Poirot. - To właśnie było moim zamiarem.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Ale nie mogę! On nie wyjedzie! Douglas na pewno nie zechce. Ona mu nie pozwoli. Zawładnęła jego... ciałem i duszą. Nikogo poza nią nie chce słuchać... Oszalał na jej punkcie. Wierzy we wszystko, co ona mówi - że mąż znęca się nad nią, że ją krzywdzi, że nikt nigdy jej nie rozumiał... O mnie już w ogóle nie myśli. Nie liczę się dla niego, nie istnieję dla niego. Chce, żebym dała mu wolność... Aby dała mu rozwód. Wierzy, że ona też się rozwiedzie i wyjdzie za niego. Ale obawiam się, że... Chantry nie odejdzie. To nie ten typ mężczyzny. Wczoraj wieczorem pokazała Douglasowi siniec na ramieniu i powiedziała, że zrobił go jej mąż. Douglas omal nie wyszedł z siebie. On jest taki rycerski... Och! Boję się! Co teraz będzie? Niech mi pan pomoże. Co ja mam zrobić?

Herkules Poirot patrzył na rysujące się za wodą błękitną linię wzgórz dalekiego brzegu Azji.

- Już powiedziałem. Proszę opuścić wyspę, zanim będzie za późno...

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę... Nie mogę... Chyba że Douglas...

Poirot westchnął. Wzruszył ramionami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Herkules Poirot siedział na plaży razem z Pamelą Lyall.

- Trójkąt rysuje się coraz wyraźniej! - powiedziała z wyraźnym upodobaniem. - Wczoraj wieczorem siedzieli przy niej obaj... I płonęli! Chantry pił za dużo. Wyraźnie ubliżał Douglasowi Goldowi. Gold zachowywał się bez zarzutu, trzymał nerwy na wodzy. Valentine, oczywiście, była tym ubawiona. Pomrukiwała jak tygrys ludojad. Jak pan myśli, co się teraz stanie?

Poirot potrząsnął głową.

- Boję się. Bardzo się boję...

- Och, wszyscy się tego boimy - zauważyła obłudnie panna Lyall. - To coś z pana dziedziny. A przynajmniej na to się zanosi. Czy nic nie może pan na to poradzić?

- Już zrobiłem, co mogłem.

Panna Lyall pochyliła się do przodu z ożywieniem.

- A co pan zrobił? - zapytała wyraźnie podniecona.

- Poradziłem pani Gold, aby opuściła wyspę, zanim będzie za późno.

- Więc... Więc pan myśli, że... - przerwała.

- Tak, mademoiselle!

- A więc myśli pan, że właśnie to się stanie! - powiedziała wolno Pamela. - Ale on tego nigdy nie zrobi... Jest bardzo miły. Wszystko przez tę Chantry. On nie może... Nie może tego zrobić...

Znowu przerwała i potem dodała cicho:

- Morderstwo? To właśnie miał pan na myśli?

- Mogę pani zaręczyć, że ktoś to właśnie ma na myśli.

Pamela nagle zadrżała.

- Nie wierzę - rzekła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wypadki, które wydarzyły się dwudziestego dziewiątego października, były zupełnie jasne.

Zaczęło się od sceny między dwoma mężczyznami - Goldem i Chantrym. Głos Chantry'ego brzmiał coraz donośniej i ostatnie słowa słyszały cztery osoby: kasjer, zarządca, generał Barnes i Pamela Lyall.

- Ty cholerna świni! Jeżeli ty i moja żona myślicie, że możecie mnie wykiwać, to się mylicie! Dopóki żyję, dopóty Valentine pozostanie moją żoną!

Potem wypadł z hotelu z twarzą wykrzywioną z wściekłości. Miało to miejsce przed obiadem. Po obiedzie nastąpiło pojednanie, ale nikt nie wiedział, jak do tego doszło. Valentine zaprosiła Marjorie Gold na wieczorną przejażdżkę. Poszły z nimi Pamela i Sarah. Gold grał z Chantrym w bilard. Potem w holu przyłączył się do nich Herkules Poirot i generał Barnes.

Prawie przez cały czas twarz Chantry'ego była uśmiechnięta i opanowana.

- Miał pan szczęście w grze? - spytał generał.

Kapitan odpowiedział:

- Ten facet jest dla mnie za dobry! Wygrał z dużą przewagą.

Douglas Gold sprostował skromnie:

- Zwyczajny fuks. Zapewniam pana, że to był tylko przypadek. Czego się napijecie? Pójdę i zamówię u kelnera dla wszystkich.

- Dla mnie dżin.

- Dobrze. A pan, generale?

- Dziękuję, wolę whisky z wodą sodową.

- Ja również. A dla pana, Poirot?

- Jest pan bardzo uprzejmy. Proszę o sirop de cassis.

- Sirop... przepraszam?

- Sirop de cassis. To jest syrop z czarnej porzeczki.

- Ach, likier! Rozumiem. Chyba go tu mają? Sam nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Mają, ale to nie jest likier.

Douglas Gold powiedział z uśmiechem:

- Dziwne upodobanie... ale niech każdy się truje tym, co najbardziej lubi. Idę zamówić.

Kapitan Chantry usiadł. Nie był z natury rozmowny i towarzyski, ale starał się, jak mógł.

- Przykre, że nie mamy tu dostępu do najświeższych wiadomości - zauważył.
- Tak, nie mogę powiedzieć, aby "Continental Daily Mail" sprzed czterech dni był dla mnie użyteczny - zgodził się generał. - Oczywiście, co tydzień wysyłają mi "Timesa" i "Puncha", ale i one idą tu diabelnie długo.
- Zastanawiam się, czy będziemy mieli jakiś wpływ na palestyńskie wybory powszechne?

- Źle pokierowaliśmy całą tą sprawą - zauważył generał, gdy Douglas, poprzedzony przez kelnera, wrócił z drinkami.

Generał zaczął opowiadać jakąś anegdotę związaną ze swoją wojenną karierą w Indiach w roku 1905. Obaj Anglicy słuchali uprzejmie, lecz bez większego zainteresowania. Herkules Poirot wolno popijał swój sirop de cassis.

Generał dotarł do puenty i wszyscy z obowiązku się zaśmiali.

W drzwiach pojawiły się panie. Wszystkie cztery demonstrowały dobry nastrój. Śmiały się i rozmawiały z sobą.

- Tony, kochanie, przejażdżka była taka cudowna - wykrzyknęła Valentine i osunęła się na fotel. - Pani Gold miała wspaniały pomysł. Wy też powinniście byli pojechać!

- Czego się napijecie? - spytał jej mąż. I spojrzał pytająco na pozostałe panie.

- Dla mnie dżin z tonikiem, kochanie - powiedziała Valentine.

- Dżin i piwo imbirowe - powiedziała Pamela.

- Dla mnie to samo - oświadczyła Sarah.

- Dobrze. - Chantry wstał, postawił przed żoną swoją szklankę z nie tkniętym dżinem z tonikiem. - Weź ten. Ja dla siebie zamówię drugi. A co dla pani? - zwrócił się do Marjorie Gold.

Pani Gold z pomocą męża zdejmowała płaszcz. Odwróciła się z uśmiechem.

- Jeżeli można, poproszę oranżadę.

- Dobrze. Może być oranżada.

Podszedł do drzwi. Pani Gold uśmiechnęła się do męża.

- Było tak miło, Douglas. Myślałam, że pojedziesz z nami.

- Teraz żałuję. Ale jutro możemy powtórzyć przejażdżkę.

I znowu uśmiechnęli się do siebie. Valentine Chantry podniosła szklankę z dżinem i wypila.

- Ooo! Tego mi było potrzeba - westchnęła. Douglas Gold wziął płaszcz Marjorie i odłożył na kanapę. Gdy wracał do towarzystwa, zauważył, że Valentine Chantry niemal leży odchyłona do tyłu w fotelu. Jej wargi były sine, ręce przyciskała do piersi.

- Co się stało? - zapytał szybko.

- Czuję... Czuję się okropnie...

Ciężko dyszała, rozpaczliwie chwytając powietrze. Do pokoju wrócił Chantry. Przyspieszył kroku. - Halo, Val, co się stało?

- Nie... nie wiem... Ten dżin - dziwnie smakował...

- Dżin z tonikiem?

Chantry odwrócił się, twarz miał zmienioną. Chwytał Douglasa Golda za ramię.

- To był mój dżin... Gold, co, u diabła, wypiłeś do niego?

Douglas Gold wpatrywał się w wykrzywioną twarz kobiety leżącej w fotelu. Śmiertelnie pobladł.

- Ja... ja... nigdy... - wyjąkał.

Valentine Chantry zsunęła się z fotela.

- Lekarza! Szybko! - wykrzyknął generał Barnes.

Pięć minut później Valentine Chantry nie żyła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka nikt się nie kąpał. Pamela Lyall, blada, w skromnej ciemnej sukni, chwyciła Herkulesa Poirota w holu i zaciągnęła go do małego gabinetu położonego na uboczu.

- To straszne! - powiedziała! - straszne! Pan uprzedzał! Przewidział pan morderstwo!

Pochylił głowę z powagą.

- Och! - wykrzyknęła i tupnęła nogą. - Mógł pan temu zapobiec! Tego można było uniknąć!

- W jaki sposób? - spytał Herkules Poirot.

Zaskoczyło ją to pytanie.

- Nie mógł pan komuś o tym powiedzieć?... Wezwać policji?

- I co miałem im powiedzieć? Co można powiedzieć, zanim cokolwiek się stanie? Że ktoś planuje morderstwo? Mogę panią zapewnić, mon enfant*, że jeśli jakiś człowiek planuje zamordowanie innego człowieka...

- No to mógł pan ostrzec ofiarę - nacierała Pamela.
- Czasami ostrzeżenia są bezużyteczne - rzekł Herkules Poirot.
- Mógł pan przestrzec mordercę - powiedziec mu, że zna pan jego zamiary...
Poirot przytaknął z uznaniem.
- Tak... To już lepiej. Lecz należy się liczyć z główną ułomnością morderców.
- To znaczy?
- Próżnością! Przestępcy nigdy nie wierzą, że im się nie uda.
- Ależ to absurd... To głupota! - wykrzyknęła Pamela. - Cała ta zbrodnia była dziecinnie głupia! Policja już wczoraj wieczorem aresztowała Douglasa Golda.
- Tak... - powiedział Poirot zamyślony. - Douglas Gold to bardzo głupi młody człowiek.
- Niewiarygodnie głupi! Słyszałam, że znaleźli resztę trucizny... Co to było?
- Odmiana strofantyny. Bardzo silna trucizna.
- I znaleźli resztki w kieszeni jego marynarki?
- To prawda.
- Niewiarygodnie głupi! - powtórzyła Pamela. - Może chciał się jej pozbyć, ale sparaliżował go szok, że została otruta niewłaściwa osoba. Jakaż to byłaby wspaniała scena dla teatru. Kochanek wrzuca do szklanki męża strofantynę, a następnie - kiedy tego nie widzi - zamiast niego wypija żona... To upiorny moment: Douglas Gold odwraca się i stwierdza, że zabił kobietę, którą kochał...
Zadrzała.
- To pański trójkąt. Odwieczny trójkąt! Kto mógł przewidzieć, że to się tak skończy?
- Ja się tego właśnie obawiałem - mruknął Poirot.
- Ostrzegł pan panią Gold. Dlaczego nie ostrzegł pan również i jego?
- Chce pani zapytać, dlaczego nie ostrzegłem Douglasa Golda?
- Nie. Miałam na myśli kapitana Chantry'ego. Mógł pan powiedzieć, że grozi mu niebezpieczeństwo. Poza tym to on był prawdziwą przeszkodą! Nie mam wątpliwości, że Douglas Gold sądził, że zmusi żonę, aby dała mu rozwód. Ta mała kobietka o łagodnym charakterze bardzo go kochała. A Chantry to uparty szatan. Nie zamierzał zwrócić Valentine wolności.
Poirot wzruszył ramionami.
- Moja rozmowa z Chantry'm byłaby bezcelowa - rzekł.

- Może i tak - przyznała Pamela. - Prawdopodobnie powiedziałyby, żeby zajął się pan własnymi sprawami, i wysłał pana do diabła. Czuję jednak, że coś trzeba było zrobić.

- Uważałem - powiedział wolno Poirot - że trzeba przekonać Valentine Chantry, aby opuściła wyspę, jednak obawiałem się, że mnie nie posłucha. Była za głupia i nie pojęłaby, o co mi chodzi. *Pauvre femme*. Zabiła ją jej głupota.

- Nie wierzę, by coś to dało, gdyby opuściła wyspę - oświadczyła Pamela. - On z pewnością podążyłby za nią.

- O kim pan mówi?

- O Douglasie Goldzie.

- Sądzi pani, że Douglas Gold pojechałby za nią? O nie, *mademoiselle*, pani się myli. Pani myli się całkowicie. Jeszcze pani nie dostrzegła prawdy? Gdyby Valentine Chantry opuściła wyspę, wyjechałby również i jej mąż.

Pamela spojrzała z zaciekawioną.

- Ależ to zupełnie oczywiste.

- A wówczas zbrodnia również zostałaaby popełniona, tyle że gdzie indziej.

- Nie rozumiem.

- Powiedziałem, że ta zbrodnia zostałaaby popełniona gdzie indziej. I tą zbrodnią byłoby zamordowanie Valentine Chantry przez męża.

Pamela wlepiała w niego pełen zdumienia wzrok. - Chce pan przez to powiedzieć, że to kapitan, że Tony Chantry zamordował Valentine?

- Tak. Pani sama widziała, jak to zrobił! Douglas Gold przyniósł mu drinka. Usiadł przy nim. Kiedy weszły panie, wszyscy się odwrócili. Miał przygotowaną strofantynę, wrzucił ją do dzinu, podał go z kurtuazją żonie i ona wypła.

- Ale opakowanie ze strofantyną znaleziono w kieszeni Douglasa Golda.

- Z łatwością wsunął je tam, kiedy tłoczyliśmy się wokół umierającej.

Minęły dwie minuty, zanim Pamela odzyskała głos.

- Nic nie rozumiem! Trójkąt, przecież pan sam powiedział!

Herkules skinął żywo głową.

- Wspomniałem o trójkącie, owszem. Ale pani miała na myśli nie ten trójkąt. Zwiódłby panią pozory. Myślała pani, chciała pani tak myśleć, że Tony Chantry i Douglas byli zakochani w Valentine Chantry. Pani wierzyła, pani chciała wierzyć, że Douglas Gold, będąc zakochany w Valentine Chantry, której mąż odmówił rozwodu, posunął się do desperackiego kroku. Podał Chantry'emu silną truciznę i że na skutek fatalnej

pomyłki tę truciznę zamiast niego wypić Valentine Chantry. Wszystko to jest iluzją. Od pewnego czasu Chantry chciał pozbyć się żony. Był nią śmiertelnie znudzony, zauważyłem to natychmiast. Ożenił się z nią dla pieniędzy. Teraz chciał związać się z inną kobietą, więc postanowił uwolnić się od Valentine, ale chciał zatrzymać jej pieniądze. To pociągało za sobą morderstwo.

- Jak to, z jaką kobietą?

- Tak, tak... z małą Marjorie Gold. To był ten właściwy odwieczny trójkąt! Lecz pani widziała go w fałszywym układzie. Żaden z tych dwóch mężczyzn w najmniejszym stopniu nie troszczył się o Valentine Chantry. To jej próżność i sprytnie zaaranżowany przez Marjorie Gold spektakl ukierunkowały pani myśli. Bardzo sprytna, niewinna pani Gold o niewinnej twarzy Madonny! Znałem niejedną morderczynię taką jak ona. Pani Adams, którą uwolniono od podejrzania, że zamordowała swojego męża, chociaż wszyscy wiedzieli, że to zrobiła. Mary Parker zabiła ze swoją ciotką i dwóch braci, ale popełniła drobną nieostrożność i została złapana. Następna była pani Rowde - została powieszona. Pani Lecray - ta cudem się wymknęła. I ta kobieta jest dokładnie w tym samym typie. Poznałem się na niej natychmiast, jak tylko ją zobaczyłem! Zbrodnia przychodzi jej z łatwością. A jak dobrze wszystko zaplanowała. Proszę mi powiedzieć, jaki mamy dowód na to, że Douglas Gold kochał Valentine Chantry! Jeżeli pani to wszystko przemyśli, dojdzie pani do wniosku, że to tylko pani Gold podsunęła nam myśl, iż Chantry był zazdrosny. No, co?

Rozumie pani?

- To przerażające! - wykrzyknęła Pamela.

- To bardzo bystra para - powiedział Poirot z profesjonalnym brakiem zaangażowania. - Zaplanowali to spotkanie tutaj i tutaj miał się rozegrać ten spektakl z morderstwem. Ta Marjorie Gold jest zimnokrwistą diabolicą. Bez skrupułów zamierzała posłać swojego biednego, niewinnego, głupiego męża na szubienicę.

- Ach! Przecież wczoraj został aresztowany! - krzyknęła Pamela.

- Jednak przedtem zamieniłem kilka słów z policjantem - rzekł Poirot. To prawda, że nie widziałem, jak Chantry wsypuje truciznę do szklanki. Patrzyłem wtedy, jak wszyscy, na wchodzące panie. Jednak w momencie, kiedy stwierdziłem, że Valentine Chantry została otruta, zacząłem uważnie obserwować jej męża i nie spuszczałem z

niego oka. I w ten sposób, widzi pan zauważyłem, jak wsuwa strofantynę do kieszeni marynarki Douglasa Golda...

- Jestem wiarygodnym świadkiem - dodał z ponurą miną.. - Wszyscy mnie dobrze znają. W momencie, gdy policja usłyszała moje zeznanie, całkowicie zmienił się ich pogląd na sprawę.

- A potem? - dopytywała się Pamela, podniecona.

- Eh bien, potem zadali kapitanowi Chantry kilka pytań. On próbował się wyłgać, ale nie jest dostatecznie sprytny i szybko się załamał.

- I w ten sposób Douglas Gold odzyskał wolność?

- Tak.

- A... Marjorie Gold? Twarz Poirota pokrył cień.

- Ostrzegałem ją - powiedział. - Tak ostrzegałem... Na Górze Proroka... To była jedyna szansa, aby zapobiec zbrodni. Dałem jej do zrozumienia, że ją podejrzewam. Zrozumiała. Ale wierzyła w swoją przebiegłość... Powiedziałem, żeby opuściła wyspę, jeżeli ceni swoje życie. Wolała pozostać...

* Dnia 5 listopada obchodzi się w Anglii święto ludowe z ogniami sztucznymi, zabawami itd. na pamiątkę zakończonego niepowodzeniem spisku, który miał na celu wysadzenie w powietrze parlamentu i króla Jakuba I. Przywódca spisku, katolik Guy Fawkes, został ujęty i stracony. Na zakończenie obchodów pali się słomianą kukłę (przyp. tłum.).

* fr. Mój biedny Jappie!

* A. Conan Doyle, Pies Baskerville'ów

* fr: Omlet z grzybami, potrawka cielęcą, zielony groszek

* fr. ciastko z rumem

* fr: Wcale nie, wcale nie

* fr: Przechadzali się.

* fr. To musi być łatwiejsze.

* fr. Taki młody człowiek, bardzo na miejscu

* fr.: Doskonale!

* fr. Wzywam pana!

* fr. Trójkąt małżeński

* fr. To zależy.

* fr. Zgodne z charakterem

* fr. Dokładnie

* fr. To trochę surowe.

* fr. Do zobaczenia

* fr.: Moje dziecko